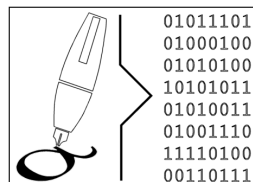


PHILIP K. DICK

UBIK

Przełożył Michał Ronikier



Tytuł oryginału:

Ubik

Data wydania polskiego: 1997 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1969 r.

Rozdział 1

Przyjaciele, nadszedł czas wyprzedaży i właśnie o tyle obniżamy cenę wszystkich naszych bezszmerowych elektrycznych aparatów Ubik. Tak jest, cennik przestał się liczyć. I pamiętajcie: każdy z aparatów Ubik, znajdujących się u nas na składzie, był używany zgodnie z instrukcją.

Piątego czerwca 1992 roku o trzeciej trzydziści nad ranem czołowy telepata w obrębie systemu słonecznego znikł z mapy w nowojorskim biurze firmy Korporacja Runcitera. W związku z tym rozdziwoniły się wideofony. Firma Runcitera straciła ślad zbyt wielu ludzi Hollisa w ciągu ostatnich dwu miesięcy, by mogła się pogodzić z ponownym wypadkiem zniknięcia jednego z nich.

— Mr Runciter? Przykro mi, że pana niepokoję. — Technik odpowiedzialny za pracę nocnej zmiany w sali map odkasznął nerwowo, gdy masywna, nieregularnie ukształtowana głowa Glena Runcitera stopniowo wypełniła ekran wideofonu. — Otrzymaliśmy wiadomość od jednego z naszych inercjałów. Zaraz ją znajdę. — Pogrzebał w nie uporządkowanym stosie taśm magnetofonu, który nagrywał wpływające informacje. — Zgłosiła to nasza panna Dorn. Jak pan sobie być może przypomina, udała się w ślad za nim do Green River, w Utah, gdzie...

— Za kim? — mruknął zaspanym głosem Runciter. — Nie mogę przecież przez cały czas pamiętać, który z inercjałów zajmuje się którym telepatą czy jaśnowidzem. — Przygładził dłonią rozwichrzoną masę swych siwych, szpecinistych włosów. — Mniejsza o resztę, proszę mi powiedzieć, kto z ludzi Hollisa zaginął tym razem.

— S. Dole Melipone — powiedział technik.

— Co? Melipone zniknął? Pan chyba żartuje.

— Mówię poważnie — zapewnił go technik. — Edie Dorn wraz z dwoma innymi inercjałami podążała za nim aż do motelu zwanego Więzy Różnorodnych Doświadczeń Erotycznych. Jest to podziemna konstrukcja, złożona z sześćdziesięciu apartamentów, przeznaczona dla biznesmenów, którzy przyjeżdżają tam ze swymi dziewczynkami i nie życzą sobie żadnych rozrywek. Edie i jej koleżki nie są

dzili, by był on aktywny, ale dla pewności posłaliśmy tam jednego z naszych własnych telepatów, pana G. G. Ashwooda, by dokonał pomiaru. Ashwood stwierdził pasmo zakłóceń wokół umysłu Melipone'a, nie mogąc jednak w tej sytuacji nic zdziałać, wrócił do Topeka w Kansas, gdzie aktualnie usiłuje pozyskać dla nas nowego pracownika.

Runciter, nieco bardziej już rozbudzony, zapalił papierosa. Siedział ponuro, z brodą wspartą na dłoni, a pasma dymu przesuwwały się przez pole widzenia wizjera umieszczonego po jego stronie dwukanałowego obwodu.

— Czy jest pan pewien, że tym telepatą był Melipone? O ile się orientuje, nikt nie wie, jak on wygląda. Chyba co miesiąc zmienia szablon fizjonomiczny. Jakie było jego pole?

— Skierowaliśmy tam Joe Chipa, prosząc, by przeprowadził pomiary skali wielkości pola, które wytwarzane było w obrębie motelu Więzy Różnorodnych Doświadczeń Erotycznych. Chip mówi, że w najwyższym punkcie odnotował 68,2 blr jednostek aury telepatycznej, Spośród wszystkich znanych telepatów tylko Melipone jest w stanie wytworzyć coś takiego. W tym więc miejscu — kończył technik — zatknęliśmy oznaczającą go chorągiewkę, A teraz on... ona znikła.

— Szukał pan na podłodze? Albo za mapą?

— Znikła w sensie elektronicznym. Człowiek, którego ona oznacza, nie przebywa już na powierzchni Ziemi, a także, na tyle, na ile jesteśmy w stanie się zorientować, nie ma go również w obrębie układu terytoriów podbitych.

— Zapytam o radę w tej sprawie moją zmarłą żonę — powiedział Runciter.

— Jest środek nocy. O tej porze moratoria są zamknięte.

— Ale nie w Szwajcarii — powiedział Runciter z grymasem zamiast uśmiechu, jakby gardło jego wypełniała niesmaczna nocna ślina. — Dobranoc — powiedział i przerwał połączenie.

Herbert Schoenheit von Vogelsang, jako właściciel Moratorium Ukochanych Współbraci, oczywiście zawsze przychodził do pracy wcześniej niż jego pracownicy. O tej porze ruch w chłodnym, odbijającym odgłosy wnętrzu budynku dopiero się zaczynał. W recepcji oczekiwał z kwitem w ręku zatroskany, wyglądający na księdza mężczyzna w bardzo ciemnych okularach. Miał na sobie kurtkę z koziego futra i żółte, ostro zakończone buty. Najwyraźniej zjawił się, by korzystając z wolnego od pracy dnia odwiedzić jakiegoś krewnego. Zbliżało się Święto Zmartwychwstania, dzień poświęcony oficjalnie osobom na wpół żywym. Należało oczekiwać, że już niedługo zacznie się ruch.

— Słucham pana — powiedział Herbert z uprzejmym uśmiechem. — Osobiście przyjmę pański kwit.

— To taka starsza kobieta — tłumaczył klient. — Bardzo drobna i zaszuszone. Moja babka.

— Jedną chwileczkę — Herbert skierował się znów w stronę skrzyń-chłodni, by wyszukać numer 3 054 039-B.

Odnalazłszy właściwą osobę, sprawdził dane w umieszczonej przy niej karcie kontrolnej. Wynikało z niej, że zostaje jeszcze tylko piętnaście dni w stanie półżycia. To niezbyt wiele — pomyślał. Odruchowo wcisnął przenośny wzmacniacz protofazonów do przezroczystej

obudowy trumny, wykonanej z tworzywa sztucznego, nastawił go na właściwą częstotliwość i zaczął słuchać, chcąc stwierdzić, czy umysł funkcjonuje.

Z głośnika doszedł słaby głos:

— ...i wtedy właśnie Tillie skrzyła nogę w kostce. Myśleliśmy, że nigdy się z tego nie wyleczy, tak głupio się zachowywała i chciała od razu zacząć chodzić...

Zadowolony, wyłączył wzmacniacz i skontaktował się z jednym z członków brygady, polecając mu przewieźć numer 3 054 039-B do rozmównicy, gdzie klient będzie mógł porozumieć się ze starą damą.

— Dokonał pan już jej odbioru, prawda? — spytał klient wpłacając należną sumę.

— Osobiście — odpowiedział Herbert. — Wszystko funkcjonuje znakomicie. — Nastawił szereg przełączników, potem cofnął się. — Życzę panu szczęśliwego Święta Zmartwychwstania, sir.

— Dziękuję. — Klient usiadł zwrócony twarzą do trumny. Z otaczającej ją okładziny chłodzącej unosiła się para. Przycisnął do ucha słuchawkę i zaczął głośno mówić do mikrofonu: — Flora, kochana, czy mnie słyszysz? Zdaje mi się, że już dociera do mnie twój głos. Flora?

Kiedy umrę, pomyślał Herbert Schoenheit von Vogelsang, zażądam chyba w testamencie od swych potomków, by ożywiali mnie na jeden dzień co sto lat. Będę mógł w ten sposób śledzić losy ludzkości.

Byłoby to jednak dosyć kosztowne dla potomków. On zaś wiedział dobrze, co by to oznaczało. Prędzej czy później zbuntowałiby się, kazaliby wyjąć jego ciało z chłodni i, nie daj Boże, pogrzebać.

— Grzebanie ciał jest zwyczajem barbarzyńskim — mruknął sam do siebie. — Reliktem z okresu początków naszej kultury.

— Oczywiście, proszę pana — potwierdziła sekretarka, siedząca przy maszynie do pisania.

W rozmównicy liczni już klienci porozumiewali się ze swymi półżywymymi krewnymi. Siedzieli spokojnie, pogrążeni w zadumie. Każdemu z nich dostarczano kolejno właściwą trumnę. Ci wierni ludzie, przybywający tak regularnie, by oddać cześć swym zmarłym, stanowili krzepiący widok. Podtrzymywali oni półżywych na duchu w momentach ich aktywności umysłowej, przekazywali im wieści o tym, co dzieje się w otaczającym ich świecie. I — płacili Herbertowi Schoenheit von Vogelsang. Moratorium było przedsiębiorstwem intratnym.

— Mój ojciec wydaje mi się nieco słaby — oznajmił młody człowiek, gdy udało mu się zwrócić na siebie uwagę Herberta. — Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby mógł pan poświęcić chwilę czasu i zbadać go.

— Oczywiście — odparł Herbert. Wraz z klientem przeszedł przez rozmównicę, kierując się w stronę jego świętej pamięci krewnego. Z karty kontrolnej wynikało, że zostało mu już tylko kilka dni. To tłumaczyło mniej sprawną pracę mózgu. Ale mimo to... podkreślił regulację wzmacniacza protofazonów i głos pólzywego w słuchawce stał się nieco mocniejszy. Jest już niemal u kresu sił — pomyślał Herbert. Wydawało mu się zrozumiałe, że syn nie ma ochoty oglądać karty kontrolnej, że w gruncie rzeczy nie chce uświadomić sobie, iż kontakt z ojcem definitywnie się kończy. Herbert nie powiedział więc nic. Po prostu odszedł, zostawiając syna w duchowym kontakcie z ojcem. Po co mu mówić, że jest to już zapewne jego ostatnia wizyta w tym miejscu? I tak sam zdąży się o tym dowiedzieć.

Przy rampie załadowniczej, ulokowanej za budynkiem moratorium, zjawiła się ciężarówka. Wskoczyli z niej dwaj mężczyźni, ubrani w znajome bładoniebieskie uniformy.

Z firmy transportowej Atlas Interplan Van and Storage — pomyślał Herbert. — Przywożą jeszcze jednego pólzywego, który właśnie zszedł z tego świata, albo mają zabrać stąd kogoś, czyj termin już wygaś.

Leniwie skierował się w tym kierunku, by sprawdzić, o co chodzi, ale w tym momencie jego sekretarka zawołała:

— Herr Schoenheit von Vogelsang, proszę mi wybaczyć, że przerywam panu chwilę skupienia, ale jeden z klientów prosi, by pomógł mu pan obudzić jego krewnego. — Jej głos nabrał specjalnego tonu, gdy dodała: — Ten klient to pan Glen Runciter; przyjechał tu aż z Federacji Północnoamerykańskiej.

Wysoki, starszy mężczyzna o dużych dłoniach podszedł do niego szybkim, sprężystym krokiem. Miał na sobie różnobarwne, nie mnące się ubranie z tworzywa sztucznego, kamizelkę z dzianiny i kolorowy tkany krawat. Wysunąwszy nieco ku przodowi swą potężną głowę rozglądał się wokół siebie; jego oczy były lekko wypukłe, okrągłe, żywe i niezwykle czujne. Na twarzy Runcitera malował się wyraz zawodowej serdeczności i uwagi, która przez chwilę skupiona była na osobie Herberta i niemal natychmiast przesunęła się gdzie indziej, jak gdyby Runciter skoncentrował się już na sprawach, które mogą wydarzyć się w przyszłości.

— Jak się miewa Ella? — zagrział Runciter, którego głos wydawał się wzmocniony za pomocą urządzeń elektronicznych. — Czy można by ją trochę rozruszać i porozmawiać z nią? Ma dopiero dwadzieścia lat, powinna być w lepszej formie niż pan czy ja.

Zachichotał, ale jego chichot miał charakter abstrakcyjny. Zawsze chichotał, zawsze się uśmiechał, zawsze miał grzmiący głos, ale w gruncie rzeczy nikogo nie zauważał i nikt nic go nie obchodził — to tylko jego ciało uśmiechało się, kłaniało czy podawało rękę. Nic nie docierało do jego umysłu, który pozostawał oddalony. Był uprzejmy, lecz pełen rezerwy. Pociągając za sobą Herberta wielkimi krokami ruszył ku chłodniom, w których przebywali pólzywi, a wśród nich jego żona.

— Nie było patia u nas przez jakiś czas, panie Runciter — stwierdził Herbert. Nie mógł sobie przypomnieć danych na karcie kontrolnej pani Runciter, z których wynikało, ile pólzycia miała jeszcze przed sobą.

Runciter, trzymając na ramieniu Herberta swą szeroką, płaską dłoń i skłaniając go w ten sposób do szybszego marszu, powiedział:

— To ważny moment, Herr Vogelsang. My, to znaczy ja i moi współnicy, mamy do czynienia z dziedziną, która wykracza poza wszelkie granice racjonalnego pojmowania. Nie wolno mi w tym momencie ujawniać faktów, ale uważamy obecną sytuację za groźną, choć nie beznadziejną. W żadnym wypadku nie należy jednak wpadać w rozpacz. Gdzie jest Ella? — przystanął i energicznie rozglądał się wokół.

— Sprowadzę ją panu do rozmównicy — powiedział Herbert. Klientom nie wolno było przebywać w chłodniach. — Czy ma pan odcinek kwitu z numerem?

— Do licha, nie mam, dawno go już zgubiłem — powiedział Runciter. — Ale pan zna moją żonę i może ją pan znaleźć. Ella Runciter, około dwudziestki. Niebieskie oczy i brązowe włosy. — Niecierpliwie rozejrzał się wkoło. — Gdzież ulokowaliście tę rozmównicę? Dawniej można ją było jakoś znaleźć.

— Proszę zaprowadzić pana Runcitera do rozmównicy — polecił Herbert jednemu ze swych pracowników, który zbliżył się właśnie niepewnie, chcąc przyjrzeć się znanemu na całym świecie właścicielowi firmy antypsi.

— Pełno tu ludzi. Nie mogę tutaj rozmawiać z Elią — z niesmakiem stwierdził Runciter, zajrzawszy do rozmównicy. Szybkim krokiem pospieszył w ślad za Herbertem, który kierował się w stronę archiwum firmy. — Panie Vogelsang — zwrócił się do niego, kładąc mu ponownie na ramieniu swą wielką łapę. Herbert poczuł ciężar tej dłoni i zawartą w niej siłę przekonywania. — Czy nie ma tu spokojniejszego sanktuarium dla poufnych rozmów? Chcę rozmawiać z moją żoną Ella o sprawach, których Korporacja Runcitera nie ma na razie zamiaru ujawniać.

— Mogę dostarczyć panu panią Runciter do jednego z naszych pomieszczeń biurowych, sir — wymamrotał gorliwie i bez namysłu Herbert, pod wpływem sugestywnego tonu Runcitera i jego silnej osobowości. Zastanawiał się, co się stało, jakie problemy skłoniły Runcitera do opuszczenia własnego podwórka i odbycia tej spóźnionej pielgrzymki do Moratorium Ukochanych Współbraci, by rozruszać, jak to on sam wulgarnie określił, swą pólzywą żonę. Jakiś kryzys w interesach — domyślał się. W ostatnim okresie ton krzykliwych reklam zamieszczanych w telewizji i w gazetach domowych przez przeróżne instytucje zapobiegawcze antypsi stał się jeszcze bardziej natrętny. „Chroń swe życie prywatne!” — nawoływały o wszystkich porach ogłoszenia powielane przez wszystkie publikatory. „Czy ktoś obcy nie odbiera twoich fal? Czy naprawdę jesteś sam?” — To na temat telepatów — a prócz tego ten histeryczny lęk przed jasnowidzami. — „Czy twoje poczynania nie są z góry przepowiedane przez kogoś, kogo w ogóle nie znasz? Kogoś, kogo nie chciałbyś wcale poznać czy zaprosić do swego domu? Pozbądź się nie-

pewności: najbliższa instytucja zapobiegawcza, z jaką się skontaktujesz, poinformuje cię najpierw, czy w istocie jesteś ofiarą niepożądanego ingerencji z zewnątrz, następnie zaś, o ile jej to zlecisz, zneutralizuje skutki tego rodzaju poczynań — za umiarkowaną opłatą”.

Instytucje zapobiegawcze. Podobała mu się ta nazwa: była pełna godności, a przy tym ścisła. Wiedział o tym z własnego doświadczenia: dwa lata temu, z przyczyn, których nigdy nie udało mu się wyjaśnić, jakiś telepata poddał infiltracji personel jego moratorium. Zapewne chodziło o przechwytywanie poufnych informacji wymienianych przez odwiedzających z osobami półżywymi — a może dotyczyło to tylko jednej konkretnej osoby przebywającej w moratorium? Tak czy owak wywiadowca jednej z firm antypsi stwierdził obecność pola telepatycznego i powiadomił go o tym fakcie. Herbert podpisał odpowiednie zlecenie i specjalnie oddelegowany antytelepata ulokowany został na terenie moratorium. Nie znaleziono telepaty, ale jego wpływ został zneutralizowany, zgodnie z obietnicami zawartymi w ogłoszeniach telewizyjnych. Pokonany telepata wyniósł się w końcu. Moratorium, było teraz wolne od wpływów psi, by zaś mieć pewność, że stan ten utrzymuje się, instytucja zapobiegawcza dokonywała co miesiąc okresowej inspekcji pomieszczeń firmy.

— Dziękuję panu bardzo, panie Vogelsang — powiedział Runciter, idąc w ślad za nim przez pokój biurowy, pełen pracujących urzędników, do pustego pomieszczenia, w którym unosił się zapach zakurzonych i niepotrzebnych nikomu mikro-dokumentów.

Oczywiście, zadumał się Herbert, uwierzyłem im na słowo, że telepata się tu dostał: pokazali mi wykres, jaki uzyskali, twierdząc, że jest to dowód. Niewykluczone, że było to oszustwo — może spreparowali ten wykres w swych laboratoriach. Również na słowo uwierzyłem im, że telepata się wyniósł. Przyszedł i odszedł, a ja zapłaciłem dwa tysiące posredów. Czy to możliwe, żeby instytucje zapobiegawcze były w gruncie rzeczy bandą oszustów, utrzymujących, że ich usługi są konieczne, nawet jeśli potrzeba taka wcale nie istnieje?

Rozważając tę kwestię skierował się ponownie ku archiwum. Tym razem Runciter nie poszedł za nim, zaczął natomiast kręcić się hałaśliwie, usiłując jak najwygodniej ulokować swą wielką postać na skromnym krześle. Westchnął przy tym — i nagle Herbert odniósł wrażenie, że potężnie zbudowany stary mężczyzna odczuwa zmęczenie mimo energii, którą zwykle demonstrował.

Sądzę, że wspiąwszy się na tak wysoki szczebel, człowiek musi zachowywać się w pewien określony sposób, doszedł do wniosku Herbert. Musi sprawiać wrażenie, że jest kimś stojący, wyżej niż przeciętny człowiek, obdarzony zwykłymi słabościami. W ciele Runcitera mieścił się pewnie z tuzin artiforgów — sztucznych organów, zainstalowanych w odpowiednich punktach jego układu fizjologicznego, w miarę jak prawdziwe jego części przestawały prawidłowo funkcjonować. Wiedza medyczna, snuł swe przypuszczenia, dostarczyła podsta-

wowych elementów organizmu, resztę zaś uzyskuje Runciter dzięki panowaniu nad swym wybitnym umysłem. Ciekawe, ile on może mieć lat, zastanowił się. — Nie można już teraz określić wieku na podstawie czyjegoś wyglądu, zwłaszcza po dziewięćdziesiątce.

— Panno Beason — polecił swej sekretarce — proszę odnaleźć panią Elle Runciter i przynieść mi jej numer rozpoznawczy. Należy ją dostarczyć do pokoju 2-A. — Rozsiadł się naprzeciwko niej i sięgnął po szczyptę tabaki Princes, produkcji firmy Fribourg i Treyer. Panna Beason przystąpiła tymczasem do stosunkowo prostego zadania, jakim było wyszukanie żony Glena Runcitera.

Rozdział 2

Najlepszym sposobem zamawiania piwa jest powiedzenie: Ubik. Warzone na doborowym chmielu i wysokiej jakości wodzie, dojrzewające powoli celem osiągnięcia idealnego smaku, piwo Ubik jest w tym kraju piwem numer jeden. Produkowane tylko w Cleveland.

Ella Runciter leżała wyciągnięta w swej szklanej trumnie, otoczona lodową mgiełką; miała zamknięte oczy i ręce uniesione raz na zawsze ku pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu twarzy. Runciter widział ją po raz ostatni przed trzema laty — i oczywiście wcale się przez ten czas nie zmieniła. Wiadomo było, że teraz nie zajdą w niej nigdy żadne zmiany, przynajmniej jeżeli chodzi o wygląd zewnętrzny. Ale za każdym razem, gdy przywoływano ją na nowo do stanu półżycia, aktywizując choćby na krótko działalność mózgu, Ella zbliżała się niejako do swej śmierci. Stopniowo zmniejszał się i kurczył okres, w którym miała jeszcze pozostawać przy życiu.

Świadomość tego faktu była przyczyną, dla której nie ożywiał jej częściej. Tłumaczył sobie, że byłoby to wpędzanie jej do grobu, że ożywanie byłoby w istocie grzechem przeciwko niej samej. Zatarły mu się w pamięci jej własne życzenia, wyrażane jeszcze przed zgonem i podczas pierwszych spotkań, z początku okresu jej półżycia. Tak czy owak, będąc od niej czterokrotnie starszy, musiał mieć rozsądniejszy pogląd na tę sprawę. Cóż ona chciała? Nadal funkcjonować na równych z nim prawach jako współwłaścicielka Korporacji Runcitera — o to mniej więcej jej chodziło. W porządku; stosował się do tego życzenia. Na przykład teraz. A także sześć czy siedem razy w przeszłości. Konsultował się z nią za każdym razem, gdy firma znalazła się w obliczu kryzysu. Tak samo postępował też w tej chwili.

— Niech diabli wezmą tę słuchawkę — mruknął niechętnie, przyciskając do ucha plastikowy krążek. — I ten mikrofon; wszystko, co utrudnia *naturalne* porozumienie. — Niecierpliwie kręcił się na niewygodnym krześle, które podsunął mu Vogelsang, czy jak tam on się nazywał. Śledził stopniowy powrót żony do sta-

nu świadomości, pragnąc, by się trochę pospieszyła. I nagle pomyślał w panice: A może w ogóle jej się to nie uda, może już wyczerpały się jej siły, a oni nic mi o tym nie powiedzieli? Lub też sami nie zdają sobie z tego sprawy. Może należałoby wezwać tu tego faceta, Vogelsanga, i zażądać wyjaśnień. Może popełniono jakiś okropny błąd?

Ella była bardzo ładna: miała jasną cerę, jej oczy zaś, wtedy kiedy otwierała je jeszcze, były bystre i świetliście niebieskie. Nigdy już to nie nastąpi: można do niej mówić i słyszeć jej głos, można się z nią porozumiewać... ale nigdy już nie otworzy oczu ani nie poruszy ustami. Nie uśmiechnie się na jego powitanie. Nie zapłacze przy jego odejściu. Czy to się opłaca? — zadał sobie pytanie. Czy ten system jest lepszy od poprzedniego, polegającego na bezpośrednim przejściu do grobu ze stanu pełni życia? W pewnym sensie nadal mam ją przy sobie, doszedł do wniosku. Mam do wyboru to lub nic.

W słuchawce, powoli i niewyraźnie, zaczęły się pojawiać jakieś słowa, jakieś poplątane myśli bez znaczenia, fragmenty tajemniczego snu, w którym Ella była pogrążona. Jak może się czuć człowiek w stanie półżycia? — zastanawiał się. Nigdy nie udało mu się tego w pełni zrozumieć na podstawie relacji Elli. Nie można było naprawdę przekazać uczuć, jakich doświadcza się w tym stanie, wytłumaczyć samej zasady. Powiedziała mu kiedyś: „Przestaje na człowieka działać przyciąganie ziemskie, zaczynasz coraz wyraźniej płynąć, unosić się. Przypuszczam — mówiła — że gdy skończy się teraz okres półżycia, człowiek wypływa poza granice Układu, aż do gwiazd”. Ale i ona nie wiedziała na pewno, zastanawiała się jedynie i snuła domysły. Nie wydawała się jednak zalekniona ani nieszczęśliwa.

Był zadowolony z tego stanu rzeczy.

— Cześć, Ella — nie bardzo wiedział, jak zacząć.

— Och — usłyszał jej odpowiedź; wydawało mu się, że jest zaskoczona. Mimo to twarz jej pozostała oczywiście nieruchoma. Nic nie można było z niej odczytać; odwrócił wzrok. — Jak się masz, Glen? — mówiła tonem zdziwionego dziecka: jego wizyta była dla niej nieoczekiwanym, zaskakującym wydarzeniem. — Co... — zawahała się. — Ile czasu minęło?

— Dwa lata — odparł.

— Powiedz mi, co słyszać?

— Ach, do diabła — zaczął — wszystko się rozłazi, całe przedsiębiorstwo. Dlatego tu jestem: chciałeś brać udział w podejmowaniu wszelkich decyzji w sprawie nowych metod działania — i Bóg mi świadkiem, że właśnie teraz musimy wypracować nowe metody albo przynajmniej zreorganizować nasz system wywiadowców.

— Miałam sen — powiedziała Ella. — Widziałam zamglone czerwone światło; było przerażające. A mimo to posuwałam się ciągle w jego kierunku. Nie mogłam się zatrzymać.

— Tak — kiwnął głową Runciter — mówi o tym *Bardo Thödol, Tybetańska*

księga umarłych. Przypominasz ją sobie: lekarze polecili ci ją czytać, kiedy... — zawahał się — byłaś umierająca — dokończył.

— Zamglone czerwone światło jest niedobre, prawda? — spytała Ella.

— Tak, należy go unikać. — Odchrząknął. — Słuchaj, Ella, mamy kłopoty. Czy czujesz się na siłach, aby o tym słuchać? Nie chciałbym cię nadmiernie obciążać ani nic w tym rodzaju. Powiedz po prostu, jeżeli jesteś zbyt zmęczona albo chcesz rozmawiać o czym innym.

— To takie niesamowite. Mam wrażenie, że śniłam przez cały czas od naszej ostatniej rozmowy. Czy to naprawdę były dwa lata? Wiesz, co mi się wydaje, Glen? Że wszyscy inni ludzie, którzy mnie otaczają... mam wrażenie, że coraz bardziej się integrujemy. Wiele moich snów wcale nie dotyczy mnie samej. Czasem jestem mężczyzną lub małym chłopcem, czasem zaś starą kobietą, cierpiącą na żylaki... znajduję się w miejscach, których nigdy nie widziałam na oczy i robię różne bezsensowne rzeczy.

— No cóż, tłumaczą to w ten sposób, że zmierzasz w kierunku nowego łoża, z którego masz się urodzić. A to zamglone czerwone światło oznacza niedobre łożo: nie możesz iść w tym kierunku. To upokarzający, kiepski typ łoża. Prawdopodobnie przewidujesz swe przyszłe życie, czy jak tam to nazwiemy. — Czuł się głupio, przemawiając w ten sposób; zasadniczo nie miał żadnych przekonań religijnych. Ale zjawisko półżycia było faktem — i fakt ten z wszystkich zrobił teologów. — No więc — powiedział, zmieniając temat — posłuchaj, co się wydarzyło, dlaczego przyjechałem i cię niepokoję. S. Dole Melipone zniknął z pola widzenia.

Zapanował moment ciszy — potem Ella wybuchnęła śmiechem.

— Kim lub czym jest ten S. Dole Melipone? Nie wierzę, by coś takiego istniało.

Tak dobrze mu znany, niezwykle ciepły ton jej śmiechu, wywołał w nim dreszcz: dobrze go pamiętał, nawet po tak długim czasie. Nie słyszał śmiechu Elli już od ponad dziesięciu lat.

— Może zapomniałaś — powiedział.

— Nie zapomniałam — odparła. — Nie mogłabym zapomnieć czegoś, co nazywa się S. Dole Melipone. Czy to coś w rodzaju hobbita?

— To główny telepata Raymonda Hollisa. Od półtora roku, to jest od momentu, gdy G. G. Ashwood zaobserwował go po raz pierwszy, co najmniej jeden z naszych inercjałów zawsze trzymał się blisko niego. Nigdy nie straciliśmy Melipone'a z oczu; nie możemy sobie na to pozwolić. Gdy zachodzi konieczność, potrafi on wytworzyć pole psi dwukrotnie silniejsze niż jakikolwiek inny pracownik Hollisa. A w dodatku Melipone jest tylko jednym z całego szeregu ludzi Hollisa, którzy zaginęli — w każdym razie dla nas. Żadna z instytucji zapobiegawczych należących do Towarzystwa nie wie na ten temat więcej niż my. Pomyślałem więc: Do diabła, pójdę i spytam Ellę, co się właściwie dzieje i jak mamy postąpić. Do-

kładnie tak, jak zażądałaś w testamencie — pamiętasz?

— Pamiętam. — Wydawało mu się, że przemawia ze znacznej odległości. — Dajcie więcej reklam w telewizji. Ostrzeżcie ludzi. Powiedźcie im... — głos milkł stopniowo.

— Nudzi cię ten temat — ponuro stwierdził Runciter.

— Nie. Ja... — zawahała się; poczuł, że znowu się oddala. — Czy wszyscy ci ludzie to telepaci? — spytała po chwili milczenia.

— Przeważnie telepaci i jasnowidze. Wiem, że na pewno nie ma ich nigdzie na powierzchni Ziemi. Mamy z tuzin inercjałów, którzy są nieaktywni i nie mają nic do roboty, gdyż nigdzie nie ma ludzi o zdolnościach psi, których wpływy mają oni neutralizować, a co martwi mnie jeszcze bardziej, o wiele bardziej: zapotrzebowanie na inercjałów zmalało, czego można było oczekiwać w sytuacji, gdy brak tak wielu psi. Wiem jednak, że pracują oni wspólnie wszyscy nad jakąś jedną sprawą, to znaczy tak przypuszczam. Właściwie jestem pewien, że ktoś zatrudnił całą tę grupę, ale tylko Hollis wie, kto to jest i gdzie się oni wszyscy znajdują. I w ogóle o co tu chodzi. — Zapadł w ponure milczenie. Jak mogłaby Ella pomóc mu rozgryźć tę sprawę? Zamknięta w swej trumnie, odseparowana od świata za pomocą niskich temperatur, wiedziała tylko tyle, ile on sam jej powiedział. A jednak zawsze polegał na jej rozsądku, tej szczególnej typowej dla kobiet jego odmianie: była to mądrość oparta nie na wiedzy czy doświadczeniu, lecz na czymś wrodzonym. Gdy jeszcze żyła, nigdy nie udało mu się tego zgłębić, z pewnością też nie miał szans uczynić tego teraz, gdy leżała w stanie zamrożonego bezruchu. Inne kobiety, które poznał po jej śmierci — a był ich cały szereg — miały to w niewielkim stopniu: może tylko jakiś ślad, wskazujący na większe możliwości potencjalne, które jednak, inaczej niż w Elli — nigdy się w nich nie objawiły.

— Powiedz mi — mówiła Ella — co to za człowiek ten Melipone.

— Dziwak.

— Pracuje dla pieniędzy? Czy z przekonania? Kiedy oni zaczynają gadać o tej mistyce psi, o poczuciu celu i identyfikacji kosmicznej, zawsze budzi to moje podejrzenia. Tak było przecież z tym okropnym Sarapisem; pamiętasz go?

— Sarapisa nie ma już na świecie. Przypuszcza się, że Hollis wykończył go za to, że próbował w tajemnicy zorganizować własną firmę i robić mu konkurencję. Jeden z jasnowidzów Hollisa uprzedził go o tym. Melipone — ciągnął — stwarza nam o wiele poważniejsze problemy, niż to robił Sarapis. Gdy jest w dobrej formie, potrzeba aż trzech inercjałów, by zrównoważyć jego pole — i nic na tym nie zarabiamy. Otrzymujemy, a raczej otrzymywaliśmy, takie samo honorarium, jakie dostajemy, wykozystując jednego inercjała. Towarzystwo ma bowiem teraz cennik, do którego my też musimy się stosować. — Z każdym rokiem był coraz gorszego zdania o Towarzystwie, stało się to już jego stałą obsesją: uważał, że nie przynosi żadnych korzyści i jest zbyt kosztowne. A także zbyt pewne siebie.

— O ile się orientujemy, motywem działania Melipone'a są pieniądze. Czy to cię uspokaja? Czy uważasz to za mniej groźne? — Daremnie czekał na odpowiedź. — Ella! — odezwał się. Cisza. Zaczął mówić nerwowo: — Halo, Ella, czy mnie słyszysz? Czy coś się stało? — Do diabła — pomyślał — znowu się oddaliła.

Po chwili przerwy do jego prawego ucha dotarła zmaterializowana myśl:

— Nazywam się Jory.

Nie były to myśli jego żony: miały innego rodzaju *élan*, były żywsze, a mimo to mniej zborne. Pozbawione typowej dla Elli subtelnej bystrości.

— Proszę się wyłączyć — powiedział ogarnięty nagłym lękiem Runciter. — Rozmawiałem z moją żoną Ellą; skąd pan się tu wziął?

— Nazywam się Jory — nadpłynęła myśl — i nikt ze mną nie rozmawia. Włączę się do pana na chwilę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Kim pan jest?

— Chcę rozmawiać z moją żoną, panią Ellą Runciter — wyjąkał Glen, — Zapłaciłem za rozmowę z nią i chcę rozmawiać z nią, a nie z panem.

— Znam panią Runciter — myśli zabrzmiały tym razem w jego uchu o wiele silniej. — Ona rozmawia ze mną, ale to nie to samo, co rozmowa z kimś takim jak pan, z kimś ze świata. Pani Runciter znajduje się tutaj razem z nami; ona się nie liczy, bo nie wie wcale więcej niż my. Jaki jest teraz rok, proszę pana? Czy wysłali już ten wielki statek na Proximę? Bardzo mnie to interesuje; może pan potrafi mi na to odpowiedzieć. A ja, jeśli pan chce, powtórzę to później pani Runciter. Zgoda?

Runciter wyszarpnął słuchawkę z ucha, pospiesznie odłożył mikrofon i wszystkie inne urządzenia; wyszedł z dusznego biura, w którym unosił się kurz, i zaczął iść wśród zamrożonych trumien, ustawionych schludnie w ponumerowanych rzędach. Pracownicy moratorium zastępowali mu drogę — ale cofali się, gdy zbliżał się do nich gwałtownym krokiem, rozglądając się za właścicielem.

— Czy coś się stało, panie Runciter? — zapytał von Vogelsang, ujrawszy, że klient przedziera się w jego stronę. — Czym mogę panu służyć?

— Coś mi się odzywa w przewodach — Runciter zatrzymał się zdyszany. — Zamiast Elli. Do diabła z wami, panowie, i z waszymi podejrzanymi metodami prowadzenia interesów. Coś takiego nie ma prawa się wydarzyć. Co to w ogóle znaczy? — Szedł teraz za właścicielem moratorium, który ruszył już w stronę biura 2-A. — Gdybym ja prowadził w ten sposób moją firmę...

— Czy ta osoba przedstawiła się?

— Tak, powiedział, że nazywa się Jory.

— To będzie Jory Miller — powiedział von Vogelsang, krzywiąc się, wyraźnie zaniepokojony. — Wydaje mi się, że w chłodni ustawiony jest obok pańskiej żony.

— Ale przecież ja widzę, że to Ella!

— Po dłuższym okresie przebywania blisko — tłumaczył von Vogelsang — występuje czasem wzajemna osmoza, przenikanie pomiędzy umysłami półżywych. Aktywność umysłu Jory'ego jest szczególnie wysoka, w przypadku zaś

pańskiej żony — dość niska. Tak doszło do przepływu protofazonów, niestety tylko w jedną stronę.

— Czy może pan to skorygować? — ochryple zapytał Runciter. Poczł, że ciągle jeszcze jest roztrzęsiony, wyczerpany i zdyszany. — Niech pan usunie to coś z umysłu mojej żony i sprowadzi ją z powrotem. To pański obowiązek.

— Jeśli ten stan rzeczy utrzyma się — powiedział oficjalnym tonem von Vogelsang — pańskie pieniądze zostaną panu zwrócone.

— Po co mi pieniądze? Do diabła z pieniędzmi! — Doszli już do biura 2-A. Runciter niepewnie usiadł na krześle; serce biło mu tak gwałtownie, że ledwie mógł mówić. — Jeżeli nie usunie pan tego Jory'ego z przewodów — wykrztusił, czy raczej warknął — zaskarżę pana, doprowadzę was do ruiny.

Zwrócony twarzą w kierunku trumny von Vogelsang wcisnął do ucha słuchawkę i energicznie przemówił do mikrofonu:

— Jory, bądź grzecznym chłopcem, wyłącz się. — Zerkając w stronę Runcitera wyjaśnił: — Jory zmarł mając piętnaście lat, dlatego tyle w nim witalności. Prawdę mówiąc zdarzało się to już dawniej: Jory pojawiał się już wielokrotnie tam, gdzie nie powinien się znajdować. — Raz jeszcze przemówił do mikrofonu: — Jory, postępujesz nie fair: pan Runciter przyjechał z daleka, by porozmawiać ze swą żoną. Nie zagłuszaj jej sygnałów, Jory, zachowujesz się wstrętnie. — Przerwał, by usłyszeć odpowiedź. — Wiem, że jej sygnały są słabe. — Znów nasłuchiwał przez chwilę, nadęty i zachmurzony, potem wyjął z ucha słuchawkę i wstał.

— Co on mówił? — zażądał wyjaśnień Runciter. — Czy wyniesie się i pozwoli mi rozmawiać z Ellą?

— Jory nie ma na to wpływu — powiedział von Vogelsang. — Niech pan sobie wyobrazi dwa nadajniki radiowe pracujące na falach krótkich, średnich czy długich: jeden z nich ulokowany niedaleko, ale o mocy zaledwie 500 watów, drugi zaś odległy, ale pracujący na tej samej lub niemal tej samej częstotliwości i o mocy 5000 watów. Gdy zapadnie noc. . .

— Noc już zapadła — powiedział Runciter. Przynajmniej dla Elli. A może i dla niego, o ile nie uda mu się znaleźć zaginionych telepatów, parakinetyków, jasnowidzów, rezurektorów i animatorów Hollisa. Utracił żonę, a na domiar złego został pozbawiony możliwości skorzystania z jej rady, jako że Jory wyrugował Ellę, zanim zdążyła mu jej udzielić.

— Gdy na nowo zdeponujemy ją w chłodni — ględził von Vogelsang — nie ulokujemy już Jory'ego blisko niej. Właściwie, o ile zgodzi się pan na nieco wyższą opłatę miesięczną, możemy umieścić ją w starannie izolowanej komorze, której ściany wyłożone są dodatkowo warstwą teflonu-26, w celu wyeliminowania wszelkich wpływów heteropsychicznych czy to ze strony Jory'ego, czy też kogośkolwiek poza nim.

— Czy nie jest już za późno? — spytał Runciter, wynurzając się na chwilę

z depresji, w której pograżyło go to wydarzenie.

— Jej powrót jest możliwy. Gdy tylko wycofa się Jory, a także inne osoby, które mogły ewentualnie dostać się do niej ze względu na jej osłabienie. Jest dostępna dla niemal każdego. — Von Vogelsang zagryzł wargi, najwyraźniej zastanawiając się nad sytuacją. — Izolacja może jej nie odpowiadać, panie Runciter. Nie bez powodu umieszczamy pojemniki — czyli trumny, jak niefachowo nazywa się je powszechnie nazywa — tak blisko siebie. Wzajemne wnikanie w swe życie umysłowe daje tym półżywym jedyną. . .

— Proszę od razu umieścić ją w osobnym pomieszczeniu — przerwał mu Runciter. — Lepiej, żeby przebywała w izolacji, niż żeby nie istniała w ogóle.

— Ona istnieje — poprawił go von Vogelsang. — Jedyne nie może nawiązać z panem kontaktu, a to jest różnica.

— Jest to różnica metafizyczna, która nie ma dla mnie żadnego znaczenia — oświadczył Runciter.

— Odizoluję ją — mówił von Vogelsang — ale myślę, że ma pan rację: jest już za późno. Jory przeniknął do niej już na stałe, przynajmniej w pewnym stopniu. Jest mi bardzo przykro.

— Mnie również — szorstko powiedział Runciter.

Rozdział 3

Błyskawiczny Ubik ma wszystkie walory świeżo parzonej kawy z ekspresu. Twój mąż powie: „Ależ kochanie, dotąd uważałem, że robisz kawę taką sobie, ale teraz — bomba!” Nieszkodliwy przy użyciu według instrukcji.

Joe Chip, ciągle jeszcze w swej pasiastej piżamie, przypominającej strój kłowna, leniwie rozsiadł się za kuchennym stołem, zapalił papierosa i wrzuciwszy dziesięć centów, zaczął manipulować pokrętkiem swego niedawno wynajętego aparatu gazetowego. Ze względu na swój katzenjammer pominął „wiadomości międzyplanetarne”, zastanowił się przez chwilę nad pozycją „wiadomości lokalne” i zdecydował się na „plotki”.

— Proszę bardzo, sir — odezwał się serdecznym tonem aparat. — Plotki: Zgadnijcie, do czego obecnie zmierza Stanton Mick, lubiący samotność finansista i spekulant o międzyplanetarnej sławie. — We wnętrzu aparatu coś zaświstało i ze szczeliny wysunęło się pasmo zadrukowanego papieru. Wyrzucony przez maszynę arkusz, w czterech kolorach, pokryty tłustym drukiem o eleganckim kroju czcionek, przesunął się po blacie neodebowego stołu i sfrunął na podłogę. Chip, mimo bólu głowy, podniósł go i rozpostarł przed sobą.

MICK SIĘGA DO BANKU ŚWIATOWEGO PO DWA TRYLIONY

(AP) Londyn. Do czego zmierza Stanton Mick, lubiący samotność finansista i spekulant o międzyplanetarnej sławie? — takie pytanie zadawali sobie ludzie biznesu, gdy przez ściany Whitehallu przeniknęła wiadomość, że pełen energii, choć nieco ekscentryczny magnat przemysłowy, który niegdyś podjął się zbudowania bezpłatnie flotyli pojazdów, za pomocą których Izrael mógłby skolonizować planetę Mars i użyźnić jej pustynie, obecnie zwrócił się z nie pozbawioną szans realizacji prośbą o przyznanie mu niewiarygodnie wysokiego, bezprecedensowego kredytu w kwocie...

— To nie są plotki — powiedział do aparatu Joe Chip. — To spekulacje dotyczące transakcji finansowych. Chcę dziś poczytać o tym, który gwiazdor telewizyjny sypia z czyją znarkotyzowaną żoną. — Jak zwykle spał dość kiepsko, w każdym razie brak mu było snu typu REM — przy którym występują szybkie ruchy źrenic. Nie zażył zaś proszka podniecającego, gdyż — niestety — tygodniowy przydział środków pobudzających, dostarczony mu przez rejonową aptekę, znajdującą się na miejscu, w tym samym bloku mieszkalnym, już się skończył. Przyznać musiał, że spowodowane to zostało przez jego własny brak umiaru — ale fakt pozostawał faktem. W myśl obowiązujących przepisów wolno mu było ubiegać się o sprzedaż nowej porcji dopiero w najbliższy wtorek, to znaczy za dwa dni, dwa długie dni.

— Proszę nastawić regulator na „plotki brukowe” — powiedział aparat.

Uczył tak i niezwłocznie pojawił się przed nim nowy arkusz. Joe skupił najpierw uwagę na znakomitej karykaturze Loli Hertzburg-Wright i z zadowoleniem obliznął wargi, widząc, w jak nieprzyzwoity sposób ukazuje ona całe jej prawe udo, następnie zaś zabrał się do tekstu:

Zaczepona ubiegłego wieczoru przez pewnego opryszka w modnym nowojorskim nocnym lokalu LOLA HERTZBURG-WRIGHT poczęstowała go szybkim ciosem z prawej w szczękę. W rezultacie potoczył się on na stół, przy którym siedział KRÓL SZWEDZKI EGON GROAT w towarzystwie nie zidentyfikowanej damy o zdumiewająco dużym...

W tym momencie zabrzmiał dzwonek przy drzwiach apartamentu. Zaskoczony Joe Chip oderwał wzrok od gazety i spostrzegł, że jego papieros przypalił za chwilę gładki blat neodebowego stołu; zajął się więc akcją ratunkową. Następnie zaś powłóknął się niepewnym krokiem w stronę mikrofonu, umieszczonego dla wygody obok przycisku służącego do otwierania zamka drzwi wejściowych.

— Kto tam? — warknął. Spojrzawszy na swój ręczny zegarek stwierdził, że nie ma jeszcze ósmej. To chyba robot od czynszu, pomyślał. Albo wierzyciel. Nie ruszał przycisku odsuwającego rygiel przy drzwiach.

Z umieszczonego na drzwiach głośnika rozległ się pełen energii męski głos:

— Wiem, że jest jeszcze wcześniej, Joe, ale właśnie dotarłem do miasta. To ja, G. G. Ashwood, jest ze mną nasz nowy potencjalny pracownik, którego wyszukałem w Topece. Według mnie to wspaniałe odkrycie. Chciałbym jednak, żebyś to potwierdził, zanim zawiozę nową zdobycz Runciterowi. Zresztą on jest teraz w Szwajcarii.

— Nie mam w mieszkaniu swego sprzętu — stwierdził Chip.

— Skoczę więc do pracowni i przywiozę ci wszystko.

— Nie ma go w pracowni — przyznał się z niechęcią. — Jest w moim samochodzie. Jakoś nie wyładowałem go wczoraj wieczorem. — W istocie nażłopął

się tyle papapotu, że nie był w stanie otworzyć bagażnika swego poduszkiowca. — Czy nie można by załatwić tego po dziewiątej? — spytał zirytowany. Maniakalne ataki energii G. G. Ashwooda złościły go nawet o dwunastej w południe; teraz o siódmej czterdzieści wydawało mu się to wszystko nie do zniesienia, gorsze nawet niż wizyta wierzyciela.

— Chip, bracie drogi, to niezwykle numer, chodzące sympozjum cudów, które powyłamuje wskazówki twoich zegarów, a w dodatku będzie dla firmy zbawczym zastrzykiem świeżej krwi, która tak bardzo jest nam teraz potrzebna. Co więcej zaś...

— Co to jest? — spytał Joe Chip. — Antytelepatha?

— Powiem ci całą prawdę — oświadczył G. G. Ashwood. — Sam nie mam pojęcia. Posłuchaj, Chip — Ashwood zniżył głos — to są sprawy poufne, szczególnie w tym wypadku. Nie mogę tu stać przy bramie i trzaskać dziobem na cały głos. Ktoś może mnie podsłuchać. W istocie docierają już do mnie myśli jakiegoś osła, który siedzi w apartamencie na parterze i...

— W porządku — powiedział z rezygnacją Joe Chip. Wiedział, że i tak nie uda mu się przerwać G. G. Ashwoodowi, gdy ten rozpoczął już swój straszliwy monolog. Lepiej więc było go wysłuchać. — Daj mi pięć minut na ubranie się i rozejrzenie, czy mam w mieszkaniu jakąś kawę. — Pamiętał mgliście, że ubiegłego wieczoru robił zakupy w supermarkecie należącym do osiedla, w szczególności zaś, że wrywał z bloczka zielony kupon; oznaczałoby to, że kupował kawę, herbatę, papierosy lub jakieś specjalne przysmaki z importu.

— Na pewno ją polubisz — stwierdził energicznie G. G. Ashwood. — Choć, jak to często bywa, jest córką...

— Ją? — spytał z przestachem Joe Chip. — Mój apartament nie nadaje się do oglądania. Zalegam z opłatą za roboty sprzątające: nie było ich u mnie od dwóch tygodni.

— Zapytam, czy jej to przeszkadza.

— Nie pytaj jej. *Mnie* to przeszkadza. Przebadam ją w pracowni, w godzinach urzędowania.

Odczytałem jej myśli, nie przeszkadza jej bałagan.

— Ile ona ma lat? — Może to jeszcze dziecko — pomyślał. Znaczny procent nowych i potencjalnych inercjałów stanowiły dzieci, które rozwinęły w sobie tę umiejętność, by chronić się przed swymi rodzicami, posiadającymi zdolności psi.

— Ile masz lat, kochanie? — doszedł go niewyraźny głos G. G. Ashwooda, który odwrócił się w stronę towarzyszącej mu osoby. — Dziewiętnaście — oznajmił po chwili.

A więc to nie dziecko. Teraz jednak obudziła się w nim ciekawość. Obłędna, nadludzka aktywność G. G. Ashwooda objawiała się zazwyczaj w związku z atrakcyjnymi kobietami, może więc dziewczyna należała do tej właśnie kategorii.

— Daj mi piętnaście minut — powiedział do Ashwooda. Miał nadzieję, że jeśli pośpieszy się i zrezygnuje ze śniadania, a nawet kawy, uda mu się przez ten czas doprowadzić mieszkanie do jakiegoś ładnego stanu. W każdym razie warto było spróbować.

Wyłączył mikrofon i zaczął w kuchennych szafkach poszukiwać miotły (ręcznej lub z własnym napędem) albo odkurzacza (zasilanego z baterii helowej lub sieci). Niczego nie znalazł. Najwyraźniej firma zaopatrująca budynek nie dostarczyła mu w ogóle tego rodzaju sprzętu. Dowiadując się o tym w najbardziej nieodpowiednim momencie, pomyślał. — A przecież mieszkam tu już od czterech lat.

Podniósł słuchawkę wideofonu i zadzwonił pod 214, numer administracji budynku.

— Proszę mnie posłuchać — zaczął, gdy zgłosiła się jednostka homeostatyczna. — Mogę już przeznaczyć część moich funduszy na pokrycie rachunku za wasze roboty sprzątające. Proszę je niezwłocznie przysłać; gdy skończą pracę, zapłacę całą łączną należność.

— Sir, musi pan zapłacić całą należność, zanim w ogóle zaczną one cokolwiek robić.

Joe Chip już miał w rękach portfel; wyciągnął z niego szereg Magicznych Kart Kredytowych, których większość została już zresztą anulowana — zapewne na zawsze — ze względu na jego sytuację materialną i zaleganie ze spłatą długów.

— Proszę zatem wpisać kwotę, którą jestem winien, na konto mej Trójkątnej Magicznej Karty Kredytowej — zwrócił się do swego słabo widocznego antagonisty. — W ten sposób dług zniknie z waszych ksiąg. Możecie wpisać, że został całkowicie zapłacony.

— Dochodzą do tego kary za zwłokę i odsetki.

— Proszę wpisać je na konto mojej Karty Kredytowej w Kształcie Serca. . .

— Panie Chip, Agencja Ferris i Brockman, zajmująca się kontrolą i analizą należności w systemie kredytowej sprzedaży detalicznej, opublikowała na pana temat specjalną ulotkę. Wpłynęła ona do nas wczoraj i mamy ją jeszcze wyrażnie w pamięci. Od lipca wypadł pan z kategorii GGG, jeśli chodzi o pański kredyt, i przesunięty został do kategorii GGGG. Wydział nasz, to znaczy administracja całego budynku, został zaprogramowany w sposób wykluczający możliwość świadczenia usług czy udzielania kredytu tak wyjątkowo żalonym jednostkom jak pan, sir. Jeśli chodzi o pańską osobę, od tej pory wszystkie należności muszą być regulowane w gotówce. Obawiamy się, że będzie pan w tym pożeniu do końca życia. Szczerze mówiąc. . .

Joe przerwał połączenie, porzucając równocześnie nadzieję, że prośbą lub groźbą uda mu się zwabić sprzątające roboty do swego zaśmieconego apartamentu. Powlókł się do sypialni, aby się ubrać; to jedno był w stanie zrobić o własnych siłach.

Włożywszy brązową sportową opończę, buty o błyszczących, zadartych ku górze czubkach i filcową czapkę z pomponem, zaczął rozglądać się po kuchni w nadziei, że znajdzie trochę kawy. Szukał jej jednak bez skutku. Skupił więc swe wysiłki na living roomie. Obok drzwi prowadzących do łazienki znalazł długą błękitną pelerynę w kropki, którą miał na sobie ubiegłej nocy, oraz torbę, w której znajdowała się półfuntowa puszka prawdziwej kawy z Kenii — wielki przysmak, na którego zakupienie mógł się zdobyć jedynie po pijanemu. Szczególnie w obliczu swej obecnej opłakanej sytuacji materialnej.

Wrócił do kuchni, przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu dziesięciocentówki, a następnie za jej pomocą uruchomił ekspres do parzenia kawy. Wdychając jej niezwykle — w każdym razie dla niego — aromat, spojrzął na zegarek i stwierdził, że upłynęło już piętnaście minut, podszedł więc energicznym krokiem do drzwi wejściowych apartamentu, przekreślił gałkę i odsunął zasuwę.

— Proszę o pięć centów — powiedziały drzwi, nie otwierając się.

Przeszukał kieszenie, ale nie znalazł w nich już żadnych monet — ani jednego centa.

— Zapłacę jutro — powiedział do drzwi. Znow próbował kręcić gałką, ale drzwi wciąż były szczelnie zamknięte. — Pieniądze, które ci daję, to w gruncie rzeczy napiwek. Nie mam obowiązku ci płacić!

— Jestem odmiennego zdania — odparły drzwi. — Proszę sprawdzić w kontrakcie, który podpisał pan kupując ten apartament.

Znalazł dokument w szufladzie biurka; od czasu podpisania go musiał się do niego wielokrotnie odwoływać. No jasne: obowiązywała go opłata za otwieranie i zamykanie drzwi — nie był to więc napiwek.

— Jak pan widzi, mam rację — powiedziały drzwi tonem pełnym satysfakcji.

Z szuflady znajdującej się obok zlewozmywaka Joe wyjął nóż z nierdzewnej stali i zabrał się do odkręcania śrub w zamku swych chciwych drzwi.

— Zaskarżę pana — powiedziały drzwi, gdy wypadła pierwsza śruba.

— Nigdy jeszcze nie zaskarżyły mnie drzwi — odparł Joe Chip. — Ale myślę, że jakoś to przeżyję.

Rozległo się pukanie.

— Joe, stary, to ja, G. G. Ashwood. Przyprowadziłem ją ze sobą. Otwieraj!

— Wrzuć pięciocentówkę do otworu — mechanizm zaciął się chyba od mojej strony.

Rozległ się brzęk monety wpadającej do zamka; drzwi otworzyły się i stanął w nich promieniejący zadowoleniem G. G. Ashwood. Uśmiechając się przebiegle, z wyrazem entuzjazmu i radości na twarzy wprowadził dziewczynę do wnętrza apartamentu.

Przez chwilę stała ona nieruchomo, przyglądając się Joemu. Mogła mieć naj-

wyżej siedemnaście lat. Miała cerę o miedzianym odcieniu i duże, ciemne oczy. Mój Boże, pomyślał, jaka jest piękna. Ubrana była w roboczą koszulę i dżinsy ze sztucznego płótna oraz ciężkie buty, pochłapane — jak się wydawało — prawdziwym błotem. Splątana masa lśniących włosów miała zaczesaną do tyłu i przewiazaną czerwoną chustką. Podwinięte rękawy bluzy ukazywały silne, opalone ręce. Do pasa ze sztucznej skóry przytroczony był nóż, telefon polowy oraz żelazna racja żywności i wody. Na jej ciemnym odsłoniętym przedramieniu dostrzegł wytatuowany napis: *caveat emptor*¹. Zastanawiał się, co to może znaczyć.

— To jest Pat — powiedział G. G. Ashwood otaczając dziewczynę ramieniem w sposób demonstracyjnie poufały. — Mniejsza o nazwisko. — Był potężnym, tęgim mężczyzną o niemal kwadratowej budowie, wyglądał jak ogromna cegła. Miał na sobie, jak zwykle: wełniane poncho, filcowy kapelusz koloru morelowego, narciarskie grube skarpety i sukienne pantofle. Promieniejąc satysfakcją, zbliżył się do Joego Chipa: oto znalazł coś cennego i zamierzał to w pełni wykorzystać. — Pat, oto specjalista od pomiarów typu elektrycznego.

— Czy to pan jest typu elektrycznego czy pańskie pomiary? — chłodno zwróciła się do Joego dziewczyna.

— Na zmianę — odparł Joe. Wydawało mu się, że wszędzie wokół niego unosi się zaduch panujący w nie sprzątniętym mieszkaniu, był pewien, że Pat już zwróciła na to uwagę. — Siadajcie — powiedział niepewnie. — Dam wam po filiżance prawdziwej kawy.

— Co za luksus — odezwała się Pat, zasiadając przy kuchennym stole. Odruchowo ułożyła stertę gazet z ubiegłego tygodnia w schludniej wyglądający stos. — Jak może pan sobie pozwolić na prawdziwą kawę, panie Chip?

— Joe ma piekielnie wysoką pensję — wtrącił się G. G. Ashwood. — Firma nie mogłaby bez niego funkcjonować. — Sięgnął po leżące na stole pudełko i wyjął z niego papierosa.

— Odłóż go — zażądał Joe Chip. — Nie mam już prawie papierosów, a ostatni zielony kupon zużyłem na kupno kawy.

— Zapłaciłem za drzwi — przypomniał mu G. G. Ashwood. Podsunął pudełko dziewczynie. — Joe udaje tylko, nie zwracaj na niego uwagi. Zauważ, w jakim stanie utrzymuje swój apartament. Pokazuje w ten sposób, że jest jednostką twórczą: tak mieszkają wszyscy ludzie genialni. Gdzie twój sprzęt, Joe? Nie traćmy czasu.

— Jest pani dość niezwykle ubrana — zwrócił się Joe do dziewczyny.

— Pracuje jako konserwator podziemnych kabli wideofonów w kibucu Topeka — powiedziała Pat. — W tym kibucu tylko kobiety mogą zajmować stanowiska wymagające pracy fizycznej. Dlatego zgłosiłam się właśnie tam, a nie do kibucu w Wichita Falls. — W jej szarych oczach błysnęła duma.

¹*Caveat emptor* (łac.) — niech się strzeże kupujący.

— Jaki jest pani przeciwtalent? — spytał Joe.

— Trudno mi wytłumaczyć.

— Mówiłem ci już — wtrącił G. G. Ashwood — to coś niezwykłego. Nigdy dotąd o czymś takim nie słyszałem.

— Jakiego typu zdolności psi neutralizuje pani?

— Umiejętność jasnowidzenia — powiedziała Pat. — Tak mi się wydaje. — Wskazała na G. G. Ashwooda, który nadal uśmiechał się z entuzjazmem. — Wasz wywiadowca, pan Ashwood, wytłumaczył mi to. Wiedziałam, że robię coś dziwnego, zawsze zdarzały mi się takie dziwne momenty, już od szóstego roku życia. Nigdy nie przyznałam się do tego rodzicom, bo czułam, że ich to zmartwi.

— Czy oni są jasnowidzami?

— Tak.

— Ma pani rację: zmartwiłoby ich to. Ale gdyby posłużyła się pani swymi talentami w ich obecności choćby tylko raz, zorientowałiby się, że je pani ma. Czy nie zakłócała pani ich działalności?

— Ja... — Pat wykonała nieokreślony gest. — Wydaje mi się, że powodowałam takie zakłócenia, ale oni nie zdawali sobie z tego sprawy. — Na jej twarzy malowało się zmieszanie.

— Wytłumaczę pani, na jakiej zasadzie działa zwykle antyjasnowidz — zaczął Joe. — W gruncie rzeczy tak było we wszystkich znanych nam przypadkach. Jasnowidz widzi wielką liczbę różnych przyszłości ułożonych obok siebie, jak komórki w ulu. Jedna z nich wydaje mu się jaśniejsza — i tę właśnie wybiera; gdy dokona już tego wyboru, antyjasnowidz jest bezradny. Antyjasnowidz musi być obecny w chwili, gdy jasnowidz ma podjąć decyzję, nie zaś później. Wpływ jego polega bowiem na tym, że jasnowidz zaczyna widzieć wszystkie przyszłości jednakowo wyraźnie: całkowicie traci umiejętność wyboru. Jasnowidz natychmiast orientuje się, że w pobliżu przebywa antyjasnowidz, gdyż cały jego układ odniesienia w stosunku do przyszłości ulega wtedy zmianie. W wypadku telepatów podobną przeszkodą...

— Ona cofa się w czasie — powiedział G. G. Ashwood.

Joe spojrział na niego z uwagą.

— W czasie — powtórzył G. G. Ashwood, wyraźnie rozkoszując się tą chwilą sukcesu; znaczące błyski w jego oczach zdawały się promieniować na całą kuchnię. — Jasnowidz, na którego ona oddziaływa, nadal widzi jedną przyszłość wyraźniej, tak jak powiedziałaś: jako jedyny element o większej jasności. Wybiera go więc, i robi słusznie. Ale dlaczego ma on w tym momencie rację? Dlaczego ten właśnie element ma większą jasność? Ponieważ ta dziewczyna... — wskazał na nią. — Pat ma wpływ na przyszłość: ta jedna ewentualność ma większą jasność, ponieważ Pat cofnęła się w przeszłość i zmieniła ją. Zmieniając ją zaś, zmienia również teraźniejszość, łącznie z osobą jasnowidza. Nic o tym nie wiedząc ulega on tym samym jej wpływowi. Choć wydaje mu się, że nadal posługuje się

swymi umiejętnościami, w istocie ich już nie ma. Pod tym względem jej przeciwtalent ma przewagę nad zdolnościami innych antyjasnowidzów. Druga przewaga, jeszcze ważniejsza, polega na tym, że potrafi ona przekreślić wybór jasnowidza, i to wtedy, gdy on *już go dokonał*. Może włączyć się do akcji już później, a sam wiesz, że zawsze prześladował nas ten problem: jeśli nie znajdowaliśmy się gdzieś od samego początku, byliśmy bezradni. W pewnym sensie prawdą jest, że nigdy nie byliśmy w pełni zdolni stłumić zdolności jasnowidzów, przeciwdziałać im tak skutecznie, jak robiliśmy to z innymi, nieprawdaż? Czyż nie był to słaby punkt w zakresie naszych usług? — spojrzał pytająco na Joego.

— To ciekawe — powiedział Joe po chwili.

— Do diabła, co znaczy: ciekawe? — G. G. Ashwood niecierpliwie poruszył się na krześle. — Jest to największy przeciwtalent, jaki pojawił się do tej pory!

— Nie cofam się w czasie — powiedziała cichym głosem Pat. Podniosła wzrok i spojrzała Joemu w oczy, jakby z poczuciem winy, choć zarazem wyzywająco. — Mam pewne zdolności, ale pan Ashwood wyolbrzymił je do rozmiarów nie mających żadnego związku z rzeczywistością.

— Czytam w twoich myślach — oznajmił jej G. G. Ashwood, wyglądając na urażonego. — Wiem, że możesz zmieniać przeszłość: robiłaś to już.

— Mogę zmieniać przeszłość — przyznała Pat — ale nie cofam się w nią: nie podróżuję w czasie, jak chce to pan wmówić waszemu technikowi.

— W jaki sposób zmienia pani przeszłość? — spytał ją Joe.

— Myślę o niej. O jednym konkretnym jej aspekcie, na przykład o jakimś wydarzeniu albo o czymś, co ktoś powiedział. Albo o jakimś drobnym epizodzie, który miał miejsce kiedyś, a chciałabym, żeby do niego nie doszło. Pierwszy raz zrobiłam to, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. . .

— Kiedy miała sześć lat — przerwał jej G. G. Ashwood — i mieszkała w Detroit, oczywiście z rodzicami, stłukła zabytkową figurkę ceramiczną, do której jej ojciec był bardzo przywiązany.

— Czy ojciec pani nie przewidział tego? — spytał Joe. — Skoro ma zdolności jasnowidzenia. . .

— Przewidział — odparła Pat — i ukarał mnie na tydzień przedtem, zanim stłukłam figurkę. Ale on twierdził, że to było nieuniknione: wie pan, na czym polegają zdolności jasnowidzów — potrafią oni przewidzieć jakieś wydarzenie, ale nie umieją niczemu przeciwdziałać. Potem, kiedy figurka się stłukła, a raczej kiedy ją stłukłam, martwiłam się tym bardzo. Wspominałam ten tydzień przed jej rozbiciem, kiedy nie dostawałam deseru i musiałam iść do łóżka już o piątej po południu. Mój Boże — myślałam, czy jak tam dzieci to wyrażają — czy w żaden sposób nie można uniknąć tak okropnych wypadków? Zdolności jasnowidza, które miał mój ojciec, nie robiły na mnie szczególnego wrażenia, gdyż nie potrafił on wpływać na bieg wydarzeń — ten sam dość pogardliwy stosunek został mi zresztą do dziś. Przez cały miesiąc starałam się zmusić wysiłkiem woli tę cholerną

figurkę do tego, by znów była cała: wracałam myślami do okresu poprzedzającego jej rozbicie, przypominałam sobie, jak wyglądała. . . było to okropne. A potem pewnego ranka, kiedy wstałam z łóżka — nawet w nocy śniło mi się to wszystko — stała na swoim miejscu, tak jak dawniej. — Z napięciem nachyliła się w stronę Joe Chipa i mówiła dalej ostrym, zdecydowanym głosem: — Ale żadne z moich rodziców nic nie dostrzegło. Wydawało im się zupełnie naturalne, że figurka jest cała; sądzili, że nigdy nie została stłuczona — Ja byłam jedyną osobą, która o tym pamiętała. — Z uśmiechem oparła się o poręcz krzesła, wzięła z jego paczki jeszcze jednego papierosa i zapaliła go.

— Pójdę do auta po sprzęt — powiedział Joe, ruszając w stronę drzwi.

— Proszę o pięć centów — powiedziały drzwi w momencie, gdy chwycił za klamkę.

— Zapłać im — powiedział Joe do G. G. Ashwooda.

Przydźwigawszy z samochodu naręcze aparatów pomiarowych, Joe zażądał od wywiadowcy, żeby zostawił ich samych.

— Jak to? — spytał zdumiony G. G. — Przecież to ja ją znalazłem, mnie należy się premia. Straciłem dziesięć dni, zanim udało mi się ustalić, że to pole należy do niej. Ja. . .

— Sam dobrze wiesz, że nie mogę przeprowadzać badań w zasięgu twojego pola — powiedział Joe. — Zdolności i antyzdolności deformują się wzajemnie. Gdyby było inaczej, nie pracowalibyśmy w naszym zawodzie. — Wyciągnął do niego rękę i G. G. Ashwood z ociąganiem podniósł się z miejsca. — I zostaw mi kilka pięciocentówek, żebyśmy oboje mogli się stąd wydostać.

— Ja mam drobne — powiedziała Pat. — Są w mojej torebce.

— Możesz przecież ustalić siłę jej oddziaływania mierząc spadek intensywności mojego pola — powiedział G. G. — Widziałem ze sto razy, jak to robiłeś.

— Tym razem sytuacja jest inna — stwierdził krótko Joe.

— Nie mam już pięciocentówek — oznajmił G. G. — Nie mogę stąd wyjść.

— Proszę wziąć jedną z moich — powiedziała Pat rzucając krótkie spojrzenie kolejno na Joego i na G. G. Rzuciła Ashwoodowi monetę, którą złapał z wyrazem osłupienia na twarzy. Osłupienie to zmieniło się stopniowo w pełen żalu smutek.

— Ładnie mnie załatwiliście — odezwał się, wrzucając monetę do otworu w drzwiach. — Wy oboje. . . — mruknął, wychodząc. — Ja ją odkryłem. W tej branży naprawdę panują bezwzględne metody, jeżeli. . . — Głos jego cichł stopniowo, w miarę jak drzwi się zamykały. Potem nastąpiła cisza.

— Kiedy mu przejdzie entuzjazm, niewiele z niego zostaje — powiedziała po chwili Pat.

— On jest w porządku — stwierdził Joe. Jak zwykle czuł się winny. Ale nie bardzo. — W każdym razie zrobił swoje. Teraz. . .

— Teraz, że tak powiem, pańska kolej — powiedziała Pat. — Czy mogę zdjąć buty?

— Oczywiście. — Zaczął przygotowywać swą aparaturę pomiarową.

Sprawdził bębny i dopływ prądu, następnie uruchomił na próbę wszystkie wskaźniki, włączając różne napięcia i odnotowując ich efekty.

— Gdzie jest prysznic? — spytała Pat, schludnie odstawivszy buty na bok.

— Dwadzieścia pięć centów — mruknął. — Kosztuje dwadzieścia pięć centów. — Podniósł wzrok i spostrzegł, że zaczęła rozpinać swą bluzę. — Nie mam dwudziestu pięciu centów — dodał.

— W kibucu wszystko jest bezpłatne — powiedziała Pat.

— Bezpłatne! — Przyjrzał się jej z uwagą. — To nie do pomyślenia z punktu widzenia ekonomii. Jak może coś funkcjonować na tej zasadzie i nie zbankrutować po miesiącu?

Pat w dalszym ciągu spokojnie odpinała guziki swej bluzy.

— Nasze pensje wpłacane są do kasy kibucu, my zaś otrzymujemy zaświadczenie, że wykonaliśmy pracę. Sumą naszych dochodów w całości dysponuje kibuc. W istocie kibuc Topeka od wielu lat przynosi dochód; my — jako grupa — wpłacamy więcej, niż pobieramy. — Rozpięła bluzę i rzuciła ją na oparcie krzesła. Pod szorstką, niebieską bluzą nie miała na sobie już nic; dostrzegł jej twarde, wysokie piersi i kształtne ramiona.

— Czy jesteś pewna, że masz na to ochotę? — spytał Joe. — Mam na myśli rozbieranie się.

— Nic pan nie pamięta — powiedziała Pat.

— Czego nie pamiętam?

— Że nie zdjęłam ubrania. Wtedy, w innej terażniejszości. Był pan wtedy o to dosyć zły, więc wymazałam ten epizod, i stąd ta zmiana. — Zręcznie podniosła się z miejsca.

— Jak postąpiłem, gdy nie zdjęłaś ubrania? — spytał czujnie. — Czy odmówiłem zbadania cię?

— Mruczał pan coś, że Ashwood przecenił moje antyzdolności.

— Ja nie pracuję na tej zasadzie — powiedział Joe. — Nie robię takich rzeczy.

— Proszę spojrzeć. — Pochyliła się i piersi jej zakotływały się. Poszperała w kieszeni bluzy, wyjęła złożony arkusz papieru i podała go Joemu. — To pochodzi z poprzedniej terażniejszości, tej, którą wymazałam.

Przyjrzał się arkuszowi i odczytał swą końcową ocenę: „Wytwarza pole antypsi — niewystarczające. Całkowicie poniżej przyjętych norm. Nie można jej wykorzystać przeciwko jasnowidzom, z którymi obecnie mamy do czynienia”. Po tym następował stosowany przez niego znak umowny: przekreślone kółko. „Nie zatrudniać” — oznaczał symbol, czytelny tylko dla niego samego i dla Glena Runcitera. Nawet wywiadowcy nie potrafiliby go odczytać, Ashwood nie mógł

więc jej wyjaśnić, co oznacza. W milczeniu zwrócił jej arkusz papieru; złożyła go i umieściła w kieszeni bluzy.

— Czy musi mnie pan badać? — spytała. — Teraz, kiedy panu to pokazałam...

— Postępuję według ustalonej procedury — odparł Joe. — Te sześć wskaźników...

— Jest pan drobnym, tkwiącym w długach, beużytecznym biurokrata, którego nie stać nawet na garść monet, by zapłacić własnym drzwiom za wypuszczenie z własnego mieszkania — wycodziła Pat. Ton jej głosu był chłodny, ale miazdzący. Joe zeszywniał, wstrząsnął się i poczuł, że gwałtownie się czerwieni.

— To akurat taki fatalny moment — powiedział. — Ale lada dzień stanę na nogi. Mogę wziąć pożyczkę. Jeśli będzie to konieczne, nawet z mojej firmy. — Wstał niepewnie, wziął dwa spodki, dwie filiżanki i nalał z ekspresu kawę. — Chcesz cukru? A może śmietanki?

— Śmietanki — odrzekła Pat. Wciąż stała bosa i bez bluzy. Sięgnął do klamki lodówki, by wyjąć karton mleka.

— Proszę o dziesięć centów — odezwał się lodówka. — Pięć centów za otwarcie, pięć centów za śmietankę.

— To nie jest śmietanka — oświadczył Joe. — To zwykłe mleko. — Dalej szamotał się bezskutecznie z drzwiami lodówki. — Jeszcze ten jeden raz — zwrócił się do niej. — Przysięgam, że ci zwrócę. Dziś wieczorem.

— Proszę — powiedziała Pat, popychając w jego kierunku dziesięciocentówkę po blacie stołu. — Powinna być zamożna — dodała, przyglądając się, jak wkłada monetę do otworu w lodówce — ta pańska kochanka. Naprawdę jest pan na dnie, co? Wiedziałam o tym, gdy tylko pan Ashwood...

— Nie zawsze jest tak jak teraz — mruknął Joe.

— Czy chce pan, żebym panu pomogła, panie Chip? — Z rękami w kieszeniach dzinsów przyglądała mu się obojętnie; na jej twarzy nie malowało się żadne uczucie. Jedyne czujność. — Mogę to zrobić, wie pan? Niech pan siądzie i napisze ten raport o wynikach przeprowadzonych na mnie badań. Mniejsza o testy. Mój talent jest i tak niezwykły; pan nie może zmierzyć pola, które wytwarzam. Znajduje się ono w przeszłości, a pan bada mnie w czasie teraźniejszym, który stanowi naturalną konsekwencję tej przeszłości. Zgadza się pan?

— Proszę mi pokazać ten arkusz kontrolny, który ma pani w kieszeni bluzy. Chcę mu się jeszcze przyjrzeć, zanim podejmę decyzję.

Znowu wyjęła z kieszeni złożoną kartkę żółtego papieru i spokojnie podała mu ją przez stół. To moje pismo, powiedział, tak, to prawda. Zwrócił jej dokument i spomiędzy aparatów kontrolnych wyjął nowy, czysty arkusz tego samego żółtego papieru.

Umieścił na nim imię, wpisał wymyślone, niezwykle wysokie wyniki badań, w końcu zaś swoje własne wnioski. Nowe wnioski. „Ma niewiarygodną siłę od-

działywania. Niezwykle szeroki zakres pola antypsi. Wydaje się, że może zneutralizować wpływ dowolnie licznego zbioru jasnowidzów”. Potem narysował symbol: tym razem dwa podkreślone krzyżyki. Pat, stojąc za nim, czytała mu przez ramię — czuł na karku jej oddech.

— Co znaczą te dwa podkreślone krzyżyki? — spytała.

— Zatrudnić bez względu na koszty — odpowiedział Joe.

— Dziękuję panu. — Sięgnęła do torebki po garść banknotów, wybrała jeden z nich i podała Joemu. Była to znaczna kwota. — To pomoże panu pokryć wydatki. Nie mogłam dać go panu wcześniej, zanim wydał pan oficjalną ocenę moich umiejętności. Skreśliłby pan prawie wszystko i do końca życia byłby pan pewien, że dałam panu łapówkę. W końcu doszedłby pan nawet do wniosku, że nie mam żadnych antyzdolności.

Rozpięła dzinsy i w dyskretny sposób zaczęła się rozbierać dalej. Joe Chip, nie patrząc w jej kierunku, sprawdził treść swej notatki. Podkreślone krzyżyki miały zupełnie inne znaczenie niż to, które jej podała. Znaczyły one: „Uważajcie na tę osobę. Jej przyjęcie jest ryzykowne dla firmy. Jest niebezpieczna”

Podpisał wynik badań, złożył go i podał Pat. Od razu umieściła go w torebce.

— Kiedy mogę tu przenieść swoje rzeczy? — spytała idąc w stronę łazienki.

— Od tej chwili czuję się tu u siebie, jako że suma, którą panu dałam, wystarczy chyba na całomiesięczny czynsz.

— Kiedy chcesz.

— Proszę o pięćdziesiąt centów — powiedziała łazienka. — Przed odkręceniem kranu.

Pat pomaszerowała do kuchni i sięgnęła po torebkę.

Rozdział 4

Rewelacyjny nowy sos do sałatek Ubik. Nie włoski, nie francuski: całkowicie nowe i odmienne doznanie smakowe, które zaczyna podbijać świat. Daj się ponieść Ubikowi! Nieszkodliwy po przyrządzeniu według instrukcji.

Po wizycie w Moratorium Ukochanych Współbraci Runciter wrócił do Nowego Jorku. Opuścił wynajęty wytworny, bezszmerowy pojazd na dachu głównego budynku Korporacji Runcitera i szybko zjechał specjalną windą na piąte piętro, gdzie mieściło się jego biuro. W tej chwili — o godzinie dziewiątej minut trzydzieści rano miejscowego czasu — siedział za biurkiem w swym ciężkim, kręconym, staromodnym fotelu z prawdziwego orzecha i skóry, rozmawiając przez wideofon z działem reklamy.

— Właśnie wróciłem z Zurychu, Tamish. Konferowałem tam z Ellą. — Runciter ze złością spojrzął na swą sekretarkę, która ostrożnie weszła do jego gabinetu zamykając za sobą drzwi.

— Czego pani sobie życzy, pani Frick? — zwrócił się do niej.

Zwiędła, lękliwa pani Frick, której starczą szarość ukryć miały namalowane na twarzy kolorowe plamy, wykonała przeproszający gest; oznaczało to, że nie ma wyboru i musi mu przeszkodzić.

— W porządku, pani Frick — powiedział cierpliwie. — O co chodzi?

— Nowa klientka, panie Runciter. Myślę, że powinien pan ją przyjąć.

Zbliżyła się ku niemu, cofając się równocześnie; był to trudny manewr, który jedynie pani Frick była w stanie wykonać. Opanowanie go zajęło jej chyba ze sto lat.

— Za chwilę, po rozmowie — oznajmił Runciter. Znów przemówił do słuchawki: — Jak często pojawiają się nasze reklamy w telewizji planetarnego zasięgu, w tych godzinach, kiedy telewizję ogląda najwięcej osób? Nadal co trzy godziny?

— Niezupełnie, panie Runciter. W ciągu całego dnia reklamy naszej firmy pojawiają się przeciętnie co trzy godziny na każdym kanale UHF, ale w godzinach

szczytu kosztu są. . .

— Chcę, żeby pokazywano je co godzinę — oświadczył Runciter. — Tak radzi Ella. — W czasie drogi powrotnej na półkulę zachodnią zdecydował, które z ogłoszeń najbardziej mu się podoba. — Czy zna pan tę ostatnią decyzję Sądu Najwyższego, w myśl której mąż może bezkarnie zamordować żonę, o ile potrafi dowieść, że pod żadnymi warunkami nie chciała zgodzić się na rozwód?

— Tak, jest to tak zwana. . .

— Nie obchodzi mnie, jak zwana; istotny jest fakt, że mamy już na ten temat reklamówkę telewizyjną. Jaka jest jej treść? Nie mogłem sobie tego przypomnieć.

— Na ławie oskarżonych zasiada mężczyzna, eks-mąż — powiedział Tamish. — Jedno ujęcie pokazuje ławę przysięgłych, drugie sędziego; potem następuje zbliżenie prokuratora, który przesłuchuje eks-męża. Mówi on: „Wydaje mi się, sir, że pańska żona. . .”

— Tak, tak — powiedział z zadowoleniem Runciter. Był współautorem tego ogłoszenia. Uważał to za kolejny przejaw wspaniałej wszechstronności swego umysłu.

— Czy nie założyliśmy jednak — powiedział Tamish — że zaginieni ludzie o zdolnościach psi zatrudnieni zostali jako zespół przez którąś z wielkich spółek inwestycyjnych? Skoro zaś uważamy, że tak zapewne się stało, czy nie powinniśmy położyć nacisku na ogłoszenie adresowane do biznesmenów? Czy przypomina pan sobie na przykład to: mąż wraca do domu po całym dniu pracy. Ma jeszcze na sobie jaskrawożółty szal, opończę w kwiaty, trykotowe podkolanówki i wojskową czapkę z daszkiem. Zmęczony siada na kanapie w living roomie i zaczyna zdejmować rękawiczki, nagle garbi się, marszczy czoło i mówi: „Do diabła, Jill, coś się ze mną ostatnio dzieje niedobrego, nie mam pojęcia co. Czasem, i to z każdym dniem coraz wyraźniej, pod wpływem uwagi zrobionej przez kogoś w biurze myślę sobie: Jak to, przecież ktoś chyba czyta w moich myślach!” Wtedy ona mówi: „Jeśli to cię niepokoi, dlaczego nie skontaktujemy się z najbliższą instytucją zapobiegawczą? Oni za umiarkowaną opłatą wynajmą nam inercjała i znowu poczujesz się tak jak dawniej!” Wtedy mężczyzna zaczyna się promiennie uśmiechać i mówi; „Wiesz, to nieznośne uczucie zaczyna już. . .”

— Panie Runciter, bardzo przepraszam — w drzwiach gabinetu pojawiła się znowu pani Frick. Okulary drżały na jej nosie.

Runciter kiwnął głową.

— Później porozmawiamy, Tamish. W każdym razie proszę się porozumieć ze stacjami telewizyjnymi i rozpocząć nadawanie naszych materiałów co godzinę. Tak jak z panem ustaliłem. — Przerwał połączenie i w milczeniu przyglądał się pani Frick. — Pojechałem aż do Szwajcarii — powiedział po chwili — i kazałem obudzić Elle, by uzyskać tę informację. . . tę radę. . .

— Pan Runciter jest już wolny, panno Wirt — sekretarka niepewnie odsunęła się na bok i do gabinetu wtoczyła się tęga kobieta. Poruszając głową w górę

i w dół, jak piłką do koszykówki, skierowała swą wielką masywną postać w stronę krzesła i natychmiast usiadła zwieszając chude nogi. Miała na sobie niemodny płaszcz z tkaniny pajęczej: sprawiała wrażenie sympatycznego owada, otoczonego kokonem, który nie przez niego został nawinięty. Wydawało się, że jest zamknięta w futerale. Uśmiechała się jednak i zdawało się, że czuje się zupełnie swobodnie. Dobrze po czterdziestce, zdecydował Runciter. — Jeśli miała kiedyś dobrą figurę, okres ten dawno już minął.

— Witam, panno Wirt — powiedział. — Nie mogę poświęcić pani zbyt wiele czasu, może więc zechce pani od razu przystąpić do sedna sprawy. Na czym polega problem?

— Mamy drobne kłopoty z telepatami — zaczęła panna Wirt łagodnym i wesołym tonem, który wydawał się niestosowny. — Tak przynajmniej sądzimy, choć nie jesteśmy pewni. Zatrudniamy własnego telepatę, o którego obecności wiemy; zadanie jego polega na krążeniu wśród naszych pracowników. Jeśli napotka jakichkolwiek ludzi o zdolnościach psi: telepatów, jasnowidzów czy innych, ma obowiązek poinformować o tym. . . — uważnie spojrzała na Runcitera — poinformować mojego szefa. Złożył on taki meldunek w ubiegłym tygodniu. Zleciliśmy prywatnej firmie przeprowadzenie oceny możliwości różnych instytucji zapobiegawczych. Pańska firma uznana została za najlepszą.

— Wiem o tym — powiedział Runciter; w istocie miał w rękach taki raport. Jak dotąd jednak nie przysporzył mu on poważnych zleceń, w każdym razie niewiele. Teraz jednak pojawiła się ta sprawa. — Ilu telepatów odkrył wasz człowiek? Więcej niż jednego?

— Przynajmniej dwóch.

— Niewykluczone jednak, że jest ich więcej?

— Zgadza się — kiwnęła głowa panna Wirt.

— Funkcjonujemy w następujący sposób — zaczął Runciter. — Najpierw obiektywnie mierzymy pole psi, by dowiedzieć się, z czym mamy do czynienia. Zajmuje to zwykle tydzień do dziesięciu dni, w zależności od. . .

— Mój pracodawca życzy sobie, by przysłał pan swych inercjałów niezwłocznie — przerwała panna Wirt — rezygnując z czasochłonnej i kosztownej formalności, jaką stanowią te pomiary.

— Nie bylibyśmy w stanie określić liczby i rodzaju inercjałów, których musimy tam sprowadzić. Nie wiedzielibyśmy też, jak ich rozłokować. Żeby udaremnić operację psi, musimy postępować w sposób systematyczny: nasza praca nie polega na machaniu magiczną różdżką czy rozpylaniu trujących gazów w różnych zakamarkach. Musimy zneutralizować ludzi Hollisa jednego po drugim, przeciwstawiając zdolnościom każdego z nich odpowiednie antyzdolności. Jeśli Hollis opanował waszą firmę, zrobił to w ten sam sposób: kolejno wprowadzając jednego człowieka o zdolnościach psi po drugim. Pierwszy dostaje się do działu personalnego i zatrudnia następnego; ten z kolei opanowuje któryś z działów albo zakłada

nowy i zgłasza zapotrzebowanie na kilku dalszych... czasem trwa to miesiącami. Nie jesteśmy w stanie zlikwidować w ciągu dwudziestu czterech godzin struktury, którą oni tworzyli przez dłuższy czas. Poważne operacje psi są jak mozaika; ani oni, ani my nie możemy sobie pozwolić na niecierpliwość.

— Ale mój pracodawca — powiedziała pogodnie panna Wirt — niecierpliwi się.

— Porozmawiam z nim — rzekł Runciter, sięgając po słuchawkę wideofonu. — Jak się nazywa i jaki jest jego numer?

— Pertraktacje muszą się odbywać za moim pośrednictwem.

— Nie jestem pewien, czy w ogóle podejmę się tego zadania. Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć, w którym imieniu pani występuje? — Nacisnął guzik ukryty pod blatem biurka, polecając w ten sposób dyżurnej telepatce, Ninie Freede, by przeszła do sąsiedniego pokoju, skąd będzie mogła śledzić procesy myślowe panny Wirt. Nie mogę współpracować z tymi ludźmi, nie wiedząc, kim oni są, pomyślał. Nie mam nawet pewności, że to nie Ray Hollis usiłuje zlecić mi tę pracę.

— Ma pan jakieś uprzedzenia — powiedziała panna Wirt. — Wymagamy jedynie pośpiechu. Wymagamy go zaś dlatego, że jest to dla nas konieczne. Mogę powiedzieć panu tylko tyle: działalność nasza, którą udało im się zinfiltrować, nie jest prowadzona na Ziemi. Zarówno ze względu na potencjalne zyski, jak i nakłady inwestycyjne uważamy ją za przedsięwzięcie najwyższej rangi. Mój szef ulokował w nim wszystkie kapitały, jakie udało mu się uruchomić. Cała sprawa miała się odbywać w ścisłej tajemnicy. Tym większy przeżyliśmy szok, dowiadując się, że na miejscu znajdują się telepaci...

— Przepraszam panią na chwilę — powiedział Runciter, wstając z miejsca i kierując się w stronę drzwi gabinetu. Dowiem się, ilu mamy na miejscu ludzi, którymi moglibyśmy się posłużyć w związku z tą sprawą.

Zamknawszy za sobą drzwi zaglądał kolejno do wszystkich sąsiednich biur, aż w niewielkim bocznym pokoju odnalazł Ninę Freede, która siedziała skupiona, paląc papierosa.

— Dowiedz się, w którym imieniu ona występuje — polecił. — I ustal jak dużo gotowi są zapłacić. — Mamy trzydziestu ośmiu bezczynnych inercjałów, myślał. Może uda się w związku z tą sprawą znaleźć zajęcie dla wszystkich albo przynajmniej dla większości z nich. Niewykluczone, że wreszcie odkryłem, gdzie podzieli się ci cwaniacy Hollisa. Cała ta cholerna banda.

Wrócił do swego gabinetu i ponownie usiadł za biurkiem.

— Jeśli do waszej firmy przeniknęli telepaci — zwrócił się do panny Wirt, splatając palce na brzuchu — musicie zdać sobie sprawę z faktu, że samo przedsięwzięcie przestało już być tajemnicą. Pomijając już problem konkretnych szczegółów technicznych, które udało im się zdobyć. Dlaczego więc nie powie mi pani, co to za projekt?

Panna Wirt wahała się przez chwilę.

— Sama tego nie wiem.

— Ani gdzie jest on zlokalizowany?

— Nie — potrząsnęła głową.

— Czy wie pani, kto jest pani pracodawca? — spytał Runciter.

— Pracuję w firmie, której finanse on kontroluje; znam mojego bezpośredniego szefa, jest to pan Shepard Howard — ale nigdy nie powiedziano mi, kogo pan Howard reprezentuje.

— Jeśli dostarczymy potrzebnych wam inercjałów — czy dowiemy się, dokąd zostaną oni wysłani?

— Prawdopodobnie nie.

— A jeśli nigdy do nas nie wróca?

— Dlaczego mieliby nie wrócić? Gdy tylko uwolnią nasze przedsiębiorstwo od obcych wpływów.

— Zdarzały się wypadki — wyjaśnił Runciter — że ludzie Hollisa zabijali inercjałów wysyłanych w celu neutralizowania ich działalności. Moim obowiązkiem jest zapewnić pracownikom bezpieczeństwo. Nie jestem zaś w stanie tego uczynić, jeśli nie wiem, gdzie się oni znajdują.

Z ukrytej w jego uchu mikrośłuchawki doszedł go brzęczący dźwięk, a potem słaby, ściszony głos Niny Freede. słyszalny tylko dla niego.

— Szef panny Wirt nazywa się Stanton Mick. Jest ona jego zaufana asystentką. Żaden Shepard Howard nie istnieje. Przedsięwzięcie, o które chodzi, zlokalizowane jest głównie na Lunie; kieruje nim firma Techprize, placówka badawcza należąca do Micka. Pakiet kontrolny akcji znajduje się nominalnie w rękach panny Wirt. Nie zna ona żadnych szczegółów technicznych; pan Mick nie udostępnia jej też nigdy żadnych wyników badań, sprawozdań czy notatek, nad czym zresztą ona bardzo ubolewa. Od pracowników Micka dowiedziała się jednak, na czym, najogólniej rzecz biorąc, polega cała akcja. O ile przyjmiemy, że posiadane przez nią informacje są ścisłe, całe księżycowe przedsięwzięcie ma związek z radykalnie nowym, tanim systemem transportu międzygwiazdowego, pozwalającym na osiągnięcie szybkości zbliżonej do prędkości światła. Może on zostać oddany do dyspozycji każdej średnio zasobnej grupie etnicznej czy politycznej. Mick zdaje się sądzić, że dzięki temu systemowi możliwa stanie się kolonizacja oparta na zasadzie masowości. Zniknie w ten sposób monopol poszczególnych rządów.

Nina Freede przerwała połączenie. Runciter rozsiadł się w swym kręconym fotelu ze skóry i orzecha, pogrążając się w zadumie.

— O czym pan rozmyśla? — zapytała żywo panna Wirt.

— Zastanawiam się, czy stać was na opłacenie naszych usług. Nie mając do dyspozycji wyników badań mogę tylko z grubsza określić liczbę potrzebnych wam inercjałów — niewykluczone jednak, że dojdzie ona do czterdziestu osób — powiedział Runciter, wiedząc dobrze, że Stanton Mick może pozwolić sobie

na nieograniczoną liczbę inercjałów lub w każdym razie znaleźć sposób na to, by zapłacił za nich ktoś inny.

— Czterdzieści — powtórzyła panna Wirt. — Hmm. To poważna liczba.

— Im więcej ich zatrudnimy, tym prędzej wykonamy zadanie. Skoro zależy wam na czasie, skierujemy ich tam wszystkich równocześnie. Jeśli jest pani upoważniona do podpisania zlecenia w imieniu swego pracodawcy — zdecydowanym gestem wskazał na nią palcem, ale nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia — i o ile wpłaci pani od razu zaliczkę, zapewne uda nam się przeprowadzić całą akcję w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin — spojrzął na nią wyczekująco.

Mikrosłuchawka zaskrzeczała w jego uchu:

— Jako właścicielka firmy Techprize ma ona wszelkie upoważnienia. Może podpisywać wszystkie zobowiązania formalne opiewające na sumę równą całkowitej wartości aktywów firmy. W tej chwili oblicza, ile wynosi ta wartość wobec aktualnych kursów giełdowych. — Pauza — wiele miliardów posredów. Ale ma opory: nie chce sama podejmować decyzji ani w sprawie samego zlecenia, ani zaliczki. Wolalaby, żeby załatwili to radcy prawni Micka, nawet gdyby oznaczało to kilkudniową zwłokę.

Przecież zależy im na czasie — pomyślał Runciter. — Tak przynajmniej twierdza.

— Intuicja mówi jej — ciągnął głos w mikrosłuchawce — że pan wie lub zgaduje, kto jest jej mocodawcą. Obawia się, że w związku z tym podwyższy pan odpowiednio kwotę honorarium. Mick wie, jaką ma opinie, i uważa, że wszyscy na świecie próbują go naciągnąć. Prowadzi więc negocjacje w taki właśnie sposób: za pośrednictwem jakiejś osoby lub firmy, która występuje jako rzekomy klient. Z drugiej strony zależy im na zdobyciu jak największej liczby inercjałów. I pogodzili się z faktem, że będzie to ogromnie kosztowne.

Czterdziestu inercjałów — powiedział leniwie Runciter. Zaczął poruszać piórem po arkuszu papieru, który leżał na biurku przeznaczony właśnie do takich celów. — Zobaczymy: sześć razy pięćdziesiąt razy trzy. Mnożone przez czterdzieści.

Panna Wirt ze swym pogodnym uśmiechem przyklejonym do twarzy czekała w widocznym napięciu.

— Ciekaw jestem — mruknął — kto zapłacił Hollisowi, żeby ulokował swoich pracowników w waszym przedsiębiorstwie.

— To nie ma znaczenia powiedziała panna Wirt — istotny jest fakt, że oni się tam znajdują.

— Czasem aż do końca nie udaje nam się tego stwierdzić — powiedział Runciter. — Ale ma pani racje: kiedy w kuchni pojawiają się mrówki, człowiek nie pyta, skąd one się tam wzięły, lecz zabiera się do usunięcia ich. — Obliczył już łączny koszt.

Był kolosalny.

— Będę musiała... zastanowić się nad tym — powiedziała panna Wirt. Odwróciła oczy od szokującego widoku obliczonej przez niego kwoty i zaczęła wstać z krzesła. — Czy jest tu jakiś pokój, w którym mogłabym zostać sama? I ewentualnie zatelefonować do pana Howarda?

— Rzadko się zdarza, by któraś z instytucji zapobiegawczych dysponowała naraz tylu wolnymi inercjami — powiedział Runciter również podnosząc się z fotela. — Jeśli będziecie zwlekać, sytuacja ulegnie zmianie. O ile więc ich potrzebujecie, lepiej weźcie się do tego od razu.

— I naprawdę sądzi pan, że potrzeba aż tylu inercjów?

Runciter wziął pannę Wirt pod rękę i poprowadził ją ze swego biura, przez hali, aż do sali map.

Ta mapa pokazuje miejsce pobytu naszych inercjów, a także tych, których zatrudniają inne instytucje zapobiegawcze. Ponadto uwidoczniliśmy na niej... w każdym razie próbujemy uwidocznić... położenie wszystkich pracowników Hollisa. — Dokładnie policzył wszystkie chorągiewki rozpoznawcze, które kolejno usunięte zostały z mapy; w końcu trzymał w ręku ostatnią z nich, oznaczającą S. Dole'a Melipone'a. — Teraz wiem już, gdzie oni się znajdują — zwrócił się do panny Wirt, z której twarzy znikł mechaniczny uśmiech, kiedy uświadomiła sobie znaczenie zdjętych z mapy chorągiewek. Ujął jej wilgotną dłoń i umieścił w niej chorągiewkę oznaczającą Melipone'a, a potem zacisnął jej wilgotne palce. — Może pani zostać w tym pokoju i zastanowić się powiedział. — Oto wideofon. Nikt pani tu nie przeszkodzi. Ja będę w moim gabinecie.

Wyszedł z sali map, myśląc, że w gruncie rzeczy nie wie wcale, czy właśnie tam znajdują się ci wszyscy nieobecni ludzie Hollisa. Jest to jednak możliwe. Ponadto Stanton Mick sam zrezygnował ze zwykłej metody postępowania, to jest z przeprowadzenia obiektywnych pomiarów. Jeśli więc w rezultacie wynajmie inercjów, którzy wcale nie są mu potrzebni, będzie to jego własna wina.

Formalnie biorąc, Korporacja Runcitera miała obowiązek zawiadomić Towarzystwo o tym, że niektórzy z zaginionych ludzi Hollisa — może nawet wszyscy — zostali odnalezieni. Miał jednak pięć dni na sporządzenie takiego meldunku i postanowił wstrzymać się z nim do ostatniego momentu. Taka szansa zarobku trafia się tylko raz w życiu — pomyślał.

— Pani Frick — powiedział wchodząc do sekretariatu poprzedzającego jego gabinet — proszę napisać szkic umowy, opiewającej na czterdziestu... — Przerwał spostrzegłszy po drugiej stronie pokoju dwie osoby. Mężczyzna — Joe Chip — miał zaniedbany wygląd człowieka skacowanego i był bardziej jeszcze przygnębiony niż zwykle, czyli — pomijając niezwykle przygnębienie — prezentował się mniej więcej tak jak zawsze. Ale obok niego siedziała długonoga dziewczyna o czarnych, błyszczących oczach i czarnych, lśniących włosach. Jej intensywna, wyrafinowana uroda promieniowała na cały pokój, jakby oświetlając go silnym, posępnym płomieniem. Wydawałoby się, pomyślał, że dziewczyna stawia opór

własnej atrakcyjności, niechętnie odnosi się do swej gładkiej cery i ciemnych, zmysłowych, pełnych ust.

Wygląda, myślał dalej, jakby dopiero przed chwilą wstała z łóżka i jeszcze nie przeprowadziła porannej toalety. Jakby z niechęcią odnosiła się do nowego dnia — w gruncie rzeczy do wszystkich dni.

— Wnoszę z tego, że G. G. wrócił z Topeki — powiedział Runciter podchodząc do nich obojga.

— To jest Pat — przedstawił ją Joe Chip. — Nie ma nazwiska. — Zrobił gest w kierunku Runcitera i westchnął. Unosiła się wokół niego specyficzna atmosfera klęski, a jednak, jak się wydawało, w głębi duszy nie skapitulował jeszcze. Pod jego pełną rezygnacji postawą kryły się mgliste i niewyraźne ślady witalności. Zdaniem Runcitera, Joego można było oskarżyć o symulowanie depresji psychicznej, której w istocie wcale nie przeżywał.

— Anty co? — spytał Runciter dziewczynę, która nadal się — działa rozparta na krześle z wyciągniętymi przed siebie nogami.

— Antyketogenesis — mruknęła Pat.

— Co to znaczy?

— Zapobieganie ketosis — powiedziała dziewczyna jakby myśląc o czym innym. — Tak jak przez podanie glukozy.

— Wytłumacz mi to — Runciter zwrócił się do Joego.

— Podaj panu Runciterowi arkusz z wynikiem badań — powiedział Joe do dziewczyny.

Dziewczyna, nie wstając z miejsca, sięgnęła po swą torebkę, przeszukała ją i wyciągnęła żółty arkusz papieru, na którym Joe spisał wyniki swych badań. Rozłożyła arkusz i spojrzawszy na niego podała go Runciterowi.

— Zdumiewający wynik — powiedział Runciter. — Czy na prawdę jest aż tak dobra? — spytał Joego. I dopiero wtedy dostrzegł dwa podkreślone krzyżyki, oznaczające oskarżenie, w gruncie rzeczy o zdradę.

— Jest najlepsza ze wszystkich, z jakimi do tej pory miałem do czynienia — odparł Joe.

— Pozwoli pani do mojego gabinetu — zwrócił się Runciter do dziewczyny. Ruszył pierwszy, a oni poszli za nim.

Nagle zjawiała się wśród nich tłusta panna Wirt.

— Rozmawiałam przez wideofon z panem Howardem — poinformowała Runcitera przewracając oczami — i otrzymałam od niego niezbędne instrukcje. — W tym momencie dostrzegła Joe Chipa i Pat; zawahała się przez chwilę, ale zaraz ciągnęła dalej: — Pan Howard życzy sobie, żebyśmy od razu załatwili formalności. Czy możemy niezwłocznie do nich przystąpić? Poinformowałam już pana o pilności sprawy i o tym, jak bardzo zależy nam na czasie. — Ze swym uśmiechem porcelanowej figurki zwróciła się do pozostałych: — Czy państwo mogą

chwilę poczekać? Interes, który mam do pana Runcitera, wymaga załatwienia w pierwszej kolejności.

Pat spojrzała na nią i wybuchnęła niskim, gardłowym pogardliwym śmiechem.

— Będzie pani musiała wstrzymać się chwilę, panno Wirt — powiedział Runciter. Odczuwał lęk; spojrzał na Pat, potem na Joego i jego lęk wzmógł się. — Proszę siadać, panno Wirt — zwrócił się do niej, wskazując jedno z krzeseł stojących w sekretariacie.

— Mogę już panu dokładnie podać, ilu inercjałów zamierzamy zatrudnić — oznajmiła panna Wirt. — Pan Howard uważa, że on sam jest w stanie prawidłowo ocenić nasze potrzeby — rozmiary naszego problemu.

— Ilu? — spytał Runciter.

— Jedenastu — odparła panna Wirt.

— Podpiszemy umowę za chwilę — powiedział Runciter. — Gdy tylko będę wolny. — Gestem swej dużej, szerokiej dłoni wskazał Joemu i Pat drogę do gabinetu, zamknął za nimi drzwi i usiadł na swoim fotelu.

— Nigdy im się to nie uda — powiedział do Joego. — Nie wystarczy im jedenastu ludzi. Ani piętnastu. Ani dwudziestu. Szczególnie jeśli po stronie przeciwników występuje S. Dole Melipone. — Czuł się równie zmęczony jak zaniepokojony. — A więc to, jak sędzę, jest nasza nowa potencjalna praktykantka, którą G. G. odkrył w Topece? Czy sądzisz, że powinniśmy ją zatrudnić? Obaj z G. G. jesteście tego samego zdania? A więc, oczywiście, zatrudnimy ją. — Może przekaże ją Mickowi, pomyślał, jako jedna z tych jedenastu osób. — Nikt mi jeszcze nie zdążył powiedzieć — dorzucił — jakiego typu zdolności psi potrafi ona neutralizować.

— Pani Frick mówiła, że byłeś w Zurychu — powiedział Joe. — Co radzi Ella?

— Więcej reklam — odparł Runciter. — W telewizji. Co godzinę. Zwrócił się do mikrofonu służącego do połączeń wewnętrznych. — Pani Frick, proszę przygotować umowę o pracę pomiędzy nami a osobą nie wymienioną z nazwiska. Pierwszą pensję proszę ustalić w takiej wysokości, jaką uzgodniliśmy ze związkami zawodowymi w grudniu. Proszę zaznaczyć...

— Jaka będzie pierwsza pensja? — spytała Pal głosem pełnym sceptycyzmu i dziecięcej, naiwnej nieufności.

Runciter spojrzał na nią uważnie.

— Nie wiem nawet, co pani potrafi.

— Jest jasnowidzem, Glen — mruknął Joe Chip — ale szczególnego rodzaju. — Nie udzielił Runciterowi żadnych szczegółowych wyjaśnień; sprawiał wrażenie człowieka, który wyczerpał się jak zegarek bateryjny starego typu.

— Czy może od razu podjąć pracę? — spytał Joego Runciter. — Czy też musimy ją szkolić, instruować i czekać, aż będzie gotowa? Mamy niemal czterdziestu beczynnych inercjałów i zatrudnimy jeszcze jednego. To znaczy czterdzieści mi-

nus, jak sądzę, jedenastu. Czyli musimy płacić trzydziestu inercjałom pełną pensję, podczas gdy oni będą siedzieć i dłużyć w nosie. Nie wiem, Joe, doprawdy nie wiem. Może powinniśmy zwolnić naszych wywiadowców. W każdym razie wydaje mi się, że znalazłem resztę ludzi Hollisa. Później ci o tym opowiem.

— Proszę zaznaczyć — zwrócił się znów do mikrofonu na swym biurku — że mamy prawo zwolnić tę osobę w każdej chwili, bez żadnej opłaty za zerwanie umowy ani jakiegokolwiek odszkodowania. W ciągu pierwszych dziewięćdziesięciu dni nie przysługuje jej też prawo do renty, opieki lekarskiej i zasiłku chorobowego. — Odwrócił się znów do Pat. — Zawsze ustalam początkową pensję na czterysta posredów miesięcznie, przy dwudziestu godzinach pracy tygodniowo. Musi też pani wstąpić do Związku Zawodowego Pracowników Zatrudnionych w Górnictwie, Hutnictwie i Przemysle Młynarskim; trzy lata temu wcieleni zostali do niego wszyscy pracownicy instytucji zapobiegawczych. Nie mam na to wpływu.

— Zarabiam więcej — powiedziała Pat — konserwując przewody wideofonów kibucu Topeka. Wasz wywiadowca, pan Ashwood, mówił. . .

— Nasi wywiadowcy kłamią — przerwał Runciter — ponadto zaś nie jesteśmy prawnie zobligowani przez ich obietnice. Ani my, ani żadna inna instytucja zapobiegawcza.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i pani Frick wsunęła się niepewnie trzymając w ręku maszynopis umowy.

— Dziękuję, pani Frick — powiedział Runciter biorąc od niej papiery. Potem zwrócił się do Joego i Pat: — Moja dwudziestoletnia żona spoczywa w chłodni. Jest to piękna kobieta, ale gdy usiłuję z nią się skontaktować, zostaje ona odepchnięta przez jakiegoś wstrętne dzieciaka imieniem Jory, który zaczyna przemawiać do mnie zamiast niej. Ella, zamrożona w stanie półżycia, gaśnie powoli, a ja muszę przez cały dzień oglądać tę sponiewierana starowinę, która jest moją sekretarką. — Spojrzał na Pat, przyjrzał się jej czarnym, gęstym włosom. Poczł, jak budzą się w nim posępne żądze, zamglone i daremne pragnienia nie zmierzające donikąd, które wracały do niego puste, jak gdyby zatoczywszy idealne koło.

— Podpiszę tę umowę — powiedziała Pat, sięgając po leżące na biurku pióro.

Rozdział 5

Tym razem nic z konkursu tańca: żołądek nawala. — Przyrządę ci Ubik! Ubik natychmiast postawi cię z powrotem na nogi. Użyty zgodnie z instrukcją Ubik przynosi ulgę głowie i żołądkowi. Pamiętaj: przygotowanie Ubika jest kwestią sekund. Unikać długotrwałego dawkowania.

Podczas dłużących się dni przymusowej, nienaturalnej bezczynności antytelepatka Tippy Jackson spała zazwyczaj do południa. Umieszczona w jej mózgu elektroda nieustannie działała jako stymulant snu typu EREM, przy którym następują bardzo szybkie ruchy źrenic. Leżąc w łóżku owinięta perkalowym prześcieradłem miała więc dokładnie wypełniony czas.

W tym momencie jej sztucznie wywołany sen skupiony był wokół osoby tajemniczego pracownika Hollisa, obdarzonego kolosalnymi zdolnościami psi. Wszyscy inercjałowie znajdujący się w granicach systemu słonecznego kolejno zrezygnowali albo okazali się bezradni. Drogą eliminacji zadanie zneutralizowania pola wytwarzanego przez tę nadzwyczajną istotę przypadło w udziale właśnie jej.

— Nie mogę normalnie funkcjonować, kiedy znajdujesz się w pobliżu — poinformował ją mgliście widoczny rywal. Miał dziki, pełen nienawiści wyraz twarzy, który nadawał mu wygląd obłąkanej wiewiórki.

— Być może błędnie sądzisz, że masz nieograniczone możliwości. Zbudowałeś wątpliwą koncepcję swej osobowości, opierając się na elementach podświadomych, na które nie masz wpływu. Dlatego czujesz się przeze mnie zagrożony — odpowiedziała Tippy w swoim śnie.

— Czy nie jesteś pracownikiem jakiejś instytucji zapobiegawczej? — spytał telepata Hollisa nerwowo rozglądając się wokół siebie.

— Jeżeli twoje zdolności są tak ogromne, jak twierdzisz — odparła Tippy — możesz przekonać się o tym czytając z moich myśli.

— Nie mogę czytać w niczyich myślach — powiedział telepata. — Moje zdolności się wyczerpały. Chcę, byś porozmawiała z moim bratem Billem. Hej, Bili,

pogadaj z tą damą. Jak ona ci się podoba?

— Podoba mi się, ponieważ jestem jasnowidzem i ona nie ma na mnie wpływu — odrzekł Bill, który wyglądał mniej więcej tak samo jak jego brat telepata. Przystępując z nogi na nogę, uśmiechnął się, odsłaniając duże, białe zęby stępienie jak łopaty. — „Odarty z ludzkich kształtów przez chytrą naturę, pozbawiony rozsądnych proporcji” — przerwał marszcząc czoło. — Jak było dalej, Matt?

— „Ja, nedorobiony, wysłany przed moim czasem w ten świat dyszących, zaledwie skończony w połowie” — powiedział Matt, telepata o wyglądzie wieiórki, drapiąc się z namysłem.

— Ach, tak — Jasnowidz Bill kiwnął głową. — Pamiętam: „A tak pokraccie, koślawo, niemodnie, że na mój widok psy wyją, gdy stanę. . .” — To z *Ryszarda III*¹ — wyjaśnił Tippy. Obaj bracia wykrzywili się w uśmiechu. Nawet ich siekacze były stępienie, jak gdyby odżywiali się surowymi nasionami.

— Co to oznacza? — spytała Tippy.

— Oznacza to — powiedzieli chórem Bili i Matt — że mamy zamiar cię wykończyć.

W tym momencie obudził ją dzwonek wideofonu. Zaspana powlokła się w jego kierunku; wydawało się jej, że widzi unoszące się wokół kolorowe pęcherzyki.

— Halo — rzuciłś do słuchawki. Boże, jak już późno, pomyślała, spojrzawszy na zegarek. Zamieniam się w roślinę.

Na ekranie pojawiła się twarz Glena Runcitera.

— Dzień dobry, panie Runciter — powiedziała, usuwając się z pola widzenia kamery wideofonu. — Czy znalazło się dla mnie jakieś zajęcie?

— Cieszę się, że pani zastałem, pani Jackson — powiedział Runciter. — Kompletujemy właśnie wspólnie z Joe Chipem grupę operacyjną, złożoną z jedenastu osób, które musimy wybrać. Chodzi o wykonanie bardzo poważnego zadania. Przejrzeliśmy wyniki dotychczasowej działalności wszystkich pracowników i Joe twierdzi, że pani przeszłość wygląda zadowalająco, a ja skłonny jestem przyznać mu rację. Ile potrzebuje pani czasu na przyjazd do biura? — W jego głosie usłyszeć można było odpowiednią dozę optymizmu, ale widoczna na małym ekranie twarz miała przygnębiony i zatroskany wyraz.

— Czy w związku z tym będę musiała wyjechać. . . — zaczęła Tippy.

— Owszem, musi pani się spakować. — Tonem nagany ciągnął dalej: — Nasi pracownicy mają obowiązek zawsze być spakowani i gotowi do drogi. Chciałbym, aby zasada ta zawsze była ściśle przestrzegana, zwłaszcza w takim wypadku jak obecnie, kiedy chodzi o czas.

— Jestem spakowana. Na dojechanie do Nowego Jorku i zjawienie się w biurze potrzebuję piętnastu minut. Muszę tylko zostawić kartkę do mojego męża, który jest w pracy.

¹Akt I, scena I, przekład Jerzego S. Sity

— A więc w porządku. — Runciter wydawał się roztargniony, zapewne odczytywał już ze swojej listy następne nazwisko. — Do widzenia, pani Jackson. — Przerwał połączenie.

Co za dziwny sen — pomyślała, pospiesznie odpinając guziki od piżamy. Szybko przeszła z powrotem do sypialni, gdzie znajdowała się jej garderoba. Jak mówili Bill i Matt, co to były za wiersze? *Ryszard III*, przypomniała sobie, raz jeszcze mając przed oczami ich duże, płaskie zęby, identyczne kołkowate głowy o nieregularnych kształtach, pokryte pęczkami rudych włosów, które wyrastały z nich jak kępy zielska. Chyba nie znam *Ryszarda III*, uświadomiła sobie, a jeśli go czytałam, musiało to być bardzo

dawno temu, w dzieciństwie.

Jak mogą się człowiekowi przyśnić nie znane mu fragmenty poezji? — zadała sobie pytanie. Może naprawdę jakiś telepata wywierał na mnie wpływ podczas snu? A może byli to współpracujący z sobą telepata i jasnowidz — tacy, jakich widziałam we śnie? Warto może zapytać w naszym dziale informacji, czy przypadkiem Hollis nie zatrudnia dwóch braci o imionach Matt i Bili.

Zaniepokojona i zakłopotana zaczęła się jak najszybciej ubierać.

Zapalając zielone hawańskie cygaro Cuesta-Ray, Glen Runciter rozparł się wygodnie w swym eleganckim fotelu, nacisnął guzik i przemówił do interkomu:

— Pani Frick, proszę wypisać czek na sto poscredów, płatny do ršk G. G. Ashwooda, tytułem premii.

— Oczywiście, panie Runciter.

Obserwował G. G. Ashwooda, który z maniackim niepokojem krążył po wielkim gabinecie, irytująco stukając obcasami o podłogę zrobioną z prawdziwych klepek.

— Wydaje mi się, że Joe Chip nie jest w stanie określić jej możliwości — powiedział Runciter.

— Joe Chip jest błaznem — odparł G. G. Ashwood.

— Jak to się dzieje, że ona, ta Pat, może cofać się w czas przeszły, a nikt inny tego nie potrafi? Mógłbym się założyć, że te zdolności nie są czymś nowym. Wy, wywiadowcy, prawdopodobnie nie zwróciliście na nie po prostu dotychczas uwagi. Tak czy owak zatrudnienie jej przez instytucję zapobiegawczą jest rzeczą nielogiczną: ona ma zdolności, nie zaś antyzdolności. My zajmujemy się...

— Tłumaczyłem już, a Joe stwierdził to na arkuszu z wynikami badań: jej zdolności uniemożliwiają działalność jasnowidzom.

— Ale jest to tylko skutek uboczny. — Runciter popadł w ponurą zadumę. — Joe uważa, że ona jest niebezpieczna. Nie wiem dlaczego.

— Czy pytał go pan o to?

— Wymamrotał coś, tak samo jak zawsze — odparł Runciter. — Joe nigdy nie

ma logicznych argumentów, tylko przecucia. Z drugiej strony chce, aby wzięła ona udział w akcji na rzecz Micka. — Przerzucił leżące przed nim dokumenty działu personalnego, poprzekładał je i uporządkował. — Niech pan poprosi tu Joego, żebyśmy mogli sprawdzić, czy nasza jedenastka już się zbiera. — Spojrzał na zegarek. — Powinni lada chwila przybyć. Mam zamiar powiedzieć Joemu prosto w oczy, że zabieranie tej Pat to obłądny pomysł, skoro ona jest niebezpieczna. Czy zgadza się pan ze mną, Ashwood?

— Joe jest z nią związany — powiedział G.G. Ashwood.

— W jaki sposób?

— Łączy ich romans.

— Joego nie łączy z nikim żaden romans. Nina Freede czytała wczoraj w jego myślach: jest zbyt biedny nawet na... — przerwał, ponieważ drzwi gabinetu otworzyły się i w charakterystyczny dla siebie sposób weszła pani Frick, przynosząc mu do podpisania czek na premię dla G. G. Ashwooda. — Wiem, dlaczego chce, aby wzięła ona udział w tej akcji — mówił Runciter składając na czeku swój podpis. — Żeby mieć ją na oku. On sam też się wybiera: ma zamiar zmierzyć pole psi, niezależnie od warunków postawionych przez klienta. Musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Dziękuję, pani Frick. — Wskazał jej ręką by się odsunęła, i wręczył czek Ashwoodowi. — Przypuśćmy, że nie zmierzymy pola psi, a ono okaże się zbyt silne dla naszych inercjałów. Kto wtedy ponosi winę?

— My — odparł G. G.

— Mówiłem im, że jedenaście osób to za mało. Dostarczamy naszych najlepszych ludzi, robimy, co możemy. W końcu bardzo zależy nam na pozyskaniu takiego klienta jak Mick. Zdumiewa mnie, że ktoś tak bogaty i wpływowy jak on, może być tak krótkowzroczny i tak cholernie skąpy. Pani Frick, czy jest tam Joe? Joe Chip?

— Pan Chip jest w sekretariacie. Towarzyszy mu kilka osób.

— Ile ich jest? Dziesięć? Jedenaście?

— Mniej więcej właśnie tyle, panie Runciter. Mogę się mylić o jedną czy dwie osoby.

— Otóż i nasza grupa — zwrócił się Runciter do G. G. Ashwooda. — Chcę ich zobaczyć wszystkich razem, zanim wyruszą na Lunę. — Zwrócił się do pani Frick. — Proszę ich do mnie wezwać. — Zaciągnął się energicznie zielonym cygarem.

Pani Frick wytoczyła się z gabinetu.

— Wiemy — mówił dalej Runciter do G. G. — że pojedynczo każdy z nich pracuje dobrze. Mamy to wszystko zanotowane. — Potrząsnął plikiem dokumentów leżących dotąd na biurku. — Ale jak będą działać wspólnie? Jak potężne będzie to wielomózgowe antypole, które razem wytworzą? Niech pan spróbuje zadać sobie to pytanie, G. G. To ważny problem.

— Przekonamy się z czasem, jak sędzę — odparł G. G. Ashwood.

— Pracuję w tej branży już od dawna — powiedział Runciter. Z sekretariatu zaczęli wchodzić jego pracownicy. — To jest mój wkład we współczesną cywilizację.

— Dobrze powiedziane — stwierdził G. G. — Jest pan policjantem na straży życia prywatnego.

— Wie pan, co mówi o tym Ray Hollis? — spytał Runciter. — Twierdzi, że usiłujemy cofnąć wskazówki zegara. — Zaczął przyglądać się ludziom, którzy stopniowo wypełniali jego biuro i w milczeniu ustawiali się jeden przy drugim. Czekali, by przemówił pierwszy.

Cóż za źle dobrana grupa, pomyślał, pełen pesymizmu. Ta nosząca okulary chuda jak tyka dziewczyna o prostych, cytrynowożółtych włosach, w kowbojskim kapeluszu, mantyli z czarnej koronki i bermudach to chyba Edie Dorn. Przystojna, ciemnowłosa, starsza kobieta o sprytnych rozbieganych oczach, ubrana w jedwabne sari, nylonowy szeroki pas i grube skarpetki, to cierpiąca na nawroty schizofrenii Francys Jakaśtam, której wydaje się, że myślące istoty z Betelgeusy lądują od czasu do czasu na dachu jej bloku mieszkalnego. Kędzierzawego młodego człowieka w kwiecistej opończy i krótkich spodniach, zachowującego postawę pełną wyższości, cynizmu i dumy, Runciter nigdy dotąd nie spotkał. I tak dalej. Policzył ich: pięć kobiet i pięciu mężczyzn. Kogoś jeszcze brakowało.

Joe Chip wszedł jako ostatni. Tuż przed nim do gabinetu wkroczyła zamyślona dziewczyna o płonących oczach, Pat Conley. W ten sposób grupa była już w komplecie — jedenaście osób.

— Szybko pani dotarła, pani Jackson — zwrócił się Runciter do bladej, mniej więcej trzydziestoletniej kobiety o męskim wyglądzie, ubranej w spodnie ze sztucznej wełny lamy i szorstką koszulkę, na której wydrukowany był — wyblakły już teraz — portret *en face* lorda Bertranda Russela. — Miała pani mniej czasu niż wszyscy inni: zawiadomiłem panią na samym końcu.

Tippy Jackson przywołała na usta blady, pozbawiony wyrazu uśmiech.

— Znam niektórych spośród was — zaczął Runciter wstając ze swego fotela i polecając im gestem rąk, by wzięli sobie krzesła i usiedli wygodnie, paląc, jeśli koniecznie chcą. — Panią, panno Dorn, wybraliśmy obaj z panem Chipem jako pierwszą, z uwagi na znakomite wyniki pani działalności wymierzonej przeciwko S. Dole Melipone'owi, z którym straciła pani potem kontakt nie ze swojej winy.

— Dziękuję, panie Runciter — wymamrotała słabym, nieśmiałym głosem Edie Dorn. Zarumieniona, szeroko otwartymi oczyma zapatrzyła się w przeciwległą ścianę. — Cieszę się, że mam wziąć udział w tym nowym przedsięwzięciu — dodała niezbyt przekonującym tonem.

— Kto z państwa nazywa się Al Hammond? — spytał Runciter, zaglądając do dokumentów.

Bardzo wysoki, przygarbiony Murzyn o pociągłej twarzy, na której malowała się łagodność, ruchem ręki zwrócił na siebie jego uwagę.

— Nigdy dotąd nie spotkaliśmy się — mówił Runciter, przeglądając dokumenty znajdujące się w teczce z aktami Hammonda. — Ze wszystkich naszych antyjasnovidzów pan właśnie ma najwyższe wskaźniki. Powinienem był, rzecz jasna, postarać się poznać pana wcześniej. Kto jeszcze z państwa jest antyjasnovidzem? — Podniosły się trzy dłonie. — Dla was czworga niewątpliwie wielkim przeżyciem będzie spotkanie panny Conley i wspólna z nią praca. Jest ona najnowszym odkryciem G. G. Ashwooda i neutralizuje wpływ jasnovidzów na całkowicie nowej zasadzie. Najlepiej będzie, jeśli panna Conley sama to opisz. — Skinął głową w kierunku Pat. . .

. . . i oto okazało się, że stoi na Piątej Alei przed wystawą sklepu numizmatycznego i wpatruje się w okaz nigdy nie puszczonej w obieg złotej amerykańskiej jednodolarówki, zastanawiając się, czy może sobie pozwolić na dokupienie jej do swej kolekcji.

Jakiej kolekcji? — zaskoczony zadał sobie w myśli pytanie. Nie kolekcjonuje monet. Co ja tu robię? I od jak dawna winienem być w swoim biurze i kierować — nie mógł sobie przypomnieć, czym właściwie kierował: jakąś firmą zatrudniającą ludzi o szczególnych właściwościach i uzdolnieniach. Zamknął oczy, usiłując zebrać myśli. Nie, uświadomił sobie, musiałem wycofać się z tego w zeszłym roku z powodu choroby wieńcowej. Musiałem pójść na emeryturę. Ale przecież dopiero co tam byłem, przypomniał sobie, zaledwie kilka sekund temu. W moim gabinecie. Przemawiałem do grupy osób w związku z nowym przedsięwzięciem. Zaniknął oczy. Wszystko znikło, pomyślał oszołomiony. Wszystko, co stworzyłem.

Gdy otworzył oczy zobaczył, że znów jest w swoim gabinecie; miał przed sobą G. G. Ashwooda, Joego Chipa i ciemnowłosą, bardzo atrakcyjną dziewczynę, której imienia nie mógł sobie przypomnieć. Poza nimi w gabinecie nikogo nie było, co z niezrozumiałych względów wydało mu się dziwne.

— Runciter — powiedział Joe Chip. — Chciałbym panu przedstawić Patrycję Conley.

— Miło mi jest pana nareszcie poznać, panie Runciter — odezwała się dziewczyna. Uśmiechnęła się i w jej oczach ukazał się triumfalny błysk. Runciter nie wiedział, jaka jest tego przyczyna.

Ona zrobiła coś dziwnego — uświadomił sobie Joe Chip.

— Pat — powiedział głośno — nie potrafię tego dokładnie określić, ale coś się tu zmieniło. — Rozejrzał się badawczo po gabinecie, ale wydało mu się, że wszystko w nim jest takie jak zawsze: zbyt jaskrawy dywan, zbyt wiele nie pasujących do siebie dzieł sztuki, na ścianach obrazy pozbawione jakiegokolwiek wartości artystycznej. Glen Runciter też się nie zmienił: nadal miał siwe, zmierzwiłone włosy i zmarszczoną w zadumie twarz. Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Joego. On także wydawał się jakby zakłopotany. Stojący przy oknie G. G. Ashwood, ubrany w eleganckie spodnie z kory brzoźowej, przezroczystą kurtkę przepasaną

konopnym sznurem i wysoką czapkę maszynisty kolejowego, obojętnie wznosił ramionami. Jemu — oczywiście — wszystko wydawało się w porządku.

— Nic się nie zmieniło — odparła Pat.

— *Wszystko się zmieniło* — powiedział do niej Joe. — Musiałaś cofnąć się w czasie i przenieść nas na inny tor; nie mogę tego dowieść ani dokładnie określić charakteru zmian.

— Nie życzę sobie rodzinnych sporów w godzinach pracy — oznajmił Runciter tonem pełnym dezaprobaty.

— Rodzinnych sporów? — spytał zdumiony Joe. Potem spostrzegł pierścienek na ręku Pat: kute srebro i nefryt. Przypomniał sobie, że pomagał jej go wybrać. Kupiony dwa dni przed naszym ślubem, pomyślał, to znaczy ponad rok temu, pomimo mojej fatalnej wtedy sytuacji materialnej. Oczywiście i to uległo zmianie: pensja Pat i jej umiejętności gospodarowania pieniędzmi przyczyniły się do poprawy sytuacji. I to raz na zawsze.

— Kontynuujmy — powiedział Runciter. — Musimy zadać sobie pytanie, dlaczego Stanton Mick powierzył swe interesy innej instytucji zapobiegawczej, nie zaś nam. Rozumując logicznie, to my powinniśmy uzyskać ten kontrakt; jesteśmy najlepsi w tej branży i mamy biuro w Nowym Jorku, gdzie Mick najchętniej działa. Czy ma pani jakąś teorię, pani Chip? — z nadzieją spojrzął na Pat.

— Czy naprawdę chce pan to wiedzieć, panie Runciter? — spytała.

— Tak — energicznie kiwnął głową — bardzo chciałbym znać przyczynę.

— Ja to spowodowałam — oznajmiła Pat.

— W jaki sposób?

— Za pomocą moich zdolności.

— Jakich zdolności? — spytał Runciter. — Nie posiada pani żadnych zdolności, jest pani po prostu żoną Joe Chipa.

— Przyszłaś tu po to, żeby zjeść obiad z Joem i ze mną — odezwał się spod okna G. G. Ashwood.

— Ona ma zdolności — wtrącił się Joe. Usiłował przypomnieć sobie coś, ale wszystko stało się mgliste, pamięć gasła w tym momencie, w którym usiłował ją ożywić. Inny tor czasowy, pomyślał. Przeszłość. Niczego więcej nie mógł sobie uświadomić. W tym miejscu kończyła się pamięć. Moja żona jest niezwykłą osobą, myślał. Umie zrobić rzecz, jakiej nikt inny na Ziemi nie potrafi. Ale w takim razie dlaczego nie jest zatrudniona w Korporacji Runcitera? *Coś się tu nie zgadza.*

— Zmierzyłeś je? — spytał go Runciter. — To przecież twoja praca. Mówisz tak, jakbyś to już zrobił, wydajesz się zbyt pewny siebie.

— Nie jestem pewny siebie — odparł Joe. — Ale jestem pewien swej żony. Przyniosę aparaturę pomiarową i zobaczymy, jakie pole ona wytwarza.

— Och, daj spokój, Joe — ze złością powiedział Runciter. — Gdyby twoja żona miała jakiś talent czy przeciwtalent, zmierzyłbyś jego siłę już co najmniej

rok temu; nie musiałbyś odkrywać go teraz. — Nacisnął guzik interkomu, stojącego na jego biurku. — Dział personalny? Czy mamy w aktach teczkę pani Chip? Patrycji Chip?

Po chwili przerwy aparat przemówił:

— Nie mamy teczki pani Chip. Może figuruje ona pod swym nazwiskiem panińskim?

— Conley — powiedział Joe. — Patricia Conley.

Znowu nastąpiła przerwa.

— Na temat panny Conley mamy dwa dokumenty: wstępny raport pana Ashwooda o jej odkryciu i wyniki badań dokonanych przez pana Chipa. — Kopie obu dokumentów z wolna wysunęły się z otworu w aparacie i opadły na blat biurka.

— Podejź tu i przyjrzyj się temu, Joe — powiedział gniewnie Runciter, przeczytawszy wyniki badań przeprowadzonych przez Chipa. Szturchnął palcem w arkusz papieru. Joe zbliżył się do niego spostrzegł dwa podkreślone krzyżyki. Obaj z Runciterem wymienili spojrzenia, potem zerknęli na Pat.

— Wiem, co tam jest napisane — oznajmiła spokojnie Pat. — „Posiada niewiarygodną siłę oddziaływania. Niezwykle szeroki zakres pola antypsi”. — Skoncentrowana, usiłowała najwyraźniej przypomnieć sobie dokładnie sformułowania dokumentu. „Wydaje się, że może”...

— Dostaliśmy wtedy to zlecenie od Micka — powiedział Runciter do Joe Chipa. — Zebrałem tu grupę jedenastu inercjałów i zaproponowałem jej...

— ...żeby pokazała im, co potrafi — dokończył Joe. — A więc zrobiła to. Wykonała dokładnie pańskie polecenie. Czyli moja ocena była słuszna — końcem palca wskazał umowny symbol oznaczający niebezpieczeństwo, umieszczony u dołu strony. — Moja własna żona... — dodał.

— Nie jestem twoją żoną — powiedziała Pat. — To także zmieniałam. Czy chcesz, żeby wszystko wróciło do stanu poprzedniego? Bez żadnych zmian, nawet w szczegółach? W ten sposób wasi inercjałowie nie zobaczą wiele. Choć z drugiej strony oni i tak nie zdają sobie sprawy... chyba że niektórzy z nich zachowali, tak jak Joe, jakieś resztki wspomnień. Do tej pory powinny one jednak się ulotnić.

— Chciałbym przynajmniej odzyskać to zlecenie Micka — powiedział zgryźliwym tonem Runciter.

— Trzeba przyznać, że kiedy już poszukuję nowych pracowników, to idę na całego — powiedział wyraźnie pobladły G. G. Ashwood.

— Tak, dostarczasz nam ludzi prawdziwie utalentowanych — stwierdził Runciter.

Zabrzączał znowu interkom i zachrypiał w nim drżący, starczy głos pani Frick.

— Panie Runciter, grupa naszych inercjałów czeka, aż pan zechce ich przyjąć. Mówią, że wezwał ich pan w związku z nowym planowanym zadaniem. Czy ma pan dla nich teraz czas?

— Niech ich pani do mnie poprosi — polecił Runciter.

— Zatrzymam ten pierścionek — oznajmiła Pat, wskazując na ślubną obrączkę ze srebra i nefrytu, którą — na innej ścieżce czasowej — wybrali oboje z Joem.

Zdecydowała się zachować ten jeden element alternatywnego świata. Zastanawiała się, czy i jakie prawa wobec jego osoby mogła ponadto zachować. Miał nadzieję, że nie ma żadnych, przytomnie nie odezwał się jednak. Lepiej było w ogóle nie pytać.

Drzwi gabinetu otworzyły się i zaczęli wkraczać inercjałowie; na chwilę niepewnie przystawali, potem zaczęli siadać, zwracając się w kierunku biurka Runcitera. Glen przyjrzał im się i zaczął przeglądać leżącą przed nim stertę dokumentów; najwyraźniej usiłował ustalić, czy Pat zmieniła w jakiś sposób skład grupy.

— Edie Dorn — powiedział — tak, to pani. — Zerknął na nią i na siedzącego obok niej mężczyznę. — Hammond. W porządku, Hammond. Tippy Jackson — spojrzał na nią badawczo.

— Przyjechałam najszybciej, jak mogłam — odezwała się pani Jackson. — Dał mi pan bardzo mało czasu, panie Runciter.

— Jon Ild — odczytał kolejne nazwisko Runciter.

Rozczochrany, kędzierzawy chłopak pomrukiem zgłosił swą obecność. Jego pewność siebie, stwierdził Joe, jakby się trochę zmniejszyła: wydawał się teraz zamknięty w sobie i nieco oszołomiony.

Ciekawe byłoby stwierdzić, ile on pamięta, pomyślał Joe. Co utrwaliło się w pamięci ich wszystkich, pojedynczo i zbiorowo.

— Francesca Spanish — mówił dalej Runciter.

Odezwała się przystojna, podobna do Cyganki ciemnowłosa kobieta, od której emanowało szczególne rodzaju napięcie,

— Podczas ostatnich kilku minut, panie Runciter, kiedy czekaliśmy w pańskim sekretariacie, usłyszałam tajemnicze głosy i dowiedziałam się od nich różnych rzeczy.

— Czy to pani jest Francesca Spanish? — spytał cierpliwie Runciter. Wydawał się znużony bardziej niż zwykle.

— To ja; zawsze się tak nazywałam i zawsze będę się tak nazywać — w głosie panny Spanish brzmiało głębokie przekonanie. — Czy mogę panu powiedzieć, co oznajmiły mi te głosy?

— Może później — zaproponował Runciter, sięgając po akta następnej osoby.

— Ale ja muszę to powiedzieć — oznajmiła drżącym głosem panna Spanish.

— W porządku — zgodził się Runciter. — Zrobimy kilka minut przerwy. — Otworzywszy szufladę swego biurka, wyjął tabletkę amfetaminy i zażył ją bez popijania. — Proszę nam powiedzieć, co oznajmiły pani te głosy, panno Spanish. — Zerknął w kierunku Joego i wzruszył ramionami.

— Ktoś — zaczęła panna Spanish — przeniósł nas wszystkich przed chwilą w obręb innego świata. Osiedliliśmy się w nim i żyliśmy tam jako jego mieszkańcy, a potem za sprawą jakiejś wielkiej, wszechogarniającej potęgi duchowej

powróciliśmy na nasz własny świat.

— To zrobiła Pat — wyjaśnił Joe Chip. — Pat Conley, która właśnie od dziś zaczęła pracować w naszej firmie.

— Czy jest pan Tito Apostos? — spytał Runciter. Wyciągając szyję, rozglądał się wśród siedzących w pokoju osób.

Łysy mężczyzna wskazując na siebie palcem, potrząsnął kocią brodą. Miał na sobie niemodne, obciste w biodrach spodnie ze złotej lamy, a jednak wyglądał dość elegancko. Może przyczyniały się do tego wielkie jak jajka guziki jego zielonej koronkowej bluzy; w każdym razie emanowała od niego wielka godność i niezwykła wyniosłość. Joe poczuł, że ów człowiek zrobił na nim wrażenie.

— Don Denny — przeczytał Runciter.

— Tu jestem, sir — odezwał się pewnym siebie barytonem, przypominającym głos syjamskiego kota, szczupły, poważnie wyglądający mężczyzna, który siedział na krześle wyprostowany, z dłońmi na kolanach. Miał na sobie tunikę ze sztucznego włókna, skórzane kowbojskie spodnie przybrane gwiazdkami z imitacji srebra i sandały. Jego długie włosy przewiązane były wstążką.

— Jest pan antyanimatorem — powiedział Runciter, zaglądając do właściwego arkusza. — Jedyńm, jakiego zatrudniamy. — Zwrócił się do Chipa: — Mam wątpliwości, czy będzie nam potrzebny. Może powinniśmy wziąć na jego miejsce jeszcze jednego antytelepatę; potrzebujemy ich jak najwięcej.

— Musimy być przygotowani na wszystko — stwierdził Joe. — Nie wiemy przecież, z czym mamy do czynienia.

— I ja tak sądzę — Runciter kiwnął głową. — W porządku. Sammy Mundo.

Młody człowiek o małym nosie i drobnej, przypominającej melon głowie, ubrany w spódnicę maxi, podniósł rękę niezdecydowanym, mechanicznym gestem, jak gdyby, pomyślał Joe, jego ciało zrobiło to bez udziału mózgu. Znał tego człowieka. Mundo wydawał się o wiele młodszy, niż był w istocie: proces rozwoju tak fizycznego, jak i umysłowego dawno już się u niego wstrzymał. Pod względem inteligencji Mundo znajdował się na poziomie szopa: umiał chodzić, jeść, kąpać się, a nawet w pewien sposób — mówić. Jego zdolności antytelepatyczne były jednak znaczne. Zdarzyło się kiedyś, że sam jeden przyćmił S. Dole Melipone'a; gazetka firmy rozpisywała się o tym przez wiele miesięcy.

— Ach, tak — powiedział Runciter. — Doszliśmy do Wendy Wright.

Joe jak zawsze skorzystał z okazji, by przyjrzeć się dokładnie dziewczynie, którą — gdyby mu się to udało — chętnie uczyniłby swą kochanką albo jeszcze chętniej — żoną. Wydawało się niemożliwe, żeby Wendy Wright składała się jak inni ludzie z krwi i organów wewnętrznych. W jej sąsiedztwie czuł się jak drobny, tłusty, spocony, niewykształcony żarłok o rozklekotanym żołądku i świszczącym oddechu. Zaczynał wtedy zdawać sobie sprawę z mechanizmów, które utrzymują go przy życiu: pompy, rury, zawory, sprężarki i paski klinowe musiały z hałasem wykonywać w jego organizmie swą pozbawioną szans powodzenia pracę, skazaną

ostatecznie na klęskę. Widząc jej twarz, miał wrażenie, że jego własna jest krzykliwą maską, obserwując jej ciało, czuł się jak tandetna, nakręcana zabawka. Cała była w subtelnych kolorach, jakby delikatnie podświetlonych. Jej oczy, przypominające zielone, polerowane klejnoty, spoglądały na wszystko beznamiętnie i nigdy nie dostrzegł w nich lęku, wstrętu czy pogardy. Wszystko, na co patrzyła, zyskiwało sobie jej akceptację. Robiła wrażenie osoby bardzo spokojnej: wydawała się przy tym silna, pogodna i opanowana, odporna na wyczerpanie, zmęczenie, choroby i niemoc. Miała pewnie jakieś dwadzieścia pięć czy dwadzieścia sześć lat — ale nie mógł sobie wyobrazić, by kiedykolwiek wyglądała młodziej, i wydawało mu się pewne, że nigdy się nie zestarzeje. Zbyt dobrze panowała zarówno nad sobą, jak i nad otaczającą ją rzeczywistością, by ulegać wpływom wieku.

— Jestem — odezwała się Wendy spokojnym, łagodnym głosem.

— Okay — kiwnął głową Runciter. — Zostaje jeszcze Fred Zafsky. — Przyjrzał się tłustemu mężczyźnie w średnim wieku. Wyglądał on dość niezwykle: miał wielkie stopy, włosy zaczesane gładko ku przodowi, nieświeżą cerę i dziwacznie wystającą grdykę. Na wyjazd ubrał się w luźną tunikę koloru pośladków pawiana. — To zapewne pan?

— Ma pan rację — stwierdził Zafsky, chichocząc. — No i co?

— Mój Boże — Runciter potrząsnął głową. — No cóż, musimy na wszelki wypadek wziąć ze sobą jednego parakinetyka i właśnie pan nim jest. — Opuścił dokumenty na biurko i rozejrzał się za swym zielonym cygarem. Potem zwrócił się do Joego: — Oto cała grupa, plus ty i ja. Czy chcesz wprowadzić jeszcze teraz jakieś zmiany?

— Mnie odpowiada ten skład — odparł Joe.

— Sądzisz, że ten zespół to najlepiej dobrana grupa inercjałów, jaką możemy wystawić? — Runciter bacznie się w niego wpatrywał.

— Tak — odparł Joe.

Ale wiedział, że to nieprawda.

Nie potrafił tego wyraźnie określić. Z pewnością jego przekonanie nie było oparte na przesłankach racjonalnych. Możliwości jedenastu inercjałów w dziedzinie wytwarzania antypola były kolosalne. A jednak...

— Czy może mi pan poświęcić sekundę czasu, panie Chip — Łysy i brodaty Tito Apostos w lśniących spodniach ze złotej lamy ujął Joego za ramię. — Chciałbym panu opowiedzieć o czymś, co przydarzyło mi się ubiegłej nocy. Podczas snu nawiązałem, jak mi się zdaje, kontakt z jednym, a może i dwoma pracownikami Hollisa. Był to telepata, współpracujący najwyraźniej z jednym z zatrudnionych tam jasnowidzów. Czy sądzi pan, że powinienem poinformować o tym pana Runcitera? Czy to ma jakieś znaczenie?

Joe Chip spojrział z wahaniem w kierunku Glena, który siedział w swym cennym, ulubionym fotelu i usiłował na nowo rozpaścić hawańskie cygaro. Miał zapadnięte policzki i wydawał się ogromnie zmęczony.

— Nie — powiedział Joe. — Niech się pan tym nic przejmuję.

— Panie i panowie — głos Runcitera zapanował nad panującym w gabinecie gwarem. — Udajemy się na Lunę: wy, czyli jedenastu inercjałów, Joe Chip, ja sam oraz przedstawicielka naszego klienta, Zoe Wirt — razem czternaście osób. Posłużymy się naszym własnym statkiem. — Wydobył staromodny, okrągły kieszonkowy zegarek i sprawdził godzinę. — Jest trzecia trzydzieści. *Pratfall II* wystartuje o czwartej z dachu głównego budynku. — Zamknął zegarek i schował go do kieszonki swej jedwabnej szarfy. — No cóż, Joe — stwierdził. — Razem bierzemy w tym udział, na dobre czy na złe. Chciałbym, żebyśmy mieli dyżurnego jasnowidza, który mógłby przepowiedzieć nam przyszłość. — W jego głosie, tak jak i na twarzy, osiadło zmęczenie wywołane troskami, kłopotami, a także ciężkim brzemieniem odpowiedzialności i wieku.

Rozdział 6

Chcieliśmy zapewnić ci golenie, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałeś. Powie-
dzieliśmy sobie: czas już na to, aby męska twarz została trochę popieszczona.
Wraz z pojawieniem się automatycznej golarki Ubik o wiecznym ostrzu ze
szwajcarskiego chromu przeminęły dni przykrego zmagania się z zarostem.
Wypróbuj więc golarkę Ubik i daj się popieścić. Uwaga: używać zgodnie z
instrukcją. I ostrożnie.

— Witajcie na Lunie — powiedziała wesołym tonem Zoe Wirt. Dzięki trójkąt-
nym okularom w czerwonej oprawie jej pogodne oczy wydawały się większe. —
Pan Howard pragnie za moim pośrednictwem przekazać wam wszystkim serdecz-
ne pozdrowienia, szczególnie zaś wyraża wdzięczność panu Glenowi Runcitero-
wi, który pozwolił nam skorzystać z usług swej firmy, a konkretnie z usług obec-
nych tu osób. Apartament ukrytego pod powierzchnią hotelu, w którym obecnie
przebywamy, udekorowany przez uzdolnioną artystycznie siostrę pana Howarda,
Ladę, znajduje się w odległości zaledwie trzystu jardów od obiektów przemysł-
owych i badawczych, które — jak sądzi pan Howard — uległy infiltracji. Obecność
państwa w tym pokoju powinna już ograniczyć zdolności psi agentów Hollisa, co
niewątpliwie bardzo nas wszystkich cieszy. — Przerwała i rozejrzała się wśród
zebranych. — Czy są jakieś pytania?

Joe Chip, pochłonięty majstrowaniem przy swej aparaturze, nie zwracał na
nią uwagi. Mimo zastrzeżeń klienta zamierzał dokonać pomiaru otaczającego ich
pola psi. Decyzję taką podjęli wspólnie z Runciterem

podczas godzinnego lotu z Ziemi.

— Ja mam pytanie — odezwał się Fred Zafsky, podnosząc rękę. Zachichotał.
— Gdzie jest łazienka?

— Każdy z państwa otrzyma miniaturową mapkę — odparła panna Wirt —
na której będzie to uwidocznione. — Skinęła głową w kierunku swej zaniedba-
nej asystentki, która zaczęła rozdawać jaskrawe, kolorowe plany, wydrukowane na
błyszczącym papierze. — W skład apartamentu wchodzi kuchnia, z której wszyst-

kich urządzeń korzystać można bezpłatnie, bez wrzucania monet. Koszty budowy tej jednostki mieszkalnej, mogącej wygodnie pomieścić dwadzieścia osób, były oczywiście niezwykle wysokie. Zaopatrzona jest ona we własny automatycznie sterowany układ wentylacyjny, system ogrzewania, dopływ wody i bardzo bogaty wybór artykułów żywnościowych, a także zamknięty system telewizyjny i wysokiej jakości polifoniczny fonograf z pełnym wyposażeniem. W odróżnieniu od sprzętu kuchennego dwa ostatnie aparaty wymagają wrzucenia monety. By ułatwić państwu korzystanie z tych urządzeń rekreacyjnych, w salonie gier umieszczono maszynę, która rozmienia pieniądze na drobne.

— Na moim planie jest tylko dziewięć sypialni — stwierdził Al Hammond.

— W każdej sypialni znajdują się dwa podnoszone łóżka typu okrętowego, jest więc to liczba wystarczająca dla osiemnastu osób. Co więcej, pięć z nich to łóżka podwójne, aby ci, którzy zechcą, mogli podczas pobytu u nas sypiać razem.

— Wydałem specjalny przepis — powiedział rozdrażnionym tonem Runciter — na temat wspólnego sypiania moich pracowników.

— Czy jest pan za, czy przeciw?

— Przeciw. — Runciter zmiął swoją mapkę i upuścił ją na metalową, podgrzewaną podłogę. — Nie mam zwyczaju słuchać niczyich. . .

— Ależ pan nie będzie tu mieszkał, panie Runciter — zwróciła mu uwagę panna Wirt. — Czyż nie zamierza pan powrócić na Ziemię, gdy tylko pańscy pracownicy rozpoczną działalność? — Obdarzyła go swym sztucznym, zawodowym uśmiechem.

— Czy masz już jakieś dane na temat pola psi? — zwrócił się Runciter do Joe Chipa.

— Muszę najpierw dokonać pomiaru antypola wytwarzanego przez naszych inercjałów — wyjaśnił Joe.

— Powinieneś być to zrobić w czasie podróży — stwierdził Runciter.

— Czy usiłuje pan robić pomiary? — spytała zaniepokojona panna Wirt. — Jak już mówiłam, pan Howard wyraźnie sobie tego nie życzy.

— Mimo to sprawdzamy stan pola — stwierdził Runciter.

— Pan Howard. . .

— Stanton Mick nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia — oświadczył Runciter.

— Czy mogłaby pani poprosić tu pana Micka? — zwróciła się panna Wirt do swej nieciekawej asystentki, która natychmiast ruszyła w kierunku zespołu wind. — Pan Mick sam udzieli panu wszystkich wyjaśnień. Tymczasem bardzo proszę wstrzymać pomiary i zaczekać na jego przybycie.

— Mogę już odczytać dane dotyczące naszego własnego pola — powiedział Joe Chip do Runcitera. — Jest ono bardzo silne. — Zapewne ze względu na obecność Pat, doszedł do wniosku. — O wiele silniejsze, niż się spodziewałem —

dodał. — Dlaczego tak im zależy na tym, byśmy nie dokonali pomiarów? — zastanawiał się. Przecież nie chodzi już o czas. Nasi inercjałowie tu są i już zaczęli funkcjonować.

— Czy są tu jakieś szafy — spytała Tippy Jackson — w których moglibyśmy umieścić garderobę? Chciałabym się rozpakować.

— W każdej sypialni — wyjaśniła panna Wirt — znajduje się duża szafa, funkcjonująca po wrzuceniu monety. Chcę też wręczyć państwu na początek — wyjęła dużą plastikową torbę — ten oto zapas monet w formie prezentu. Czy mógłby pan rozdzielić je równo między wszystkich? — ciągnęła, wręczając Jonowi Ildowi rulony pięcio- dziesięcio- i dwudziestopięciocentówek. — Jest to gest dobrej woli ze strony pana Micka.

— Czy w tym ośrodku jest jakaś pielęgniarka albo lekarz? — spytała Edie Dorn. — Zdarza się, że podczas intensywnej pracy cierpię na psychosomatyczne podrażnienie skóry. Zwykle pomaga mi maść na bazie hydrocortisonu, ale w pośpiechu jej zapomniałam.

— W zakładach przemysłowo-badawczych znajdujących się w sąsiedztwie tego pomieszczenia mieszkalnego — odparła panna Wirt — sprawują ciągły dyżur liczni lekarze. Ponadto znajduje się tam niewielki ośrodek medyczny dysponujący łózkami dla chorych.

— Czy i on funkcjonuje po wrzuceniu monety? — spytał Sammy Mundo.

— Opieka lekarska jest u nas bezpłatna — oświadczyła panna Wirt. — Ale kandydat na pacjenta sam musi udowodnić, że jest naprawdę chory. Jednakże automaty sprzedające lekarstwa działają po wrzuceniu monety. W związku z tym chciałabym dodać, że w tutejszym salonie gier znajdują państwo automat sprzedający środki uspokajające. Jeśliby zaś państwo sobie tego życzyli, będziemy mogli zapewne sprowadzić z sąsiednich zakładów także maszynę sprzedającą środki podniecające.

— A co ze środkami halucynogennymi? — spytała Francesca Spanish, — Osiągam lepsze wyniki pracy, zażywając psychodeliczne preparaty na bazie sporyszu; pod ich wpływem widzę naprawdę mojego przeciwnika i przekonałam się, że to mi pomaga.

— Nasz szef, pan Mick, jest wrogiem wszelkich preparatów halucynogennych na bazie sporyszu: uważa, że działają one szkodliwie na wątrobę. Jeśli przywiozła je pani z sobą, może pani je zażywać. Ale nie otrzyma ich pani od nas, choć, jak sądzę, posiadamy takie specyfiki.

— Od kiedy — zwrócił się do Franceski Spanish Don Denny — preparaty psychodeliczne są ci potrzebne do halucynacji? Całe twoje życie jest halucynacją na jawie.

— Dwa dni temu miałam szczególnie fascynujące widzenie — odpowiedziała spokojnie Francesca.

— Nie dziwię się — powiedział Don Denny.

— Grupa telepatów i jasnowidzów zeszła po drabince z cienkiego konopnego sznura na balkon znajdujący się za moim oknem. Przeniknęli przez ścianę i zjawili się przy moim łóżku budząc mnie swoją gadaniną. Cytowali wiersze i poetycką prozę ze starych książek; ogromnie mi się to podobało. Wydawali mi się tacy — przez chwilę szukała właściwego słowa — tacy błyskotliwi. Jeden z nich, który przedstawił się jako Bill. . .

— Jedną chwileczkę — przerwał Tito Apostos — ja też miałem taki sen. — Zwrócił się do Joego: — Pamięta pan, mówiłem panu tuż przed odjazdem z Ziemi. — Nerwowo zacisnął dłonie — Czy przypomina pan sobie?

— Mnie też się śniło — powiedziała Tippy Jackson. — Bill i Matt. Powiedzieli, że mają zamiar mnie wykończyć.

— Powinieneś był mnie o tym poinformować — zwrócił się do Joego Runcitera. Jego twarz pociemniała gwałtownie i wykrzywił ją jakiś grymas.

— Ale wtedy ty. . . — zaczął Joe i przerwał. — Wydawałeś się zmęczony. Miałeś inne sprawy na głowie.

— To nie był sen — powiedziała ostrym tonem Francesca — to było prawdziwe widzenie. Potrafię je odróżnić.

— Oczywiście, że potrafisz, Francesco — powiedział Don Denny, mrugając do Joego.

— I ja miałem sen — odezwał się Jon Ild. — Ale dotyczył on pojazdów poruszających się na poduszce powietrznej. Starłem się utrwalić w pamięci numery znajdujące się na ich tablicach rejestracyjnych. Zapamiętałem ich sześćdziesiąt pięć i jeszcze teraz mogę powtórzyć. Czy chcecie, żebym to zrobił?

— Bardzo mi przykro. Glen — powiedział Joe Chip do Runcitera. — Myślałem, że zdarzyło się to jedynie Apostosowi. Nie wiedziałem nic o innych. Ja. . . — przerwał na dźwięk rozsuwających się drzwi windy. Podobnie jak inni odwrócił się i spojrzął w tym kierunku.

Stanton Mick — niski, tęgi mężczyzna, szedł w ich kierunku na swych grubych nogach. Ubrany był w krótkie, kwaciaste spodnie, różowe pantofle z futra jaka i uszyte z wężowej skóry wdzianko bez rękawów. Długie do pasa, utlenione na biało włosy przepasane miał wstążką. Jego nos, pomyślał Joe, wygląda jak gumowa gruszka klaksonu jednej z taksówek, jakie jeżdżą po New Delhi — miękki i dający się ścisnąć. A także hałaśliwy. Najbardziej hałaśliwy nos, jaki w życiu widziałem.

— Witajcie, czołowi posiadacze zdolności antypsi — powiedział Mick, rozkładając ramiona w przesadnym geście powitalnym. — Oto zjawili się eksterminatorzy — mam na myśli państwa.

Jego głos miał przenikliwy, skrzypiący ton, wskutek czego przypominał głos kastrata. Równie niemiły dźwięk mógłby panować w ulu pełnym metalowych pszczół, pomyślał Joe.

— Oto na przyjazny, spokojny, nieszkodliwy świat Stanton Micka spadła plaga w postaci bandy różnych ludzi o zdolnościach psi. Cóż to był dla nas za dzień, tu w Mickville — jak nazywamy tę naszą miłą, sielską osadę na Lunie! Oczywiście przystąpiliście już do pracy, tak jak się spodziewałem. Jesteście przecież najlepszymi specjalistami w swojej branży, przyznaje to każdy, przy kim wspomni się o Korporacji Runcitera. Ja sam jestem już zachwycony waszą działalnością, z jednym wyjątkiem. Widzę bowiem, że wasz kontroler majstruje coś przy swym sprzęcie. Czy mógłby pan patrzeć w moją stronę, gdy się do pana zwracam?

Joe wyłączył swe wskaźniki i aparaty rejestrujące, zamknął też dopływ prądu.

Czy zechce pan teraz zaszczycić mnie uwagą? — spytał go Stanton Mick.

— Owszem — odparł Joe.

— Nie wyłączaj swych aparatów — polecił mu Runciter. — Jesteś zatrudniony u mnie i nie podlegasz panu Mickowi.

— To nie ma znaczenia. Dokonałem już pomiarów pola psi wytwarzanego w tym rejonie. — Wykonał swoje zadanie. Stanton Mick przybył za późno.

— Jak silne jest ich pole? — zapytał Runciter.

— *Tu nie ma żadnego pola* — powiedział Joe.

— Czy to znaczy, że nasi inercjałowie zneutralizowali je? Że nasze antypole jest silniejsze?

— Nie — powiedział Joe. — W zasięgu moich aparatów nie ma w ogóle żadnego pola psi. Odnotowałem nasze własne pole, a więc wszystko wskazuje na to, że moje instrumenty funkcjonują prawidłowo; wydaje mi się, że wyniki były dokładne. Wytwarzamy 2000 jednostek blr; co kilka minut ich liczba sięga 2100. Zapewne będzie ona stopniowo wzrastać; gdy nasi inercjałowie będą mieli już za sobą, powiedzmy, dwanaście godzin wspólnej pracy, może ona dojść nawet do...

— Nie rozumiem — powiedział Runciter.

Wszyscy inercjałowie skupili się wokół Joego Chipa. Don Denny wziął do rąk jedną z taśm wyrzucanych przez detektor, przyjrzał się zupełnie prostej kresce zapisu i pokazał taśmę Tippy Jackson. Wszyscy inercjałowie kolejno obejrzel ją w milczeniu, po czym zaczęli wpatrywać się w Runcitera. Runciter zwrócił się do Stanton Micka:

— Skąd wam przyszło do głowy, że ludzie Hollisa dokonali infiltracji waszych zakładów na Lunie? I dlaczego sprzeciwiliście się dokonaniu przez nas zwykłych pomiarów? Czy wiedzieliście, że uzyskamy taki właśnie wynik?

— On z pewnością wiedział — odezwał się Joe Chip. Był o tym najzupełniej przekonany.

Na twarzy Runcitera pojawił się nagle wyraz energicznego podniecenia. Zaczął coś mówić do Micka, potem zmienił zamiar i cicho powiedział do Joego:

— Wracamy na Ziemię, zabieramy stąd natychmiast inercjałów. — Podnosząc głos, przemówił do pozostałych: — Zabierzcie swoje rzeczy, lecimy z powrotem do Nowego Jorku. Chcę, żebyście wszyscy byli na statku w ciągu najbliższych

piętnastu minut. Tych, którzy się nie zjawiają, będziemy musieli tu zostawić. Joe, poskładaj swoje rupiecie na jedną kupę; jeśli sam nie dasz sobie rady, pomogę ci je zanieść na statek. W każdym razie chcę je stąd zabrać i ciebie razem z nimi. — Ponownie zwrócił w stronę Stantona Micka swą obrzmiałą z gniewu twarz i zaczął coś do niego mówić. . .

Stanton Mick, rozkładając sztywno ręce uniósł się nagle pod sufit pokoju i przemówił stamtąd swym skrzypiącym głosem, przypominającym brzęczenie metalowego owada:

— Panie Runciter, niech pan nie pozwala swoim odruchom zapanować nad rozsądkiem. Sprawa ta wymaga rozważań, nie zaś pośpiechu. Proszę uspokoić swych ludzi; zbierzmy się razem, by podjąć wysiłki zmierzające do wzajemnego zrozumienia. — Jego kolorowa, okrągła postać balansowała na wszystkie strony, wykonując poprzeczne ruchy obrotowe. Teraz w kierunku Runcitera zwrócona była nie jego głowa, lecz nogi.

— Słyszałem o czymś takim — powiedział do Joego Runcitera. — To samoniszcząca bomba w kształcie człowieka. Pomóż mi wyprowadzić stąd wszystkich. Przed chwilą przestawili ją na działanie samoczynne, dlatego uniosła się w górę.

W tym momencie nastąpiła eksplozja.

Zwały smrodliwego dymu, kłębiące się wśród popękanych ścian opadały ku podłodze, zasłaniając drgającą postać ludzką, leżącą twarzą w dół u stóp Joego Chipa.

— Zabili Runcitera, panie Chip! — krzyczał Joemu do ucha Don Denny jęcząc się z podniecenia. — To pan Runciter!

— Kogo jeszcze? — spytał Joe chrapliwym głosem, usiłując złapać oddech: gryzący dym uciskał mu płuca. W głowie dzwoniło od wstrząsu wywołanego wybuchem. Poczuł, że po szyi spływa mu coś ciepłego; okazało się, że skaleczył go jeden z odłamków.

— Wydaje mi się, że wszyscy pozostali żyją, choć są ranni — powiedziała stojąca obok, ale ledwie widoczna Wendy Wright.

— Czy moglibyście wezwać kogoś z animatorów Raya Hollisa? — spytała Edie Dorn, pochylając się nad Runciterem. Na jej pobludłej twarzy malowała się rozpacz.

— Nie — powiedział Joe, również schylając się. — Nie masz racji — zwrócił się do Dona Denny. — On żyje.

Ale Runciter konał leżąc na pokrzywionej podłodze. Za dwie, trzy minuty słowa Dona Denny staną się faktem.

— Posłuchajcie mnie wszyscy — powiedział głośno Joe. — Ponieważ pan Runciter jest ranny, ja obejmuję dowództwo, w każdym razie do momentu naszego powrotu na Ziemię.

— Zakładając — powiedział Al Hammond — że w ogóle uda nam się tam wrócić. — Przyłożył złożoną chusteczkę do głębokiego rozcięcia nad prawym

okiem.

— Kto z was ma przy sobie broń? — spytał Joe. Inercjałowie poruszali się bezładnie, nie odpowiadając. — Wiem, że jest to sprzeczne z zarządzeniami Towarzystwa — ciągnął — ale wiem też, że niektórzy ją mają. Nie przejmujcie się tym zakazem: zapomnijcie o wszystkim, co kiedykolwiek mówiono wam na temat inercjałów mających przy sobie broń podczas pracy.

— Mam broń wśród naszych bagaży. W sąsiednim pokoju — powiedziała po chwili Tippy Jackson.

— Moja jest tu — odezwał się Tito Apostos. Trzymał już w prawej ręce starodawny rewolwer na ołowiane naboje.

— Jeśli macie broń w sąsiednim pokoju, tam gdzie zostawiliście wasze rzeczy, idźcie i przynieście je tu — polecił Joe.

Sześciu inercjałów ruszyło do drzwi.

— Musimy umieścić Runcitera w chłodni — powiedział Joe do Ala Hammonda i Wendy Wright, którzy pozostali w pokoju.

— Na statku są urządzenia chłodnicze — oznajmił Al Hammond.

— Zaniesiemy go tam. Hammond, niech go pan podniesie z jednej strony, ja wezmę z drugiej. Apostos, proszę iść przodem i strzelać do każdego człowieka Hollisa, który próbowałby nas zatrzymać.

— Czy sądzi pan, że Hollis zorganizował to wspólnie z panem Mickiem? — spytał Jon Ild, wracając do pokoju z tubą laserową w ręce.

— Razem z nim albo nawet sam — odparł Joe. — Niewykluczone, że w ogóle nie mieliśmy do czynienia z Mickiem, że była to od samego początku sprawa Hollisa.

Zdumiewające, myślał, że eksplozja człekokształtnej bomby nie zabiła nas wszystkich. Ciekawy był, co się stało z Zoe Wirt. Wyglądało na to, że wyszła, zanim nastąpił wybuch — nie widział jej bowiem nigdzie. Ciekawe, jaka była jej reakcja, gdy dowiedziała się, że wcale nie pracuje u Stantona Micka, że jej pracodawca, prawdziwy pracodawca, wynajął nas i sprowadził tutaj po to, by nas zabić. Zapewne będą musieli wykończyć i ją. Po prostu dla pewności. Jako świadek tego, co się wydarzyło, nie będzie im już, rzecz jasna, użyteczna.

Pozostali inercjałowie wrócili już z bronią i czekali, aż Joe wyda im jakieś polecenia. Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znaleźli, wszyscy wydawali się dość opanowani.

— Jeśli uda nam się wystarczająco szybko umieścić Runcitera w chłodni — tłumaczył Joe, wraz z Alem Hammondem niosąc swego najwyraźniej umierającego szefa w stronę wind — będzie mógł nadal kierować firmą. Tak, jak robi to jego żona. — Łokciem nacisnął guzik windy. — Mała jest szansa — dodał — by winda zjawiała się. W momencie wybuchu odcięli zapewne dopływ prądu.

Winda jednak nadjechała. Obaj z Hammondem pospiesznie wnieśli do niej Runcitera.

— Trzy osoby z bronią niech jadą z nami. Reszta. . .

— Bzdura! — powiedział Sammy Mundo. — Nie mamy zamiaru sterczeć tutaj i czekać na powrót windy. Może nigdy nie wróci. — Zrobił krok naprzód. Jego twarz wykrzywiona była przez strach.

— Runciter jedzie w pierwszej kolejności — powiedział twardo Joe. Nacisnął guzik i drzwi windy zasunęły się, zamykając w jej wnętrzu jego, Ala Hammonda, Tito Apostosa, Wendy Wright, Dona Denny'ego i Glena Runcitera. — Musimy tak postąpić — tłumaczył im, gdy winda ruszyła w górę. — Zresztą, jeśli ludzie Hollisa czekają tam, my pierwsi wpadniemy w ich ręce. Nie spodziewają się jednak zapewne, że możemy być uzbrojeni.

— To ustawa. . . — zaczął Don Denny.

— Zobacz, czy on jeszcze żyje — polecił Joe Tito Apostosowi, który nachyliwszy się, badał leżącą nieruchomo postać.

— Wciąż słabo oddycha — stwierdził po chwili. — A więc mamy jeszcze szansę.

— Tak, szansę — powiedział Joe. Od momentu wybuchu bomby odczuwał przez cały czas odrętwienie, tak fizyczne, jak i psychiczne; był zeszywniały, zmarznięty i wydawało mu się, że ma uszkodzone bębniaki w uszach. Gdy tylko znajdziemy się z powrotem na statku, myślał, i umieścimy już Runcitera w chłodni, będziemy mogli zwrócić się przez radio do wszystkich pracowników firmy, którzy pozostali w Nowym Jorku, z prośbą o pomoc. A nawet do wszystkich instytucji zapobiegawczych. Jeśli nie uda nam się wystartować, będą mogli przyjechać i zabrać nas stąd.

W gruncie rzeczy sprawa wyglądała jednak inaczej. Zanim ktokolwiek z członków Towarzystwa dotarłby na Lunę, wszyscy uwięzieni pod powierzchnią, w przewodzie windy czy na pokładzie statku byłiby już martwi. A zatem faktycznie nie było dla nich szansy ratunku.

— Mógł pan wpuścić do windy więcej osób — Tito Apostos spiorunował Joe'go oskarżycielskim spojrzeniem. — Dałoby się wcisnąć do środka resztę kobiet. — Ręce trzęsły mu się z podniecenia.

— My jesteśmy bardziej narażeni na atak niż oni — powiedział Joe. — Hollis oczekuje, że ci, którzy przeżyją wybuch, posłużą się windą, jak właśnie zrobiliśmy. Zapewne dlatego nie wyłączyli prądu. Wiedzą, że musimy dostać się z powrotem na statek.

— Już nam to mówiłeś, Joe — powiedziała Wendy Wright.

— Staram się umotywić logicznie swoje postępowanie — odparł. — To, że zostawiłem resztę osób tam, na dole.

— A zdolności tej dziewczyny? — spytała Wendy. — Tej pochmurnej ciemnowłosej młodej osoby, która zachowuje się w tak lekceważący sposób: Pat Jakaś-tam. Mogłeś polecić jej, by cofnęła się w czasie aż do momentu przed zranieniem Runcitera; ona mogła wszystko zmienić. Czy zapomniałeś o jej talencie?

— Tak — odpowiedział krótko Joe. Istotnie wyleciało mu to z głowy wśród dymu i bezsensownego zamieszania.

— Wróćmy na dół — zaproponował Tito Apostos. — Sam mówisz, że ludzie Hollisa będą czekać na nas na powierzchni i że bardziej niebezpiecznie jest. . .

— Jesteśmy już na powierzchni — powiedział Don Denny. Błady i zesztywniały nerwowo oblizywał wargi, obserwując rozsuwające się automatycznie drzwi.

Mieli przed sobą ruchomy chodnik wiodący do hali, przy której, za bramą z membran powietrznych, dostrzec można było podstawę ich statku stojącego w pozycji pionowej. Dokładnie tak, jak go zostawili. Na drodze dzielącej ich od pojazdu nie było nikogo. To dziwne, pomyślał Joe. Czyżby byli pewni, że wybuch bomby zabije nas wszystkich? Popelnili jakiś błąd planując całą akcję: najpierw sam wybuch, potem fakt, że nie wyłączyli prądu, a teraz ten pusty korytarz. . .

— Myślę — mówił Don Denny, w czasie gdy Al Hammond i Joe przenosili Runcitera z windy na ruchomy chodnik — że pomieszał im szyki fakt, iż bomba uniosła się pod sufit. Była chyba typu rozpryskowego i większość odłamków uderzyła w ściany ponad naszymi głowami. Nie przypuszczali, że ktoś z nas może przeżyć —

dlatego nie wyłączyli prądu.

— No cóż, dziękujmy więc Bogu, że uniosła się ona w górę — stwierdziła Wendy Wright. — Boże, jak tu zimno. Bomba musiała uszkodzić system ogrzewania tego budynku. — Wyraźnie się trzęsła.

Ruchomy chodnik niósł ich naprzód przerażająco wolno; Joemu wydawało się, że minęło przynajmniej z pięć minut, zanim dojechali do podwójnych drzwi z membran powietrznych. To ślimacze tempo wydawało mu się najgorsze ze wszystkiego, co do tej pory przeżyli — zupełnie jakby Hollis celowo zorganizował to w taki właśnie sposób.

— Zaczekajcie! — zawołał ktoś za nimi. Rozległ się odgłos kroków. Tito Apostos odwrócił się, podnosząc swój rewolwer, lecz opuścił go na powrót.

— To reszta naszych ludzi — powiedział Don Denny do Joego, który nie mógł się odwrócić. Obaj z Alem Hammondem rozpoczęli już manewry zmierzające do przeniesienia ciała Runcitera przez skomplikowany mechanizm drzwi z membran powietrznych. — Nikogo nie brakuje, wszystko w porządku. — Machnął w ich kierunku ręką z rewolwerem. — Chodźcie!

Statek był nadal połączony z halą specjalnym tunelem z tworzywa sztucznego. Wsłuchując się w charakterystyczny tępy odgłos, jaki wydawały jego kroki, Joe zastanawiał się: czyżby pozwalali nam odjechać? A może czekają na statku? Wygląda na to, że igra z nami jakaś złośliwa siła, pozwalając nam, jak kot ogłupiałej myszy, uciekać i szamotać się. Bawi się nami: śmiesz ją nasze wysiłki. Ale gdy dojdziemy już do pewnego punktu, jej pięść zaciśnie się wokół nas i odrzuci nasze pogruchotane szczątki, jak przedtem ciało Runcitera.

— Denny — odezwał się. — Wejdz pierwszy na statek. Zobacz, czy czekają tam na nas.

— A jeśli tak? — spytał Denny.

— To wróc — powiedział zgryźliwie Joe — i powiedz nam o tym; wtedy poddamy się. A potem wybiją nas wszystkich do nogi.

— Poproś tę Pat, czy jak tam ona się nazywa, żeby posłużyła się swymi zdolnościami — odezwała się Wendy Wright cichym, ale nalegającym głosem. — Proszę cię, Joe.

— Spróbujmy dostać się na statek — mówił Tito Apostos. — Nie podoba mi się ta dziewczyna; nie mam zaufania do jej zdolności.

— Nie rozumiesz jej ani nie jesteś w stanie pojąć, na czym polega jej talent — odparł Joe, przyglądając się niskiemu i chudemu Donowi Denny'emu, który przebiegł ostatni odcinek tunelu, manipulował chwilę przy urządzeniach otwierających właz statku, a potem zniknął w jego wnętrzu. — Nigdy nie wróci — powiedział dysząc. Wydawało mu się, że Glen Runciter zrobił się jakby cięższy: utrzymywał go z najwyższym trudem. — Połóżmy tu Runcitera — zwrócił się do Ala Hammonda. Wspólnie ulokowali Glena na podłodze tunelu. — Jest ciężki, jak na starego człowieka — ciągnął Joe, prostując się. — Porozmawiam z Pat — zwrócił się do Wendy.

Dołączyli już do nich pozostali członkowie grupy; stali w tunelu stłoczeni ciasno obok siebie.

— Co za fiasko — westchnął Joe. — A mieliśmy nadzieję, że będzie to nasze wielkie osiągnięcie. Nigdy nie wiadomo. Tym razem Hollis naprawdę nas załamał.

Gestem wezwał do siebie Pat. Twarz miała czarną od dymu, a jej uszyta ze sztucznego włókna bluza bez rękawów była rozdarta: widać było pod nią elastyczną przepaskę, która stosownie do nakazów mody maskowała biust. Była elegancko ozdobiona wytłoczonymi na niej bladoróżowymi liliami burbońskimi. Nie wiadomo dlaczego odnotował w myślach ten pozbawiony znaczenia szczegół.

— Posłuchaj — zwrócił się do dziewczyny, kładąc jej rękę na ramieniu. Spojrzał jej w oczy, ona zaś spokojnie wytrzymała jego wzrok. — Czy możesz się cofnąć do momentu przed wybuchem bomby? I przywrócić życie Glenowi Runciterowi?

— Teraz już za późno — odparła Pat.

— Dlaczego?

— Po prostu minęło już zbyt wiele czasu. Musiałabym zrobić to od razu.

— Dlaczego więc tego nie zrobiłaś? — spytała z wyraźną wrogością Wendy Wright.

Pat odwróciła wzrok od Joego i spojrzała w jej stronę.

— A czy ty o tym pomyślałaś? Jeśli nawet tak, to nic nie mówiłaś. Nikt nie powiedział na ten temat ani słowa.

— A więc nie poczuwasz się wcale do odpowiedzialności za śmierć Runcitera? — spytała Wendy. — Mimo że dzięki swym zdolnościom mogłaś jej zapobiec?

Pat roześmiała się.

— Statek jest pusty — oznajmił Don Denny, wychodząc z pojazdu.

— W porządku — Joe skinął w kierunku Ala Hammonda. — Wnieśmy go na statek i ulokujemy w chłodni. — Obydwaj raz jeszcze podnieśli ciężkie, nieporęczne ciało i znowu ruszyli w kierunku pojazdu. Inercjałowie kłębili się i tłoczyli wokół nich, chcąc jak najprędzej znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Niemal namacalnie wyczuwał promieniujący od nich lęk, który wytwarzał wokół wszystkich, łącznie z nim samym, specjalną atmosferę. Pojawiająca się możliwość bezpiecznego opuszczenia planety zamiast uspokoić ich, zwiększyła desperację. Bierna rezygnacja, jaką początkowo objawiali, całkowicie już ich opuściła.

— Gdzie jest klucz? — piskliwym głosem zapytał tuż nad uchem Joego Jon Ild, gdy obaj z Alem Hammondem z wysiłkiem posuwali się w kierunku chłodni. Chwytał Joego za ramię. — Klucz, panie Chip.

— Klucz od stacyjki pojazdu — wyjaśnił Al Hammond. — Glen musi go mieć przy sobie. Znajdziemy go, zanim ulokujemy Runcitera w chłodni. Potem nie będzie już wolno go dotykać.

Przeszukawszy liczne kieszenie Runcitera, Joe znalazł skórzane etui na klucze i podał je Jonowi Ildowi.

— Czy możemy już wreszcie umieścić go w chłodni? — spytał z wściekłością. — Dalej, Hammond, na miłość boską, pomóż mi go tam zanieść. — Nie zrobiliśmy tego wystarczająco szybko. Już po wszystkim. Nie udało nam się. Trudno, stało się — pomyślał zrezygnowany.

Silniki rakiet pomocniczych z hukiem zaczęły działać. Statek zadrżał. Przy tablicy rozdzielczej czterej inercjałowie pracowali wspólnie — acz niezbyt sprawnie — nad zaprogramowaniem skomputeryzowanego urządzenia przyjmującego komendy.

— Dlaczego pozwolili nam odejść? — zadawał sobie pytanie Joe, gdy obaj z Alem Hammondem ustawili już pionowo martwe, jak się wydawało, ciało Runcitera w sięgającej od podłogi do sufitu chłodni. Specjalne uchwyty zamknęły się na biodrach i ramionach Glena, utrzymując go w tej pozycji. Kryształki lodu rzucały połyskliwe oślepiające światło.

— Nie mogę tego wszystkiego zrozumieć — powiedział.

— Poszkapili się — stwierdził Hammond. — Nie mieli żadnego planu na wypadek, gdyby bomba zawiodła. Tak jak zamachowcy, którzy usiłowali zabić Hitlera: gdy stwierdzili, że w bunkrze wybuchła bomba, uznali wszyscy...

— Wyjdźmy z tej chłodni, zanim umrzemy z zimna — przerwał Joe. Popchnął Hammonda ku wyjściu i ruszył za nim. Znalazłszy się na zewnątrz wspólnie zakręcili koło zamykające drzwi komory. — Boże, co za uczucie! Trudno wyobrazić sobie, że to urządzenie zachowuje człowieka przy życiu, przynajmniej w pewnym

sensie.

Ruszył w stronę przedniej części statku, ale zatrzymała go Francy Spanish. Jej drugie włosy były nadpalone.

— Czy chłdnia zaopatrzona jest w system łączności? — spytała. — Czy możemy porozumieć się od razu z panem Runciterem?

— Nie możemy — Joe potrząsnął głową. — Nie ma słuchawek, mikrofonu ani protofazonów. Nie istnieje więc stan półzycia. Dopiero gdy przetransportujemy go na Ziemię i umieścimy w moratorium.

— Jak więc możemy się przekonać, czy umieściliśmy go w chłodni wystarczająco wcześniej? — spytał Don Denny.

— Nie możemy — odparł Joe.

— Możliwe, że doszło już do trwałych zmian w jego mózgu — Sammy Mundo skrzywił się i zachichotał.

— To prawda — potwierdził Joe. — Być może nigdy już nie usłyszymy głosu Glena. Może będziemy zmuszeni bez niego kierować Korporacją Runcitera, opierając się na tym, co zostało jeszcze Elli. Może okazać się konieczne przeniesienie naszej dyrekcji do Moratorium Ukochanych Współbraci w Zurychu i zarządzanie stamtąd sprawami firmy. — Usiadł na jednym ze środkowych miejsc, skąd mógł obserwować czterech inercjałów, spierających się na temat najlepszego sposobu kierowania statkiem. W całym ciele czuł przykry, tępy ból, będący skutkiem przeżytego wstrząsu. Podświadomie wyciągnął pogniecione go papierosa i zapalił go.

Zwietrzały i zeschnięty papieros rozsypał mu się w palcach.

Dziwne, pomyślał.

— To z gorąca — powiedział Al Hammond, który spostrzegł, co się stało. Na skutek wybuchu bomby.

— Czy postarzeliśmy się przez to? — spytała Wendy, wysuwając się zza pleców Hammonda i siadając koło Joego. — Czuję się stara; jestem stara, twoje papierosy są stare, od dziś wszyscy jesteśmy starzy z powodu tego, co się nam wydarzyło. Był to dzień, jakiego nikt z nas dotąd nie przeżył.

Statek z ogromnym wysiłkiem wzniósł się nad powierzchnię Luny, bez sensu wlokąc za sobą wykonany ze sztucznego tworzywa tunel łączący.

Rozdział 7

Odśwież zmatowiałe powierzchnie sprzętów i urządzeń kuchennych nowym cudownym preparatem Ubik — łatwą w użyciu, dającą wysoki połysk warstwą plastykowego tworzywa. Ubik jest zupełnie nieszkodliwy, jeśli stosuje się zgodnie z instrukcją. Uwalnia od nieustannego szorowania, dzięki niemu nie tkwisz wciąż w kuchni!

— Wydaje mi się — stwierdził Joe Chip — że najlepiej będzie, jeśli wylądujemy w Zurychu. — Wziął do ręki mikrofalowy audiofon, wchodzący w skład bogatego wyposażenia luksusowego statku Runcitera i nakręcił numer kierunkowy Szwajcarii. — Jeśli umieścimy go w tym samym moratorium, w którym przebywa Ella, będziemy mogli kontaktować się równocześnie z obojgiem; można sprząć ich elektronicznie, tak by wspólnie podejmowali decyzje.

— Protofazonicznie — poprawił go Don Denny,

— Czy ktoś z was zna nazwisko dyrektora Moratorium Ukochanych Współbraci? — spytał Joe.

— Herbert Cośtam — powiedziała Tippy Jackson. — Jakieś niemieckie nazwisko.

— Herbert Schoenheit von Vogelsang — odezwała się po chwili namysłu Wendy Wright. — Zapamiętałam to nazwisko, bo pan Runciter powiedział mi kiedyś, że oznacza to: Herbert, piękno śpiewu ptaków. Przypominam sobie, że pomyślałam wtedy, iż chciałabym się tak nazywać.

— Możesz wyjść za niego za mąż — powiedział Tito Apostos.

— Mam zamiar wyjść za Joego Chipa — powiedziała Wendy z głębokim namysłem, głosem poważnego dziecka.

— Ach tak? — Nasycone światłem czarne oczy Pat Conley rozbłysły nagle. — Naprawdę masz taki plan?

— Czy i to możesz zmienić za pomocą swych zdolności? — zapytała Wendy.

— Mieszkam z Joem. Jestem jego kochanką. Mamy umowę, na podstawie której pokrywam jego rachunki. Zapłaciłam dziś rano drzwiom, żeby mógł się

wydostać. Gdyby nie ja, siedziałby do tej pory w swym apartamencie.

— I nie doszłoby do naszej wyprawy na Lunę — powiedział Al Hammond przyglądając się Pat. Na jego twarzy malowały się mieszane uczucia.

— Dziś może nie, ale w końcu i tak by do niej doszło — stwierdziła Tippy Jackson. — Co za różnica? Tak czy owak uważam, że Joemu miło jest mieć kochankę, która płaci jego drzwiom. — Szturchnęła Joego łokciem w ramię. Jej twarz promieniała zaskakującym dla Joego wyrazem lubieżnej aprobaty, jak gdyby sprawiało jej przyjemność pośrednie uczestnictwo w jego życiu intymnym. Pani Jackson wydawała się ekstrawertyczką, ale pod tymi pozorami krył się w niej *voyeur*.

— Dajcie mi uniwersalną książkę telefoniczną statku — poprosił Joe. — Zawiadomę moratorium o naszym przybyciu. — Spojrzał na zegarek. — Jeszcze dziesięć minut lotu.

— Oto książka telefoniczna, panie Chip — powiedział Jon Ild po krótkotrwałych poszukiwaniach. Wręczył Joemu ciężką prostopadłościenną skrzynkę, wyposażoną w urządzenie wybierające i klawiaturę.

Joe wystukał na niej: „Szwajc”, potem „Zur”, wreszcie „Mor Uko Współ”.

— Jak po hebrajsku — powiedziała za jego plecami Pat. — Zbitki semantyczne.

Urządzenie wybierające przesunęło się tam i z powrotem, wybierając pewne elementy, a pomijając inne; wreszcie aparat wyrzucił z siebie perforowaną kartę, którą Joe wsunął w specjalną szczelinę w obudowie wideofonu.

— Podaję nagraną informację — przemówił metalicznym głosem wideofon, a z jego wnętrza wyskoczyła perforowana karta. — Numer, który mi podano, jest nieaktualny. Jeśli potrzebna jest pomoc, należy umieścić czerwoną kartę w...

— Z którego roku jest ta książka telefoniczna? — spytał Joe Ilda, który wziął ją, by odłożyć na półkę w szafie ściennej.

— Z 1990, ma dwa lata — odpowiedział Ild, odczytawszy treść pieczęci przybitej na tylnej ścianie skrzynki.

— To niemożliwe — powiedziała Edie Dorn. — Ten statek nie istniał jeszcze dwa lata temu. Całe wyposażenie jest nowe.

— Może Runciter poczynił drobne oszczędności — wtrącił się Tito Apostos.

— Ależ skąd! — wykrzyknęła Edie. — Przy jego budowie nie szczędził pieniędzy, starań ani najnowocześniejszego sprzętu. Wszyscy jego pracownicy wiedzą o tym dobrze: ten pojazd jest jego radością i chlubą.

— *Był* jego radością i chlubą — poprawiła ją Franczy Spanish.

— Nie zgadzam się z tym — powiedział Joe. Wsunął czerwoną kartę do szczeliny w obudowie telefonu, mówiąc: — Proszę o aktualny numer Moratorium Ukochanych Współbraci w Zurychu, Szwajcaria. — Znow zwrócił się do Franczy Spanish: — Ten statek jest w dalszym ciągu radością i chlubą Glena, ponieważ Runciter nadal istnieje.

Czerwona karta wyskoczyła z wnętrza telefonu; wybite już zostały na niej odpowiednie znaki. Joe wrzucił ją do otworu przyjmującego numery. Tym razem skomputeryzowany mechanizm wideofonu zareagował spokojnie: na ekranie pojawiła się blada, pewna siebie twarz obłudnego, wścibskiego człowieka, który kierował Moratorium Ukochanych Współbraci. Joe przypomniał go sobie z niechęcią.

— Jestem Herr Herbert Schoenheit von Vogelsang. Czy postanowił pan zwrócić się do mnie w swym bólu, sir? Proszę łaskawie podać mi swe nazwisko i adres, na wypadek gdybyśmy zostali rozłączeni. — właściciel moratorium sprawiał wrażenie człowieka zupełnie spokojnego.

— Zdarzył się wypadek — powiedział Joe.

— To, co my uważamy za wypadek — stwierdził von Vogelsang — jest w istocie tylko przejawem działalności Boga. W pewnym sensie całe życie można nazwać wypadkiem. A jednak. . .

— Nie zamierzam wdawać się w dyskusje teologiczne — oświadczył Joe. — W każdym razie nie w tej chwili.

— A jednak właśnie w takiej chwili bardziej niż kiedykolwiek pociecha, jaką niesie religia, przynosi największą ulgę. Czy zmarły jest pańskim krewnym?

— Naszym szefem — odparł Joe. — To Glen Runciter, prezes Korporacji Runcitera z Nowego Jorku. Jego żona, Ella, jest już u pana. Będziemy lądować za osiem, dziewięć minut. Czy może pan przysłać jedną ze swych ciężarówek-chłodni?

— Czy w tej chwili przebywa w chłodni?

— Nie — odparł Joe. — Wyrzewa się na plaży w Tampie, na Florydzie.

— Domyślam się, że pańska żartobliwa odpowiedź oznacza potwierdzenie.

— Proszę, aby pański wóz oczekiwał na nas w porcie kosmicznym — powiedział Joe i przerwał połączenie. Będziemy odtąd musieli funkcjonować za pośrednictwem takiego człowieka, pomyślał. — Dostaniemy Raya Hollisa — odezwał się do zebranych wokół inercjałów.

— Jak to, na miejsce pana Runcitera? — spytał Sammy Mundo.

— Odnajdziemy go i wykończymy — powiedział Joe. — Za to, co zrobił.

Glen Runciter. . . — myślał. Zamrożony w pionowej pozycji w przezroczystej plastikowej trumnie, ozdobionej plastikowymi różyczkami. Pobudzany do stanu aktywnego półżycia raz w miesiącu na godzinę. Niszczący, słabnący, coraz trudniej słyszalny. Boże, pomyślał z wściekłością, że też spośród wszystkich ludzi na świecie akurat jemu musiało się to przytrafić. Był tak pełen życia. I emanowało z niego tyle witalności.

— W każdym razie — odezwała się Wendy — będzie bliżej Elli.

— W pewnym sensie — przyznał Joe. — Mam nadzieję, że nie ulokowaliśmy go w chłodni zbyt. . . — przerwał, nie chcąc głośno wypowiedzieć swych myśli. — Nie lubię moratoriów. Ani ich właścicieli. Nie znoszę Herberta Schoenheita

von Vogelsang. Dlaczego nie odpowiada mu to, które znajduje się w Nowym Jorku?

— To szwajcarski wynalazek — powiedziała Edie Dorm. — I według badań dokonanych przez bezstronne firmy przeciętna długość póżycia w moratoriach szwajcarskich przewyższa o pełne dwie godziny wyniki osiągnięte u nas. Szwajcarzy znają, jak się wydaje, jakieś specjalne sposoby.

— ONZ powinna zakazać utrzymywania ludzi w stanie póżycia — rzekł Joe. — Zakłóca to naturalny cykl narodzin i zgonów.

— Gdyby Bóg był zwolennikiem póżycia, każdy z nas rodziłby się w trumnie wypełnionej suchym lodem — powiedział drwiącym tonem Al Hammond.

— Jesteśmy już w zasięgu mikrofalowego nadajnika z Zurychu — poinformował ich Don Denny, który siedział przy pulpicie sterowniczym. — On przejmie stery. — Odszedł od pulpitu z ponurym wyrazem twarzy.

— Przestań się martwić — zwróciła się do niego Edie Dorn. — Powiem twardo i brutalnie: pomyśl tylko, ile mieliśmy wszyscy szczęścia. Moglibyśmy już nie żyć. Zginać od bomby albo broni laserowej — już po wybuchu. Poczujesz się lepiej, gdy wreszcie wylądujemy: będziemy znacznie bezpieczniejsi.

— Fakt, że mieliśmy jechać na Lunę, powinien był wzbudzić nasze podejrzenia — powiedział Joe, myśląc: podejrzenia Runcitera. — Ze względu na lukę w przepisach regulujących sprawę jurysdykcji cywilnej na Lunie. Runciter zawsze nam powtarzał: „Bądźcie podejrzliwi wobec każdego, kto zleca wam pracę poza Ziemią”. Gdyby żył, mówiłby to właśnie teraz. „Szczególną zaś ostrożność zachowajcie wtedy, gdy chcą, byście pojechali na Lunę. Zbyt wiele instytucji zapobiegawczych dało się już na to nabrać”. — Jeśli w moratorium powróci do życia, pomyślał, będzie to pierwsza rzecz, jaką powie. Będzie mówił: „Zawsze byłem podejrzliwy wobec wszystkiego, co miało związek z Luną”. Ale nie był wystarczająco podejrzliwy. Kontrakt był zbyt korzystny; nie potrafił go odrzucić. I tak złapali go na tę przynętę. Jak zresztą sam zawsze przepowiadał.

Zahuczały rakiety hamujące, uruchomione przez mikrofalowy nadajnik portu w Zurychu. Statek zadrzał lekko.

— Joe — odezwał się Tito Apostos — będziesz musiał powiadomić Elle o tym, co przydarzyło się Runciterowi. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

— Myślę o tym — odparł Joe. — Od momentu, kiedy wystartowaliśmy w drogę powrotną.

Statek zwolnił wyraźnie i sterowany za pomocą różnych homeostatycznych urządzeń wspomagających podchodził do lądowania.

— A w dodatku — odezwał się Joe — muszę o tym, co zaszło, powiadomić Towarzystwo. Dadzą nam okropną szkołę. Od razu powiedzą, że daliśmy się złapać w pułapkę jak barany.

— Ale Towarzystwo jest wobec nas nastawione przychylnie — stwierdził Sammy Mundo.

— Po takim fiasku nikt nie będzie wobec nas nastawiony przychylnie — odpowiedział Al Hammond.

Na skraju lądowiska w Zurychu oczekiwał na nich helikopter napędzany energią baterii słonecznych. Widniał na nim napis „Moratorium Ukochanych Współbraci”. Obok stał podobny do żuka osobnik, ubrany w strój europejski, składający się z tweedowej togi, wygodnych sportowych mokasynów, szkarłatnej szarfy i purpurowej czapki w kształcie śmigła samolotu. Gdy tylko Joe zszedł po pomoście pojazdu na gładką powierzchnię lądowiska, właściciel moratorium podbiegł ku niemu drobnym kroczkiem, wyciągając dłoń w rękawiczce.

— Z pańskiego wyglądu wnoszę, że nie była to podróż obfitująca w radosne wydarzenia — przemówił von Vogelsang, wymieniając z Joem krótki uścisk dłoni. — Czy moi ludzie mogą wejść na pokład pańskiego statku i zacząć...

— Tak — powiedział Joe. — Wejdźcie na pokład i zabierzcie go.

Z rękami w kieszeniach, przygnębiony i ponury, powlókł się w kierunku kawiarni lotniska. Od dziś rozpocznie się zwykłe postępowanie, pomyślał. Wróciliśmy na Ziemię; Hollis nie wykończył nas — mieliśmy szczęście. Operacja na Lunie, pułapka, w którą wpadliśmy, w ogóle wszystkie te koszarne wstrętne przeżycia, są już za nami. Zaczyna się nowa faza, na której przebieg nie mamy bezpośredniego wpływu.

— Proszę o pięć centów — powiedziały drzwi wiodące do kawiarni, nie otwierając się przed nim.

Poczekał, aż minie go wychodząca właśnie z kawiarni para, potem zręcznie prześliznął się tuż za nią, podszedł do wolnego stołka i usiadł zgarbiony, oburącz opierając się o bar.

— Proszę o kawę — powiedział, przestudiowawszy kartę dań.

— Ze śmietanką czy z cukrem — spytał głośnik połączony z wieżyczką, gdzie mieścił się ośrodek zarządzający kawiarnią.

— Ze śmietanką i z cukrem.

Z małego okienka wysunęła się filiżanka kawy, dwie małe papierowe torebki z cukrem i przypominający probówkę pojemnik ze śmietanką. To wszystko zatrzymało się na blacie tuż przed nosem Joego.

— Proszę o jeden międzynarodowy poscred — powiedział głośnik.

— Zapiszcie to na rachunek Glena Runcitera, dyrektora Korporacji Runcitera z Nowego Jorku — zażądał Joe.

— Proszę więc o włożenie odpowiedniej karty kredytowej — rzekł głośnik.

— Od pięciu lat nie pozwalają mi posługiwać się kartą kredytową — powiedział Joe. — Ciągle jeszcze spłacam kredyty zaciągnięte w...

— Proszę o jeden poscred — oznajmił głośnik. Zaczęło dochodzić z niego złowieszcze tykanie. — W przeciwnym razie za dziesięć sekund zawiadomię po-

licję.

Joe wrzucił monetę — tykanie ustało.

— Nie potrzebujemy takich klientów jak pan — powiedział głośnik.

— Któregoś dnia — powiedział z wściekłością Joe — ludzie tacy jak ja powstaną i obalą wasze rządy; taki będzie kres tyranii maszyn homeostatycznych. Wróć czasy, kiedy liczyły się wartości ludzkie, serdeczność i współczucie. Wtedy ktoś, kto jak ja przeszedł ciężkie chwile i naprawdę potrzebuje filiżanki gorącej kawy, która podtrzyma go na duchu i pozwoli mu normalnie funkcjonować w sytuacji wymagającej od niego aktywnego działania, dostanie tę kawę bez względu na to, czy akurat ma przy sobie jeden poscred, czy też nie. — Podniósł mały pojemnik na śmietankę i odłożył go z powrotem na bar. — A ponadto wasza śmietanka czy mleko, czy cokolwiek mi podaliście, jest skwaśniałe.

Głośnik nie przerwał swego milczenia.

— Czy nie macie zamiaru zrobić czegoś w tej sprawie? — spytał Joe, — Mielicie mnóstwo do powiedzenia, kiedy chodziło wam o pieniądze.

Płatne drzwi kawiarni otwały się i wszedł Al Hammond. Zbliżył się do Joego i usiadł przy nim.

— Pracownicy moratorium przenieśli już Runcitera do swego śmigłowca. Są gotowi do startu; pytają, czy polecisz z nimi.

— Popatrz na tę śmietankę — powiedział Joe, podnosząc pojemnik w górę: płyn osadzał się na ściankach w postaci stwardniałych grudek. — Oto co otrzymujesz za sumę jednego poscreda w jednym z najnowocześniejszych, najbardziej rozwiniętych technologicznie miast świata. Nie wyjdę stąd, zanim ten zakład nie załatwi mojej reklamacji albo zwracając mi pieniądze, albo dostarczając inną śmietankę.

Al Hammond położył rękę na ramieniu Joego i przyjrzał mu się uważnie.

— O co chodzi, Joe?

— Najpierw mój papieros — liczył Joe. — Potem nieaktualna od dwu lat książka telefoniczna na statku. A teraz podają mi kwaśną śmietankę, sprzed tygodnia. Nie pojmuję tego, Al.

— Wypij kawę bez mleka — powiedział Al. — I chodź do helikoptera, żeby już można było przewieźć Runcitera do moratorium. Reszta ludzi zostanie na statku aż do twego powrotu. A potem jedziemy do najbliższego oddziału Towarzystwa i składamy im pełny raport.

Joe podniósł filiżankę i stwierdził, że kawa jest zimna, gęsta i nieświeża; na jej powierzchni unosiła się porowata pleśń. Odstawił ją ze wstrętem. O co chodzi? — pomyślał. Co się ze mną dzieje? Jego wstręt zmienił się nagle w dziwny, niewytłumaczalny lęk.

— Chodźże, Joe — Al chwycił go silnie za ramię. — Zapomnij o kawie. To nieistotne. Ważne jest teraz, żeby dowieźć Runcitera do. . .

— Czy wiesz, kto dał mi tego poscreda? — spytał Joe. — Pat Conley. I od razu zrobiłem z nim to, co zawsze robię z pieniędzmi: wrzuciłem go w błoto. Wydałem na parzoną w zeszłym roku filiżankę kawy. — Pod wpływem nacisku dłoni Ala Hammonda zsunął się ze stołka. — Może pojechałbyś ze mną do moratorium? Będę potrzebował pomocy, zwłaszcza podczas rozmowy z Ellą. Co mamy zrobić? Zrzucić winę na Runcitera? Powiedzieć, że to on zdecydował o naszym wyjeździe na Lunę? To przecież prawda. A może trzeba powiedzieć jej coś innego, na przykład, że jego statek miał wypadek albo że Glen zmarł z przyczyn naturalnych?

— Ale przecież Runciter zostanie do niej w końcu podłączony — powiedział Hammond. — I powie jej prawdę. Więc i ty musisz powiedzieć jej prawdę.

Wyszli z kawiarni i ruszyli w stronę helikoptera stanowiącego własność Moratorium Ukochanych Współbraci.

— Może załatwię to w ten sposób, żeby Runciter sam jej o tym powiedział — mówił Joe, wchodząc do. — Dlaczego nie? To on postanowił, że mamy jechać na Lunę; niech sam jej o tym opowie. On umie z nią rozmawiać.

— Czy panowie są gotowi? — spytał von Vogelsang siedzący przy sterach śmigłowca. — Możemy rozpocząć naszą smutną drogę do miejsca wiecznego spoczynku pana Runcitera?

Joe jęknął i zaczął wyglądać przez okno helikoptera, skupiając całą uwagę na budynkach portu lotniczego.

— Lećmy — powiedział Al.

Kiedy już byli w powietrzu, von Vogelsang przycisnął jakiś guzik na tablicy rozdzielczej. Z wielu głośników, rozmieszczonych po całej kabinie, popłynęły donośne dźwięki *Missa Solemnis* Beethovena. Liczne głosy wielokrotnie powtarzały: *Agnus Dei, qui tollis peccata mundi*, towarzyszyła im wzmocniona elektronicznie orkiestra symfoniczna.

— Czy wiesz, że Toscanini, dyrygując operą, miał zwyczaj śpiewać równocześnie z wykonawcami? — spytał Joe. - Że w nagraniu *Traviaty* usłyszeć go można podczas arii *Sempre Libera*?

— Nie wiedziałem o tym — odparł Al. Obserwował przesuwające się pod nimi lśniące, masywne budynki mieszkalne Zurychu. Joe spostrzegł, że sam także przygląda się ich majestatycznemu pochodowi.

— *Libera me, Domine* — powiedział.

— Co to znaczy?

— Znaczy to: Boże, zmiłuj się nade mną. Nie wiedziałeś o tym? Przecież wszyscy to wiedzą.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— To przez tę muzykę. Tę cholerną muzykę. Proszę wyłączyć głośniki — zwrócił się do von Vogelsanga. — Runciter i tak jej nie słyszy. Słyszę ją tylko ja,

a ja nie mam na nią ochoty. Ty też masz tego dosyć, prawda? — zwrócił się do Ala Hammonda.

— Uspokój się, Joe — powiedział Al.

— Wieziemy naszego zmarłego szefa do miejsca, które nazywa się Moratorium Ukochanych Współbraci, a ty mi mówisz: „Uspokój się” — powiedział Joe. — Wiesz co, Runciter wcale nie musiał jechać z nami na Lunę, mógł wysłać nas tam i zostać w Nowym Jorku. A teraz najbardziej kochający życie, najpełniej korzystający z życia człowiek, jakiego znałem, został. . .

— Pański ciemnoskóry przyjaciel dał nam dobrą radę — wtrącił się von Vogelsang.

— Jaką radę?

— Żeby się pan uspokoił. — Von Vogelsang otworzył skrytkę umieszczoną obok tablicy rozdzielczej helikoptera i wręczył Joemu kolorowe pudełko. — Proszę się poczęstować, panie Chip.

— Guma do żucia o działaniu uspokajającym — przeczytał Joe, biorąc od niego pudełko i otwierając je w zadumie. — O smaku morelowym. Czy muszę ją zażyć? — spytał Ala.

— Powinieneś — odparł Hammond.

— Runciter nigdy nie zażyłby środka uspokajającego w podobnych okolicznościach. Glen Runciter przez całe życie nie zażył środka uspokajającego. Wiesz, z czego zdałem sobie teraz sprawę, Al? On oddał swe życie, żeby ocalić nas. To znaczy, w sposób niebezpośredni.

— Bardzo niebezpośredni — powiedział Al. — Jesteśmy na miejscu. — Helikopter zaczął zniżać się w kierunku pola do lądowania namalowanego na dachu budynku. — Czy myślisz, że uda ci się zapanować nad sobą?

— Opanuję się, gdy usłyszę głos Runcitera — odrzekł Joe. — Kiedy przekonam się, że w jakiejś tam formie życia. . . czy półżycia. . . trwa nadal.

— Niech pan się o to nie martwi, panie Chip — powiedział pogodnie właściciel moratorium. — Uzyskujemy zwykle zupełnie zadowolający strumień protofazonów. Przynajmniej na początku. Dopiero później, gdy okres półżycia dobiega końca, nadchodzą smutne chwile. Ale przy rozsądnym planowaniu można odsunąć ten moment o wiele lat. — Zgasił silnik helikoptera i dotykając jakiejś gałki rozsunął drzwi kabiny. — Witajcie w Moratorium Ukochanych Współbraci — powiedział, puszczając ich przodem w kierunku zejścia z dachu, na którym wylądował helikopter. — Moja sekretarka, panna Beason, zaprowadzi panów do rozmównicy. Poczekajcie tam chwilę, a otaczające was barwy i formy w subtelny sposób wywołają w waszych sercach nastrój spokoju. Ja zaś dostarczę tam pana Runcitera, gdy tylko moi technicy nawiążą z nim kontakt.

— Chcę być obecny podczas całej procedury — powiedział Joe. — Chcę widzieć, jak pańscy technicy będą go ożywiać.

— Może jako przyjaciel zdoła mu pan to wytłumaczyć — zwrócił się do Ala właściciel moratorium.

— Musimy poczekać w rozmównicy, Joe — powiedział Al.

— Zachowujesz się jak wuj Tom — stwierdził Joe, patrząc na niego z wściekłością.

— Wszystkie moratoria funkcjonują w ten sposób — odparł Al. — Chodźmy do rozmównicy.

— Jak długo to potrwa? — spytał Joe właściciela moratorium.

— Będziemy dokładnie znali sytuację już w ciągu piętnastu minut. Jeżeli po upływie tego czasu nie uzyskamy wymiernego sygnału. . .

— Macie zamiar próbować tylko przez piętnaście minut? — spytał Joe. Zwrócił się do Ala. — Tylko przez piętnaście minut będą usiłowali przywrócić do życia człowieka większego niż my wszyscy razem. — Chciało mu się płakać. I to głośno. — Chodź, Al — powiedział. — Pójdziemy. . .

— To ty chodź ze mną — odparł Al. — Do rozmównicy.

Joe poszedł za nim do wskazanego im pomieszczenia.

— Chcesz papierosa? — spytał Hammond, siadając na kanapie ze sztucznej skóry bawolej. Wyciągnął paczkę w kierunku Joego.

— One są zleżałe — powiedział Joe. Nie musiał brać ani dotykać żadnego z nich; był o tym przekonany.

— Istotnie. — Al schował pudełko. — Skąd o tym wiedziałeś? — Czekał przez chwilę na odpowiedź. — Zniechęcasz się łatwiej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Mamy szczęście, że żyjemy: to my wszyscy moglibyśmy teraz leżeć w chłodni. A Runciter siedziałby w tej pomalowanej na głupie kolory rozmównicy. — Spojrzał na zegarek.

— Wszystkie papierosy na świecie są zleżałe — powiedział Joe. Zerknął na zegarek. Dziesięć po. Zapadł w zadumę. Liczne myśli, ponure, nie uporządkowane i bez związku przepływały mu przez głowę jak srebrzące się ryby. Obawy, niechęci i niepewności. A potem te srebrne ryby ustąpiły miejsca lękowi. — Gdyby żył Runciter i siedział w tej rozmównicy, wszystko byłoby w porządku. Nie wiem dlaczego, ale jestem o tym przekonany. — Zastanawiał się, co w tej chwili robią technicy moratorium z ciałem Glena,

— Czy pamiętasz dentystów? — spytał Ala.

— Nie pamiętam, ale wiem, czym oni się zajmowali.

— Dawniej ludziom psuły się zęby.

— Wiem — powiedział Al.

— Ojciec opowiadał mi, co się przeżywało siedząc w poczekalni u dentysty. Za każdym razem, gdy pielęgniarka otwierała drzwi, człowiek myślał: to już teraz. Bałem się tego przez całe życie.

— I tak właśnie czujesz się w tej chwili? — spytał Al.

— W tej chwili myślę: Rany boskie, dlaczego ten głupi cymbał, który jest dyrektorem, nie przyjdzie tu wreszcie i nie powie nam, że on żyje. Że Runciter żyje. Albo że nie żyje. Jedno z dwojga. Tak lub nie.

— Odpowiedź prawie zawsze jest pozytywna. Jak mówił Vogelsang, statystycznie...

— Tym razem będzie negatywna.

— Nie możesz tego przecież wiedzieć.

— Zastanawiam się — powiedział Joe — czy Ray Hollis ma w Zurychu swoje przedstawicielstwo.

— Oczywiście, że ma. Ale zanim sprowadzisz tu jasnowidza, i tak będziemy już wszystko wiedzieli.

— Zadzwoń do jasnowidza — zdecydował Joe. — Od razu porozumiem się z kimś z nich. — Wstał zastanawiając się, gdzie może być wideofon. — Daj mi dwadzieścia pięć centów.

Al przecząco pokręcił głową.

— W pewnym sensie — stwierdził Joe — jesteś moim pracownikiem. Musisz robić to, co ci polecę, w przeciwnym razie zwolnię cię. Zaraz po śmierci Runcitera objąłem kierownictwo firmy. Sprawuję je od momentu wybuchu bomby; to ja zdecydowałem, że należy go tu przywieźć i ja postanowiłem teraz wynająć na kilka minut jasnowidza. Proszę o dwadzieścia pięć centów — zakończył, wyciągając rękę.

— I pomyśleć, że Korporacją Runcitera kieruje człowiek, który nigdy nie ma przy sobie nawet pięćdziesięciu centów — powiedział Al. — Proszę, masz. — Wyjął z kieszeni monetę i rzucił ją Joemu. — Dopisz tę sumę do mojej najbliższej pensji.

Joe wyszedł z rozmównicy i powłókł się korytarzem, z zadumą pocierając czoło. To nienaturalne miejsce, myślał, ulokowane w połowie drogi pomiędzy życiem a śmiercią. Naprawdę jestem teraz szefem Korporacji Runcitera, jeżeli nie liczyć Elli, która nie żyje i może zabierać głos tylko wtedy, kiedy odwiedzę moratorium i każe ją obudzić. Znam szczegóły testamentu Glena Runcitera, które teraz automatycznie zaczęły nas obowiązywać: ja mam kierować firmą do momentu, kiedy sama Ella lub oni oboje nie zostaną obudzeni i nie zdecydują, kto ma objąć miejsce Glena. Oboje muszą wyrazić zgodę — w obu testamentach ujęte to jest jako warunek niezbędny. A może, pomyślał, dojdą do wniosku, że mogą na stałe pozostać na tym stanowisku.

Nigdy do tego nie dojdzie, zdał sobie sprawę. Nie wchodzi w rachubę człowiek, który nie umie uporządkować własnych finansów. Jasnowidz Hollisa i to powinien wiedzieć, przyszło mu do głowy. Od nich dowiem się, czy otrzymam awans na stanowisko dyrektora firmy, czy też nie. Dobrze byłoby mieć pewność i w tej sprawie. Tym bardziej że i tak przecież muszę wynająć jasnowidza.

— Gdzie jest wideofon do użytku publicznego? — spytał umundurowanego funkcjonariusza moratorium.

— Dziękuję — powiedział, gdy ten wskazał mu kierunek. Szedł dalej, aż wreszcie znalazł automatyczny aparat. Podniósł słuchawkę, usłyszał sygnał i wrzucił otrzymaną od Ala monetę.

— Przykro mi, sir, ale nie mogę przyjmować pieniędzy, które już wycofano z obiegu — odezwał się aparat. Moneta wypadła z otworu w jego obudowie i wyładowała u stóp Joego. Odrzucona z niesmakiem.

— O co chodzi? — spytał, schylając się niezgrabnie, by podnieść monetę. — Od kiedy dwudziestopięciocentówki Federacji Północnoamerykańskiej są wycofane z obiegu?

— Bardzo żałuję, sir, ale to, co pan do mnie wrzucił, nie było dwudziestopięciocentówką Federacji Północnoamerykańskiej, lecz starą monetą Stanów Zjednoczonych Ameryki, bitą w Filadelfii. Obecnie ma ona wartość jedynie dla numizmatyków.

Joe przyjrzał się dwudziestopięciocentówce. Na jej zmatowiałej powierzchni widniał profil George'a Washingtona. I data. Moneta pochodziła sprzed czterdziestu lat. I — jak stwierdził telefon — dawno już została wycofana z obiegu.

— Czy ma pan jakieś trudności, sir? — spytał uprzejmie pracownik moratorium, zbliżając się do Joego. — Widziałem, że automat odrzucił pańską monetę. Czy mógłbym ją zobaczyć?

Wyciągnął dłoń i Joe wręczył mu dwudziestopięciocentówkę Stanów Zjednoczonych.

— Dam panu za nią współczesną monetę wartości dziesięciu franków szwajcarskich, którą będzie pan mógł zapłacić za rozmowę.

— Zgoda — powiedział Joe. Dokonawszy wymiany wrzucił dziesięciofrankówkę do otworu aparatu i wybrał numer międzynarodowej centrali firmy Hollisa.

— Tu firma Talenty Hollisa — odezwał się uprzejmy głos kobiety. Na ekranie pojawiła się twarz młodej dziewczyny, zmieniona nieco przez najnowsze typy środki kosmetyczne. — Ach, to pan, panie Chip — powiedziała dziewczyna, rozpoznając go. — Pan Hollis zapowiedział nam, że będzie pan dzwonić. Czekaliśmy całe popołudnie.

Jasnowidze — pomyślał Joe.

— Pan Hollis — ciągnęła dziewczyna — polecił nam połączyć pana z nim: chce osobiście załatwić pańską sprawę. Czy może pan chwileczkę poczekać? Już pana łączę. A więc za moment, panie Chip, jeśli Bóg da, usłyszysz pan głos pana Hollisa.

Jej twarz znikła. Miał przed sobą szary, ponury ekran. Po chwili pojawiła się na nim posępna, niebieskawa twarz o głęboko osadzonych oczach: tajemnicze oblicze, pozbawione szyi i reszty ciała. Oczy przypominały mu klejnoty, mające

jakaś skazę: błyszczące, ale błędnie oszlifowane. Oczy Hollisa nierówno odbijały światło w różnych kierunkach.

— Halo, panie Chip.

A więc tak on wygląda, pomyślał Joe. Fotografie nie oddawały tego dokładnie: nie pokazywały nierówności płaszczyzn i powierzchni. Wydawało się, że cała konstrukcja upadła na ziemię, stłukła się i została na nowo sklejona — ale nie odzyskała już dawnego wyglądu.

— Towarzystwo — stwierdził Joe — otrzyma pełny raport o morderstwie, jakiego dopuścił się pan na Glenie Runciterze. Mają oni wielu zdolnych adwokatów, spędzi pan resztę życia w sądzie. — Bezskutecznie czekał na jakąś reakcję właściciela twarzy. — Wiemy, że to pańska sprawa — dodał, czując bezowocność, bezsensowność swych poczynań.

— Jeżeli chodzi o meritum sprawy, z którą się pan do nas zwraca — powiedział Hollis głosem, który przypominał Joemu szelest pełzających po sobie węży — pan Runciter nie będzie...

Joe drżącą dłonią odwiesił słuchawkę.

Odbył drogę powrotną tym samym korytarzem, którym szedł poprzednio i znowu dotarł do rozmównicy. Siedział tam ponury Al Hammond, łamiąc na kawałki suchy jak pieprz przedmiot, będący niegdyś papierosem. Przez chwilę panowała cisza, potem Al podniósł wzrok na Joego.

— Odpowiedź brzmi przecząco — powiedział Joe.

— Był tu Vogelsang i pytał o ciebie — odparł Al. — Zachowywał się bardzo dziwnie i widać było po nim, co się tam dzieje. Trzymam zakład osiem do sześciu, że boi się powiedzieć ci o tym wprost i będzie długo kluczył, ale sprowadzi się to, jak powiedziałeś, do odpowiedzi: nie. I co teraz? — czekał na decyzję Joego.

— Teraz wykończymy Hollisa.

— Nie wykończymy go.

— Towarzystwo... — przerwał. Do rozmównicy wsunął się właściciel moratorium. Widać było, że jest nieswój i zdenerwowany, usiłował jednak zachować postawę twardego człowieka, który znosi swój los ze spokojem i obojętnością.

— Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Przy tak niskich temperaturach przepływ prądu odbywa się w zasadzie bez zakłóceń: przy minus stu pięćdziesięciu stopniach Celsjusza nie obserwuje się zauważalnej oporności. Powinniśmy otrzymać wyraźny i silny sygnał, ale wzmacniacz przekazał nam tylko szum o częstotliwości sześćdziesięciu herców. Proszę jednak zwrócić uwagę na to, że nie mieliśmy żadnego wpływu na działanie urządzenia chłodniczego, w którym pan Runciter początkowo przebywał. Proszę o tym pamiętać.

— Pamiętamy o tym — powiedział Al, sztywno podnosząc się z miejsca. — To chyba wszystko — zwrócił się do Joego.

— Porozmawiam z Ellą — oznajmił Joe.

— Teraz? — spytał Al. — Poczekaj lepiej: zastanów się, co chcesz jej powiedzieć. Porozmawiaj z nią jutro. Jedź do domu i prześpij się trochę.

— Jechać do domu to znaczy jechać do Pat Conley — stwierdził Joe. — A w moim stanie z nią też nie mam siły rozmawiać.

— Weź więc pokój w hotelu, tu w Zurychu — poradził mu Al. — Zniknij. Ja wrócę na statek, opowiem wszystko tamtym i złożę Towarzystwu meldunek. Możesz upoważnić mnie do tego na piśmie. — Odwrócił się w kierunku von Vogelsanga. — Czy może pan dać nam papier i pióro?

— Wiesz, z kim mam ochotę porozmawiać? — spytał Joe, gdy właściciel moratorium oddalił się w poszukiwaniu przyborów do pisania. — Z Wendy Wright. Ona będzie wiedziała, co należy zrobić. Liczę się z jej zdaniem. Ciekaw jestem dlaczego, przecież prawie jej nie znam. — Zauważył, że rozmównice wypełnia subtelną, cichą melodią. Słyszał ją było przez cały czas. Ta sama, co na pokładzie helikoptera. — *Dies irae, dies illa* — śpiewał posępnie chór. — *Solvat saeculum in favilla, teste David cum Sybilla*¹. — Requiem Verdiego — uświadomił sobie. Zapewne von Vogelsang, przychodząc o dziewiątej do pracy, osobiście włączał muzykę.

— Gdy będziesz już miał pokój w hotelu — mówił Al — prawdopodobnie uda mi się namówić Wendy Wright, żeby cię tam odwiedziła.

— To byłoby niemoralne — stwierdził Joe.

— Co? — Al spojrział na niego ze zdumieniem. — W takiej chwili? Kiedy z całej organizacji nie pozostaną nawet wspomnienia, jeżeli ty nie pozbierasz się do kupy? Wszystko, co pomoże ci funkcjonować, jest pożądane, a nawet konieczne. Idź do wideofonu, porozum się z hotelem, potem wróć tu, podaj mi nazwę hotelu i...

— Wszystkie nasze pieniądze są bez wartości — powiedział Joe. — Nie mogę posługiwać się wideofonem, chyba że znajdę numizmatyka, który się ze mną zamieni, dając mi jeszcze jedną szwajcarską dziesięciofrankówkę, znajdującą się aktualnie w obiegu.

— O rany! — powiedział Al, wzdychając głośno i potrząsając głową.

— Czy to moja wina? — spytał ze złością Joe. — Czy to ja sprawiłem, że ta dwudziestopięciocentówka od ciebie zestarzała się?

— W jakiś tam dziwny sposób — powiedział Al — to istotnie twoja wina. Ale nie wiem, dlaczego. Może kiedyś na to wpadnę. Okay, pójdziemy razem na pokład naszego statku. Możesz zabrać stamtąd Wendy Wright i wziąć ją do hotelu.

— *Quantus tremor est futurus* — śpiewał chór. — *Quando iudex est venturus, cuncta stricte discussurus*².

¹*Dies irae...* (łac.) — *Dzień to pomsty, z której chwilą świat pożary w popiół spylą: świadkiem Dawid ze Sybillą*. Ten i następne cytaty z hymnu *Dies irae* Tomasza z Celano, franciszkanina (1260 rok). Tekst polski wg *Mszalu rzymskiego*, 1931.

²*Quantus tremor...* (łac.) — *Jakże wielki strach nastanie, gdy Pan przyjdzie niespodzianie*

— Czym zapłacę za hotel? Oni też nie przyjmą naszych pieniędzy, tak jak wideofon.

Al zaklął, wyciągnął portfel i obejrzał znajdujące się w nim banknoty.

— Te są stare, ale jeszcze w obiegu. — Przyjrzał się monetom, które miał w kieszeni. — Te są już wycofane. — Rzucił monety na dywan, pokrywający podłogę rozmównicy, pozbywając się ich ze wstrętem, podobnie jak poprzednio wideofon. — Weź te pieniądze — wręczył Joemu plik banknotów. — Wystarczy ich na spędzenie jednej doby w hotelu, a także na kolację i kilka drinków dla was obojga. Jutro wyślę z Nowego Jorku statek, który was stąd zabierze.

— Oddam ci te pieniądze — obiecał Joe. — Jako pełniący obowiązki dyrektora Korporacji Runcitera otrzymam wyższą pensję; będę w stanie spłacić moje długi, razem z zaległymi podatkami, karami i grzywnami, których wydział podatkowy...

— Bez Pat Conley? Bez jej pomocy?

— Teraz mogę ją wyrzucić — stwierdził Joe.

— Nie jestem pewien — powiedział Al.

— Mogę teraz zacząć od nowa, nowe życie. — Potrafię kierować firmą, pomyślał. Z pewnością nie powtórzę błędu Runcitera: podszywający się pod Stantona Micka Hollis nie zwabi ani mnie, ani moich inercjałów nigdzie poza Ziemię i nie będzie mógł nas tam zaatakować.

— Moim zdaniem — rzekł głucho głosem Al — jest w tobie pragnienie porażki. Żaden układ okoliczności tego nie zmieni, nawet obecna sytuacja.

— W istocie jednak odczuwam pragnienie sukcesu — powiedział Joe. — Widział to Glen Runciter; dlatego wyraźnie zaznaczył w swoim testamencie, że gdyby on umarł, a Moratorium Ukochanych Współbraci, czy jakiegokolwiek inne godne zaufania moratorium, które ja wybiorę, nie było w stanie przywrócić go do stanu półżycia, ja mam przejąć władzę. — Wzrosła jego wiara we własne siły. Widział rozliczne stojące przed nim możliwości tak wyraźnie, jakby był obdażony zdolnością jasnowidzenia. Nagle przypomniał sobie umiejętności Pat i zdał sobie sprawę z tego, co potrafi ona zrobić jasnowidzom; każdemu, kto usiłowałby przewidzieć przyszłość.

— *Tuba mirum spargens sonum* — śpiewał chór. — *Per sepulchra regionum, coget omnes ante thronum*³.

— Nie możesz jej wyrzucić — mówił Al, odczytując z twarzy jego myśli. — Z takimi zdolnościami.

— Wynajmę sobie pokój w hotelu Rootes w Zurychu — postanowił Joe. — Tak jak proponowałeś.

sądzić wszystkich serc otchłanie.

³*Tuba mirum...* (łac.) — *Trąba dziwnym grzmiąca tonem nad zapadłych grobów łonem stawia wszystkich wraz przed tronem.*

Al ma rację — pomyślał. — Nic z tego nie będzie. Pat — albo coś jeszcze gorszego — wtrąci się i zniszczy mnie. Jestem z góry skazany na zagładę, to moje przeznaczenie, w klasycznym pojęciu tego terminu. W jego podnieconym i zmęczonym umyśle pojawił się nagle obraz ptaka schwytanego w pajęczynę. Obraz ten łączył się jakoś ze sprawą czasu, i to napawało go lękiem: ten aspekt wydawał się konkretny i realny. I proroczy, pomyślał. Ale nie potrafił sobie wyjaśnić dlaczego. Monety, myślał. Wycofane z obiegu, odrzucone przez wideofon. Obiekty numizmatyczne. Jak te, które widuje się w muzeach. Czy o to chodzi? Trudno powiedzieć. Naprawdę nie miał pojęcia.

— *Mors stupebit* — śpiewał chór — *et natura, cum resurget creatura, iudicanti responsura*⁴.

Śpiewał tak bez przerwy, przez cały czas.

⁴*Mors stupebit...* (łac.) — Śmierć z naturą przejmą dziwy, gdy proch z grobu wstanie żywy, na Sędziego głos straszliwy.

Rozdział 8

Masz kłopoty materialne? Odwiedź panienkę w kasie oszczędnościowo-pożyczkowej Ubik. Ona uwolni cię od zmartwień. Powiedzmy na przykład, że zaciągniesz pożyczkę oprocentowaną w wysokości 59 posredków. A więc wyniesie to razem. . .

Do eleganckiego pokoju hotelowego wdzierало się światło słoneczne, ukazując zmrużonym oczom Joego okazałe kształty przedmiotów składających się na wyposażenie wnętrza. Wielkie kotary z neojedwabnej tkaniny pokryte były ręcznie drukowanymi scenami przedstawiającymi rozwój ludzkości od jednokomórkowych istot okresu kambryjskiego do momentu, gdy w początku XX wieku odbył się pierwszy lot cięższej od powietrza maszyny. Wspaniała komoda z imitacji mahoni, cztery różnokolorowe chromowane krzesła z ruchomym oparciem. . . Zaspany Joe podziwiał wykwint hotelowego pokoju — i nagle odczuł silne rozczarowanie: uświadomił sobie, że nie zjawiła się u niego Wendy. A może pukała do drzwi, a on spał zbyt głęboko, by ją usłyszeć.

Tak więc jego zdobycz znikła, zanim ją schwytał.

Czując przenikające go odrętwiające przygnębienie — pozostałość z poprzedniego dnia — zwłóknął się z wielkiego łóżka, odszukał swą garderobę i ubrał się. Stwierdził, że w pokoju panuje niezwykle chłód i przez chwilę zastanawiał się nad tym zjawiskiem. Potem podniósł słuchawkę wideofonu i wybrał numer hotelowej restauracji.

— . . . odpłacić mu, jeśli tylko będzie to możliwe — mówił głos w słuchawce. — Przede wszystkim trzeba oczywiście ustalić, czy Stanton Mick istotnie w tym uczestniczył, czy też jego udział w akcji przeciwko nam był jedynie upozorowany — i dlaczego. Jeśli zaś było inaczej, to w jaki sposób. . .

Głos sączył się monotonicznie, jakby jego właściciel mówił sam do siebie, nie zaś do Joego. Wydawać by się mogło, że mówiący nie zdaje sobie sprawy z obecności słuchacza, tak jakby ten nie istniał.

— . . . Z naszych dotychczasowych raportów — ciągnął głos — wynika, że

Mick postępuje zazwyczaj w sposób nienaganny i zgodny z przyjętymi w ramach systemu zasadami prawnymi czy etycznymi. W świetle tego faktu...

Joe odłożył słuchawkę i stał oszołomiony, chwiejąc się na nogach, usiłując zebrać myśli. Był to niewątpliwie głos Runcitera. Raz jeszcze podniósł słuchawkę i przyłożył do niej ucho.

— ...proces wytoczony przez Micka, który przyzwyczajony jest do tego rodzaju sporów i może sobie na nie pozwolić. Należy koniecznie zasięgnąć rady naszych prawników przed złożeniem Towarzystwu oficjalnego raportu. Jeżeli zostanie on zgłoszony publicznie, będzie miał charakter zniesławienia, a także może stanowić podstawę do procesu, w którym odpowiadać będziemy za fałszywe oskarżenie o pozbawienie wolności, jeśli...

— Runciter! — powiedział głośno Joe.

— ...w stanie udowodnić przynajmniej...

Joe odłożył słuchawkę.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedział głośno do siebie. Przeszedł do łazienki, opłukał twarz lodowatą wodą i uczesał się higienicznym grzebieniem, w który hotel zaopatrywał bezpłatnie każdego gościa. Po krótkim namyśle ogolił się bezpłatną higieniczną maszynką jednorazowego użytku, natarł podbródek, szyję i policzki bezpłatnym higienicznym płynem po goleniu, a następnie odpakował bezpłatną higieniczną szklanke i napił się wody.

Czyżby moratorium udało się w końcu przywrócić go do stanu półżycia? — pomyślał. Czy to oni podłączyli go do mego telefonu? Runciter po odzyskaniu świadomości chciałby zapewne przede wszystkim rozmawiać ze mną. Ale jeśli tak się stało, to dlaczego on mnie nie słyszy? Dlaczego połączenie jest tylko jednostronne? Czy to tylko jakaś usterka techniczna, którą można będzie usunąć?

Raz jeszcze podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę, zamierzając połączyć się z Moratorium Ukochanych Współbraci.

— ...nie jest najlepszym kandydatem na dyrektora firmy w związku z jego skomplikowaną sytuacją osobistą, szczególnie...

Nie mogę zatelefonować, zdał sobie sprawę Joe. Odłożył słuchawkę. Nie mogę nawet niczego zamówić.

W rogu dużego pokoju rozległ się dźwięk sygnału, a potem brzęczący, mechaniczny głos: — Jestem pańską domową maszyną gazetową, dostarczaną do pokójów bezpłatnie tylko przez znakomitą sieć hoteli Rootesa na całej Ziemi i w terytoriach skolonizowanych. Proszę po prostu wcisnąć któryś guzik, wedle rodzaju wiadomości, jakie pana interesują, a w ciągu zaledwie kilku sekund otrzyma pan aktualną, zawierającą najnowsze informacje gazetę, sporządzoną zgodnie z pańskimi indywidualnymi wymogami. Niech mi wolno będzie nadmienić, że nie pociągnie to żadnych wydatków z pańskiej strony.

— Okay — powiedział Joe, przechodząc przez pokój i zbliżając się do maszyny. — Może już rozeszła się wiadomość o zamordowaniu Runcitera, pomyślał.

Media śledzą stale listę osób umieszczanych w moratoriach.

Nacisnął guzik z napisem: „Najważniejsze wiadomości międzyplanetarne”. Z maszyny natychmiast zaczął hałaśliwie wysuwać się arkusz papieru; gdy tylko cały znalazł się na zewnątrz, Joe wziął go do rąk.

Żadnej wzmianki o Runciterze. Czyżby było za wcześnie? Może Towarzystwu udało się utrzymać ten fakt w tajemnicy, Albo może Al, myślał Joe, może wsunął właścicielowi moratorium odpowiednio dużo posredów. Ale przecież on sam miał przy sobie wszystkie pieniądze Ala. Al nie był więc w stanie skłonić kogokolwiek do czegokolwiek za pomocą łapówki.

Rozległo się pukanie do drzwi pokoju.

Joe odłożył arkusz papieru z automatu gazetowego i ostrożnie zbliżył się do drzwi. To zapewne Pat Conley, myślał, udało jej się mnie tu wytropić. Z drugiej strony może to być ktoś, kto przyjechał po mnie z Nowego Jorku i chce mnie tam zawieźć. Teoretycznie, rozważał, może to nawet być Wendy. Ale nie wydawało mu się to prawdopodobne: Wendy zjawiłaby się wcześniej.

A może to nasłany przez Hollisa morderca? Może zabija nas wszystkich po kolei?

Joe otworzył drzwi.

W progu stał, zacierając swe tłuste dłonie, Herbert Schoenheit von Vogelsang.

— Nie rozumiem tego, panie Chip — wymamrotał. — Pracowaliśmy przy nim na zmianę przez całą noc i nie dostrzegliśmy ani jednej iskierki życia. Kiedy jednak posłużyliśmy się elektroencefalografem, aparat ten zanotował wyraźną, choć słabo wyczuwalną pracę mózgu. A więc mamy do czynienia z jakąś formą życia pośmiertnego, jak się jednak wydaje, nie potrafimy odnotować żadnych sygnałów. Umieściliśmy już czujniki we wszystkich ośrodkach kory mózgowej. Nie wiem, co moglibyśmy zrobić więcej, sir.

— Czy aparaty rejestrują metabolizm mózgu?

— Owszem. Wezwaliśmy do pomocy eksperta z innego moratorium i stwierdził on istnienie metabolizmu za pomocą własnej aparatury. Odbywa się on w sposób naturalny — taki jakiego można się spodziewać bezpośrednio po śmierci.

— Skąd pan wiedział, jak mnie znaleźć? — spytał Joe.

— Telefonowałem do Nowego Jorku, do pana Hammonda. Próbowałem potem dodzwonić się do pana do hotelu, ale pański telefon był przez całe rano zajęty. Dlatego uznałem, że muszę przyjechać osobiście.

— Wideofon jest popsuty — powiedział Joe. — Ja też nie mogę nigdzie się dodzwonić.

— Pan Hammond również próbował bezskutecznie skontaktować się z panem. Prosił mnie, żebym przekazał od niego wiadomość: chodzi o pewną sprawę, którą mógłby pan załatwić przed wyjazdem do Nowego Jorku.

— Chce mi pewnie przypomnieć, że mam się porozumieć z Ellą — stwierdził Joe.

- Że ma ją pan poinformować o tragicznym przedwczesnym zgonie jej męża.
- Czy może mi pan pożyczyć kilka posredów, żebym mógł zjeść śniadanie?
- spytał Joe.
- Pan Hammond ostrzegał mnie, że będzie pan usiłował pożyczyć ode mnie pieniądze. Poinformował mnie, że zaopatrzył pana w odpowiednio dużo gotówki, by wystarczyło panu na opłacenie pokoju hotelowego, kilku drinków, a także. . .
- Al dokonując swych obliczeń zakładał, że wynajmę skromniejszy pokój niż ten. Nie przewidział jednak, że nie uda mi się dostać mniejszego apartamentu. Może pan doliczyć tę sumę do następnego rachunku, jaki przedłoży pan Korporacji Runcitera pod koniec miesiąca. Jak zapewne powiedział panu Al, pełnię obecnie obowiązki dyrektora firmy. Ma pan przed sobą konstruktywnie myślącego twardego człowieka, który konsekwentnie szedł w górę po szczeblach kariery, aż osiągnął szczyt. Mogę, jak pan dobrze wie, zmienić politykę naszej firmy w zakresie moratoriów, z których usług zamierzamy korzystać. Moglibyśmy na przykład zdecydować się na jedno z tych, które położone są bliżej Nowego Jorku.
- Von Vogelsang niechętnie sięgnął w głąb swej tweedowej togi, wyjął portfel ze sztucznej krokodylowej skóry i przetrząsnął jego zawartość.
- Żyjemy w bezwzględnym świecie — stwierdził Joe przyjmując pieniądze,
- Człowiek człowiekowi wilkiem: oto obowiązujące prawo.
- Pan Hammond prosił mnie o przekazanie panu jeszcze jednej informacji. Statek zjawi się w Zurychu mniej więcej za dwie godziny.
- W porządku — powiedział Joe.
- Żeby dać panu dość czasu na odbycie konferencji z Ellą Runciter, pan Hammond ustalił ze mną, że pojazd zabierze pana z moratorium. W związku z tym pan Hammond zaproponował, żebym ja od razu pana tam zawiózł. Mój helikopter zaparkowany jest na dachu hotelu.
- Hammond tak zdecydował? Że ja mam wrócić do moratorium razem z panem?
- Tak jest — von Vogelsang kiwnął głową.
- Wysoki, zgarbiony Murzyn około trzydziestki? Czy miał na przednich zębach złote korony z dekoracyjnymi motywami przedstawiającymi poczynając od lewej strony kier, trefl, karo. . . ?
- Ten sam, którego zabraliśmy wczoraj z lądowiska. Który razem z panem czekał w moratorium.
- A miał na sobie zielone filcowe pantofle, szare sportowe skarpety, bluzę z borsuczej skóry z wycięciem na brzuchu i pumpy ze sztucznego lakierowanego tworzywa?
- Nie widziałem, jak był ubrany. Na ekranie wideofonu widziałem tylko jego twarz.
- Przypuszczam, że Al użył jakiegoś specjalnego kodu, żebym miał pewność, że to on?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi, panie Chip — powiedział z irytacją właściciel moratorium. — Człowiek, który rozmawiał ze mną przez wideofon z Nowego Jorku, to ten sam osobnik, z którym był pan u nas wczoraj.

— Nie mogę ryzykować — oświadczył Joe — jadąc z panem albo wsiadając do pańskiego helikoptera. A może przysłał pana Ray Hollis? To Hollis zabił pana Runcitera.

Vogelsang z oczami jak szklane guziki zapytał:

— Czy powiadomiliście władze Towarzystwa?

— Zrobimy to. Zajmiemy się tym we właściwym momencie. Tymczasem musimy zachować środki ostrożności, żeby Hollis nie wykończył nas wszystkich. Nas też miał zamiar zabić, tam na Lunie.

— Potrzebna jest panu obstawa — stwierdził właściciel moratorium. — Proponuje, żeby pan zaraz zadzwonił do tutejszej policji, a oni wydelegują człowieka, który będzie się panem opiekował aż do pańskiego odlotu. Gdy tylko przybędzie pan do Nowego Jorku...

— Mój telefon, jak już mówiłem, jest uszkodzony. Słyszę w nim jedynie głos Glena Runcitera. Dlatego właśnie nikt nie mógł się do mnie dodzwonić...

— Naprawdę? To niesłychane. — Von Vogelsang wyminął Joego i wsunął się do apartamentu. — Czy mogę posłuchać? — Podniósł słuchawkę, pytająco spoglądając na Joego.

— Jeden posred — powiedział Joe.

Właściciel moratorium zagłębił ręce w kieszeniach swej tweedowej togi i wyjął z nich garść monet. Z irytacją furkocząc swą czapkę w kształcie śmigła, podszedł do Joego i wręczył mu trzy spośród nich.

— Biorę od pana tylko tyle, ile kosztuje tu filiżanka kawy — oświadczył Joe. Nagle zdał sobie sprawę, że nie jadł śniadania i że w tym stanie musi się spotkać z Ellą. Postanowił zażyć zastępczo amfetaminę; zapewne hotel zaopatrzył go w nią bezpłatnie, traktując to jako grzecznościowy gest.

— Nic nie słyszę — powiedział von Vogelsang, ze słuchawką przy uchu. — Nie ma nawet sygnału. Teraz są jakieś zakłócenia, jak gdyby płynące z wielkiej odległości. Bardzo niewyraźne. — Wyciągnął ku niemu słuchawkę.

Joe wziął ją do ręki i przyłożył do ucha.

I on usłyszał tylko odległe zakłócenia. Z odległości wielu tysięcy mil, pomyślał. To równie zdumiewające jak głos Runcitera — jeżeli to był jego głos.

— Zwróć panu pańskiego posreda — powiedział, odkładając słuchawkę.

— To drobiazg — odparł von Vogelsang.

— Ale przecież nie usłyszał pan jego głosu.

— Wracajmy do moratorium. Tak życzył sobie pański kolega, Hammond.

— Al Hammond jest podległym mi pracownikiem — stwierdził Joe. — To ja decyduję o posunięciach firmy. Myślę, że wrócę do Nowego Jorku przed rozmową z Ellą: moim zdaniem ważniejsze jest sporządzenie oficjalnego meldunku dla

Towarzystwa. Czy Al Hammond powiedział panu w trakcie waszej rozmowy, że wszyscy inercjałowie opuścili Zurych razem z nim?

— Wszyscy z wyjątkiem dziewczyny, która spędziła z panem noc w tym hotelu. — Zdziwiony właściciel moratorium rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się, gdzie ona może być. Na jego charakterystycznym obliczu rozlał się niepokój. — Czy nie ma tu jej?

— Która to była dziewczyna? — spytał Joe. Opadły go najczarniejsze przecucia.

— Pan Hammond nie powiedział mi tego. Sądził, że pan jest poinformowany. W tych okolicznościach podanie mi jej nazwiska byłoby niedyskrecją. Czy ona...

— Nikt się tu nie zjawił. — Która to mogła być? Pat Conley? Czy Wendy? — Zaczął chodzić po pokoju, starając się zapanować nad swym lękiem. Na Boga, pomyślał, mam nadzieję, że była to Pat.

— W szafie — powiedział von Vogelsang.

— Co? — Joe zatrzymał się.

— Może powinien pan tam zajrzeć. W tych droższych apartamentach są ogromne szafy ściennie.

Joe nacisnął guzik umieszczony na drzwiach szafy i sprężynowy mechanizm otworzył je gwałtownie.

Na podłodze leżała zwinięta kupka, składająca się głównie z rozpadających się strzępków czegoś, co kiedyś było tkaniną. Miało się wrażenie, że to, co materiał ten okrywał, stopniowo, przez długi czas, skurczyło się do tak drobnych rozmiarów. Całość była wyschnięta do cna, niemal zmumifikowana. Schyliwszy się przewrócił ją na drugą stronę. Ważyła zaledwie kilka funtów. Pod wpływem jego dotknięcia zgięte dotąd członki wyprostowały się; były cienkie i kościste. Wydawały odgłos przypominający szelest papieru. Zdawało się, że sztywne i splątane włosy leżącej postaci są niezwykle długie. Przykrywały jej twarz jak czarna, skłębiona chmura. Joe stał pochylony, bez ruchu, nie mając odwagi przekonać się, kto to jest.

— To stare zwłoki — powiedział zdławionym głosem von Vogelsang. — Kompletnie wysuszone. Jakby leżały tu od stuleci. Zjadę na dół i poinformuję o tym dyrektora hotelu.

Niemożliwe, żeby to była dorosła kobieta, pomyślał Joe. Tak drobne mogły być jedynie szczątki jakiegoś dziecka.

— Z pewnością to nie Pat ani Wendy — powiedział, odsuwając z jej twarzy kłęb włosów. — Wygląda, jakby ją wyciągnięto z pieca do wypalania cegły.

A może to ten wybuch — pomyślał. — Fala gorąca po eksplozji bomby.

W milczeniu przyjrzał się drobnej, skurczonej, pociemniałej od gorąca twarzy. I już wiedział, kto to jest. Rozpoznał ją, choć z trudem.

Wendy Wright.

Zwzłej nocy, domyślał się, przyszła do mojego pokoju i nagle zaczął się w niej — czy wokół niej — odbywać jakiś proces. Poczuli to i odeszła po cichu, chowając się w szafie, bym nic o tym nie wiedział. Tak upłynęły ostatnie godziny (czy może — miał nadzieję — jedynie minuty) jej życia, a jednak nie wydała głosu, nie obudziła mnie. A może próbowała mnie zbudzić, ale nie udało jej się to, nie była w stanie zwrócić na siebie mojej uwagi. Może właśnie po nieudanej próbie obudzenia mnie powlokła się do tej szafy?

Boże, pomyślał, mam nadzieję, że to nie trwało długo.

— Nie może pan nic już dla niej zrobić w swym moratorium, prawda? — spytał von Vogelsanga.

— Jest już zbyt późno. Przy tak całkowitym rozkładzie z pewnością nie pozostał w niej żaden ślad półżycia. Czy to ta dziewczyna?

— Tak — odparł, kiwając głową.

— Lepiej będzie, jeśli pan natychmiast opuści ten hotel. Dla pańskiego własnego bezpieczeństwa. Hollis. . . bo to Hollis, prawda? . . . zrobi z panem to samo.

— Moje papierosy — mówił Joe — kompletnie wyschnięte. Książka telefoniczna sprzed dwóch lat na pokładzie statku. Skwaśniała śmietanka i zapleśniała, zmętniała kawa. Pieniądze które wyszły z obiegu. Wspólny element: wiek. Mówiła to już na Lunie, gdy dotarliśmy na statek: „Czuję się stara”.

Zapadł w zadumę, starając się opanować swój lęk, który zaczął ustępować miejsca przerażeniu. Ale ten głos w telefonie, pomyślał. Głos Runcitera. Co to oznaczało?

Nie dostrzegł w tym wszystkim żadnego związku logicznego, żadnego sensu. Głos Runcitera w wideofonie nie pasował do żadnej teorii, jaką mógł zbudować czy wymyślić.

— Promieniowanie — stwierdził von Vogelsang. — Znalazła się chyba jakiś czas temu w zasięgu silnego promieniowania radioaktywnego. Niezwykle silnego.

— Myślę, że umarła na skutek tego wybuchu — powiedział Joe. — Eksplozji, która zabiła Runcitera. — Cząsteczki kobaltu — myślał. Gorący pył, który osiadł na niej i który wdychała. Ale skoro tak, to wszystkich nas czeka taka sama śmierć: osiadł on przecież na wszystkich. Mam go w płucach, tak samo Al i wszyscy inercjałowie. W takim wypadku nic już nie można zrobić. Jest zbyt późno. Nie pomyśleliśmy o tym, uświadomił sobie. Nie przyszło nam do głowy, że ten wybuch miał charakter reakcji jądrowej.

— Nic dziwnego, że Hollis pozwolił nam odlecieć. A jednak. . . Tłumaczyłoby to śmierć Wendy i fakt wyschnięcia papierosów. Ale nie wyjaśniona pozostawała sprawa książki telefonicznej, monet i zepsutej śmietanki oraz kawy.

Nie wiadomo również, skąd wziął się w słuchawce hotelowego wideofonu

głos Runcitera. Hałaśliwy monolog, który umilkł, gdy słuchawkę podniósł von Vogelsang. Gdy próbował go usłyszeć ktoś oprócz mnie, uświadomił sobie Joe.

Muszę wracać do Nowego Jorku, pomyślał. Spotkać się ze wszystkimi, którzy byli na Lunie, którzy byli przy wybuchu bomby. Musimy wspólnie to wszystko przemyśleć — to chyba jedyny sposób, żeby rozgryźć całą sprawę. Zanim wszyscy kolejno umrzemy, tak samo jak Wendy. Albo w jeszcze gorszy sposób, o ile to jest w ogóle możliwe.

— Niech pan poleci dyrekcji hotelu, by przysłano mi polietylenową torbę — zwrócił się do właściciela moratorium. — Umieszczę w niej zwłoki i zabiorę je z sobą do Nowego Jorku.

— Czy to nie jest sprawa dla policji? Tak okropne morderstwo: należałoby dać im znać.

— Niech pan tylko postara się o torbę — poprosił Joe.

— W porządku. To pańska pracownica — Właściciel moratorium ruszył w głąb korytarza.

— Była nią kiedyś — powiedział Joe. — Już nią nie jest.

Że też ona musiała być pierwsza, pomyślał. Ale może to i lepiej. Wendy, myślał, biorę cię z sobą, zabieram cię do domu.

Choć nie w taki sposób, jak sobie to zaplanował.

Wszyscy pozostali inercjałowie siedzieli wokół masywnego stołu konferencyjnego z prawdziwego dębowego drzewa.

— Joe powinien lada chwila wrócić — gwałtownie przerwał zbiorowe milczenie Al Hammond. Spojrzał na zegarek, by się upewnić. Wydawało mu się, że zegarek się zatrzymał.

— Proponuję — powiedziała Pat — żebyśmy tymczasem obejrzeni w telewizji popołudniowy dziennik. Przekonamy się, czy Hollis podał komuś wiadomość o śmierci Runcitera.

— Nic nie było na ten temat w dzisiejszej gazecie domowej — odezwała się Edie Dorn.

— Dziennik telewizyjny podaje o wiele świeższe wiadomości — stwierdziła Pat. Wręczyła Alowi monetę pięćdziesięciocentową, z pomocą której można było uruchomić telewizor stojący za kotarą w końcu sali konferencyjnej. Ten imponujący odbiornik typu 3-D, kolorowy i polifoniczny, był zawsze przedmiotem dumy Runcitera.

— Chce pan, żebym wrzucił ją do aparatu? — gorliwie spytał Sammy Mundo.

— Okay — powiedział Al. Z ponurą miną rzucił monetę Samowi, który chwycił ją w powietrzu i ruszył w kierunku telewizora.

Walter W. Wayles, adwokat i doradca prawny Runcitera, niecierpliwie poruszył się na swym krześle. Jego arystokratyczne dłonie o delikatnych żyłach bawiły

się zatrząskiem teczki.

— Nie powinniście byli zostawiać pana Chipa w Zurychu — powiedział. — Nie możemy nic przedsięwziąć aż do jego powrotu, a tymczasem załatwienie wszystkich spraw związanych ze śmiercią pana Runcitera jest sprawą największej wagi.

— Czytał pan testament — powiedział AL — Czytał go też Joe Chip. Wiemy, kto wedle woli Runcitera miał objąć kierownictwo firmy.

— Ale z punktu widzenia prawa... — zaczął Wayles.

— To już nie potrwa długo — powiedział szorstko Al. Wziął pióro i zaczął rysować bezładne kreski na marginesie arkusza papieru zawierającego sporządzoną przez niego listę. Przez chwilę zajęty był rysowaniem tych ornamentów, potem raz jeszcze odczytał swój wykaz:

*WYSCHNIĘTE PAPIEROSY
NIEAKTUALNA KSIĄŻKA TELEFONICZNA
WYCOFANE Z OBIEGU PIENIĄDZE
POPSUTE ARTYKUŁY ŻYWNOŚCIOWE
OGŁOSZENIE NA PUDEŁKU ZAPALEK*

— Raz jeszcze poślę tę listę wokół stołu — powiedział głośno. — Zobaczmy, czy tym razem ktoś spostrzeże jakiś związek pomiędzy tymi pięcioma zjawiskami, czy jak tam chcecie je nazwać. Te pięć faktów, które są... — wykonał gest.

— Które są bez sensu — dokończył Jon Ild.

— Łatwo spostrzec związek pomiędzy pierwszymi czterema z nich — stwierdziła Pat. — Co innego z tymi zapalkami. One nie pasują do całej sprawy.

— Pokaż mi jeszcze raz to pudełko — zażądał Al, wyciągając rękę. Pat podała mu je; ponownie odczytał ogłoszenie.

**NIEZWYKŁA SZANSA AWANSU DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY
SPEŁNIAJĄ ODPOWIEDNIE WARUNKI!**

Pan Glen Runciter, przebywający w Moratorium Ukochanych Współbraci w Zurychu w Szwajcarii, podwoił swój dochód w ciągu tygodnia od momentu otrzymania naszego bezpłatnego zestawu wzorów butów wraz ze szczególną instrukcją, dzięki której każdy z was może sprzedawać nasze oryginalne mokasyny ze sztucznej skóry wśród przyjaciół, krewnych i kolegów z biura. Pan Runciter, choć jest nieruchliwy i zamrożony w chłodni, zarobił czterysta...

Al przestał czytać i namyślał się przez chwilę, stukając o zęby paznokciem swego kciuka. Tak, pomyślał, to ogłoszenie to co innego. Pozostałe wydarzenia polegają na starzeniu się i psuciu. Ale w tym wypadku jest inaczej.

— Zastanawiam się — powiedział — co by się stało, gdybyśmy zgłosili się w odpowiedzi na to ogłoszenie. Podany jest tu numer skrytki pocztowej w Des Moines, w stanie Iowa.

— Otrzymalibyśmy bezpłatny zestaw wzorów butów — powiedziała Pat Conley — wraz ze szczegółową instrukcją, dzięki której każdy z nas może. . .

— Możliwe — przerwał Al — że nawiązalibyśmy w ten sposób kontakt z Glenem Runciterem.

— Wszyscy zebrani przy stole, łącznie z Walterem W. Waylesem, spojrzeli na niego z uwagą.

— Mówię poważnie — powiedział. — Masz. Wyślij do nich ekspres. — Wręczył pudełko Tippy Jackson.

— I co mam napisać? — spytała Tippy.

— Po prostu wypełnić kupon. — Al zwrócił się do Edie Dorn. — Czy jesteś zupełnie pewna, że miałaś to pudełko w torebce od zeszłego tygodnia? Czy też mogłaś je dostać dopiero dziś?

— W środę włożyłam do torebki kilka pudełek zapalek — odparła Edie Dorn. — Jak już ci mówiłam, dziś rano zapalając papierosa w drodze do biura, spostrzegłam to ogłoszenie. Pudełko z całą pewnością znajdowało się w mojej torebce w momencie, gdy wyruszyliśmy na Lunę. I to już od kilku dni.

— Z tym właśnie ogłoszeniem? — spytał John Ild.

— Nie widziałam przedtem tego ogłoszenia, zauważyłam je dopiero dziś. Skąd mogę wiedzieć, co było przedtem? Któż jest w stanie to stwierdzić?

— Nikt — powiedział Don Denny. — Jak myślisz, Al? Czy to jakiś żart Runcitera? Czy kazał je wydrukować jeszcze przed śmiercią? A może to Hollis? Rodzaj groteskowego dowcipu: wiedział przecież, że zamierza zabić Runcitera? Że kiedy zauważymy to ogłoszenie, Runciter będzie już w Zurychu, w chłodni, zgodnie z jego treścią?

— Skąd Hollis mógłby wiedzieć, że zawieziemy Runcitera do Zurychu, a nie do Nowego Jorku? — spytał Tito Apostos.

— Bo tam jest Ella — odparł Don Denny.

Sammy Mundo stał w milczeniu obok telewizora, przyglądając się pięćdziesięciocentówce, którą wręczył mu Al. Jego blade czoło człowieka niezbyt inteligentnego zmarszczone było w pełnym zdumienia namyśle.

— Co się stało, Sam? — spytał Al. Poczł, że ogarnia go wewnętrzne napięcie; przeczuwał kolejny incydent.

— Czy na pięćdziesięciocentówce nie powinna się znajdować głowa Walta Disneya? — spytał Sammy.

— Disneya albo, jeśli moneta jest starsza, Fidela Castro. Pokaż ją.

— Jeszcze jedna moneta wycofana z obiegu — powiedziała Pat Conley, podczas gdy Sammy szedł z monetą w rękę w kierunku Ala.

— Nie — zaprzeczył Al, przyglądając się pięćdziesięciocentówce. — Wybiła w zeszłym roku, data jest w porządku. Obiegowa moneta. Przyjmie ją każdy automat na świecie. Także ten telewizor.

— Więc o co chodzi? — spytała nieśmiało Edie Dorn.

— O to, o czym mówi Sam — odparł Al. — Na monecie wyryty jest inny niż zazwyczaj portret. — Wstał, podszedł do Edie i położył pieniąż na jej otwartej, wilgotnej dłoni. — Kogo ci to przypomina?

— Ja... nie wiem — powiedziała Edie po chwili milczenia.

— Oczywiście, że wiesz — stwierdził Al.

— W porządku — powiedziała ostrym tonem Edie, wbrew swej woli zmuszona do odpowiedzi. Wcisnęła mu do ręki monetę, pozbywając się jej z dreszczem odrazy.

— To *Runciter* — oznajmił Al, zwracając się do wszystkich zebranych wokół wielkiego stołu.

— Dopisz to do swojej listy — powiedziała po chwili milczenia Tippy Jackson. Jej głos był zaledwie słyszalny.

— Jak mi się zdaje, zachodzą tu dwa procesy — powiedziała Pat, gdy Al wrócił już na swoje miejsce i przystąpił do uzupełnienia listy. — Jeden z nich polega na rozkładzie, to wydaje się oczywiste. Co do tego wszyscy jesteśmy zgodni.

— A drugi? — zwrócił się do niej Al, podnosząc głowę.

— Nie jestem całkiem pewna — Pat zawahała się. — Ma to jakiś związek z *Runciterem*. Myślę, że powinniśmy obejrzeć wszystkie nasze pozostałe monety. A także banknoty. Pozwólcie mi się przez chwilę zastanowić.

Wszyscy zgromadzeni wokół stołu wyjęli swe portfele i portmonetki. Przetrasnęli również kieszenie.

— Mam tu banknot wartości pięciu poscredów — powiedział John Ild — z pięknym portretem pana *Runcitera*, wykonanym techniką stalorytu. Pozostałe... — oglądał je przez chwilę. — Są normalne; są w porządku. Chce pan zobaczyć ten banknot, panie Hammond?

— Mam dwa takie same. Jak dotąd — odparł Al. — Kto jeszcze? — Podniosło się sześć rąk. — Ośmioro spośród nas ma częściowo pieniądze *Runcitera*; tak chyba należałoby je nazwać. Zapewne pod koniec dnia cała nasza gotówka zamieni się w pieniądze *Runcitera*. A może w ciągu dwóch dni. W każdym razie możemy się nimi posługiwać, uruchamiać z ich pomocą automaty i urządzenia, a także płacić swe zobowiązania.

— Nie jestem pewien — powiedział Don Denny. — Dlaczego tak sądzisz? Te, jak je nazywasz, pieniądze *Runcitera*... — postukał palcem w trzymany w ręku banknot. — Czy istnieje jakiś powód, dla którego banki miałyby je przyjmować? Nie zostały legalnie wydane: to nie rząd wprowadził je do obiegu. To sztuczne, nieprawdziwe pieniądze.

— Okay — powiedział trzeźwo Al. — Może nie są prawdziwe, może banki odmówią ich przyjmowania. Ale nie o to chodzi.

— Chodzi o to — stwierdziła Pat Conley — na czym polega ten drugi proces, to pojawianie się Runcitera.

— Otóż to — kiwnął głową Don Denny. — Pojawianie się Runcitera — to drugi proces, równoległy do procesu rozkładu. Niektóre monety starzeją się, na innych pojawia się portret czy popiersie Runcitera. Wiecie, co myślę? Sądzę, że te procesy posuwają się w przeciwnych kierunkach. Jeden polega jak gdyby na odchodzeniu. Znikaniu ze świata rzeczy istniejących. To proces numer jeden. Drugi zaś to pojawianie się w świecie rzeczy istniejących czegoś, co nigdy dawniej nie istniało.

— Spełnienie życzeń — powiedziała cicho Edie Dorn.

— Słucham? — zwrócił się do niej Al.

— Może są to spełnione życzenia Runcitera — wyjaśniła Edie. — Żeby jego portret umieszczony był na oficjalnych środkach płatniczych, na wszystkich naszych pieniądzach, z monetami łącznie. To byłoby imponujące.

— Ale na pudełkach od zapalek? — zapytał Tito Apostos.

— Chyba nie — przyznała Edie. — To niezbyt imponujące.

— Firma i tak ogłasza się na pudełkach z zapalkami — mówił Don Denny. — Także w telewizji, gazetach dostarczanych do domu i w ilustrowanych magazynach. Rozsyłały też nasze reklamy za pomocą poczty. Zajmuje się tym wszystkim dział kontaktów z klientami. Runciter nie interesował się w zasadzie tą dziedziną działalności firmy, a już z pewnością nic go nie obchodziły pudełka od zapalek. Gdyby była to jakaś forma urzeczywistnienia się jego ukrytych marzeń, należałoby się spodziewać, że twarz jego pojawi się w telewizji, nie na pieniądzach czy pudełkach z zapalkami.

— Może pojawiła się w telewizji — stwierdził Al.

— To prawda — przyznała Pat Conley. — Nie sprawdzaliśmy tego. Nikt z nas nie miał czasu na oglądanie telewizji.

— Sammy — powiedział Al, wręczając mu na nowo pięćdziesięciocentówkę — idź i włącz ten telewizor.

— Nie jestem pewna, czy mam ochotę to oglądać — powiedziała Edie, gdy Sammy wrzucił już monetę do otworu i stanawszy z boku manipulował gałkami.

Drzwi sali konferencyjnej otwarły się i stanął w nich Joe Chip.

— Zgaś telewizor — powiedział Al, ujrawszy twarz Joego. Wstał i podszedł do niego; pozostali przyglądali mu się z uwagą. — Co się stało, Joe? — zapytał. Oczekiwał chwilę na odpowiedź, ale Joe nadal milczał. — O co chodzi?

— Wynająłem statek, którym tu przyleciałem — powiedział Joe ochryłym głosem.

— Razem z Wendy?

— Wypiszcie czek, żeby zapłacić za statek — polecił Joe. — Stoi na dachu. Ja nie mam tyle pieniędzy.

— Czy może pan dysponować funduszami firmy? — spytał Al Waltera W. Waylesa.

— Na taki cel mogę. Pójdę i załatwię sprawę statku. — Walter W. Wayles wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą swą teczkę. Joe stał ciągle w drzwiach, nadal zachowując milczenie. Od czasu, kiedy Al widział go po raz ostatni, postarzał się o sto lat.

— W moim gabinecie... — Joe odwrócił się od stołu i zamrugał oczami, wahając się wyrażnie. — Ja... sędzę, że nie powinniście tego oglądać. Gdy ją znalazłem, był ze mną ten człowiek z moratorium. Powiedział, że nie jest w stanie nic zrobić, że upłynęło wiele czasu. Lata.

— Lata? — zapytał Al, czując zimne dotknięcie lęku.

Pójdziemy do mojego gabinetu — postanowił Joe. Razem z Alem wyszli z sali konferencyjnej i ruszyli korytarzem w stronę windy. — Wracając tu otrzymałem na statku środki uspokajające; ich koszt wliczony jest w cenę biletu. W gruncie rzeczy czuję się o wiele lepiej. W pewnym sensie nie czuję po prostu nic. To na pewno wpływ tych środków. Kiedy przestaną działać, z pewnością, znów będę się czuł tak jak przedtem.

Nadjechała winda. Nie odzywając się po drodze zjechali nią aż na trzecie piętro, gdzie znajdował się gabinet Joego.

— Nie radzę ci na to patrzeć — Joe otworzył drzwi i wszedł pierwszy do środka. — Zresztą jak chcesz. Skoro ja się po tym pozbierałem, zapewne i tobie nic nie będzie. — Zapalił umieszczoną pod sufitem lampę.

— Rany boskie — odezwał się po chwili Al.

— Nie otwieraj torby — powiedział Joe.

— Nie mam zamiaru. Dziś rano czy wczoraj wieczorem?

— Najwyraźniej stało się to wcześniej, zanim w ogóle dotarła do mojego pokoju. Znaleźliśmy... właściciel moratorium i ja... kawałki materiału na korytarzu przed moimi drzwiami. Ale kiedy przechodziła przez hall, wszystko musiało być jeszcze w porządku, w każdym razie prawie wszystko. Tak czy owak nikt niczego nie zauważył. W takim hotelu zawsze mają kogoś, kto przygląda się wchodzącym. Sam fakt, że udało jej się dojść do mego pokoju...

— Taa, wskazuje na to, że w każdym razie była w stanie chodzić. Tak się przynajmniej wydaje.

— Myślę o nas, o pozostałych — powiedział Joe.

— W jakim sensie?

— Czy i nam przytrafi się to samo?

— Jak mogłoby do tego dojść?

— A jak mogło do tego dojść w jej wypadku? Z powodu wybuchu. Będziemy kolejno umierać w taki sam sposób. Jedno po drugim. Aż nikt nie zostanie

przy życiu. Aż po każdym z nas zostanie tylko dziesięć funtów skóry i włosów w plastikowej torbie. I jeszcze kilka wysuszonych kości.

— No dobrze — powiedział Al. — Działa jakaś siła wywołująca gwałtowny rozkład. Funkcjonuje ona od momentu tego wybuchu na Lunie albo została przez ten wybuch wywołana. To już wiemy. Wiemy też... tak nam się przynajmniej wydaje, że istnieje jakaś przeciwsila, działająca w kierunku odwrotnym. Ma to jakiś związek z Runciterem. Na naszych pieniądzach zaczyna się pojawiać jego portret. Pudełko od zapalek...

— Runciter pojawił się w moim wideofonie.

— W *wideofonie*? Jak to?

— Nie wiem; po prostu tam był. Nie na ekranie: nie widziałem go. Słyszałem tylko jego głos.

— Co mówił?

— Nic konkretnego.

Al przyglądał mu się z uwagą.

— Czy on słyszał ciebie? — spytał w końcu.

— Nie. Próbowałem mu coś powiedzieć. Połączenie działało wyłącznie w jedną stronę; ja mogłem tylko słuchać, to wszystko.

— A więc dlatego nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

— No właśnie — Joe kiwnął głową.

— Kiedy zjawiłeś się, próbowaliśmy właśnie włączyć telewizor. Wiesz, że o jego śmierci nie ma nic w gazetach? Co za afera!

Nie podobał mu się wygląd Joego. Uświadomił sobie, że Chip wydaje się stary, drobny i zmęczony. Czy tak się to zaczyna? Musimy nawiązać kontakt z Runciterem, pomyślał. Nie wystarczy usłyszeć jego głos; najwyraźniej usiłuje on porozumieć się z nami, ale...

— Jeżeli mamy to przeżyć, musimy do niego dotrzeć.

— Ujrzenie go w telewizorze nic nam nie da — powiedział Joe. — Znowu będzie tak, jak w tym wideofonie. Chyba że on powie, jak możemy przemówić do niego. Istnieje szansa, że nam to powie, że wie, co robi. Że zdaje sobie sprawę, co się właściwie wydarzyło.

— Musiałby najpierw zrozumieć, co wydarzyło się jemu samemu. My tego nie wiemy.

W pewnym sensie wciąż musi być żywy, myślał Al, mimo że moratorium nie było w stanie obudzić go do stanu półżycia. Jasne jest, że dla tak ważnego klienta właściciel moratorium zrobił wszystko, co było w jego mocy.

— Czy von Vogelsang słyszał jego głos w wideofonie? — spytał Joego.

— Próbował go usłyszeć. Ale w słuchawce była tylko cisza, a potem jakies wyładowania, dochodzące najwyraźniej z wielkiej odległości. Ja też to słyszałem. Pustka. Dźwięk oznaczający całkowitą pustkę. Bardzo dziwny dźwięk.

— Nie podoba mi się to — stwierdził Al. Sam nie był pewien, dlaczego. — Wolałbym, żeby okazało się, że von Vogelsang też go usłyszał. Przynajmniej moglibyśmy być pewni, że naprawdę był tam jego głos, że nie przytrafiło ci się jakieś złudzenie. — Czy też raczej nam wszystkim, pomyślał, na przykład w związku z tym pudełkiem od zapalek.

Ale niektóre zdarzenia na pewno nie były złudzeniami: maszyny odrzucały wycofane z obiegu monety — bezstronne automaty, tak skonstruowane, by reagowały tylko na właściwości fizyczne. Nie wchodziły tu w grę żadne elementy psychologiczne. Automaty nie miały wyobraźni.

— Wyjdę na jakiś czas z tego budynku — oznajmił Al. — Wymyśl na chybił trafił jakieś miasto, z którym nikt z nas nie ma nic wspólnego, do którego nikt z nas nigdy nie jeździ ani w ogóle tam nie był.

— Baltimore — powiedział Joe.

— Okay. Jadę do Baltimore. Chcę się przekonać, czy w przypadkowo wybranym sklepie przyjmą ode mnie pieniądze Runcitera.

— Kup mi trochę świeżych papierosów — powiedział Joe.

— Dobrze. Zrobię i to. Zobaczymy, czy kupione w przypadkowym sklepie papierosy będą wyschnięte. Zbadam też inne produkty; pobiorę próbki. Chcesz pojechać ze mną czy wolisz pójść na górę powiedzieć im o Wendy?

— Jadę z tobą — oznajmił Joe.

— Może w ogóle nie powinniśmy im o niej mówić.

— Myślę, że powinniśmy — powiedział Joe. — Bo zdarzy się to znowu. Może nawet przed naszym powrotem. Może dzieje się to właśnie w tej chwili.

— W takim razie trzeba natychmiast jechać do Baltimore — zdecydował Al, kierując się ku drzwiom gabinetu.

Joe ruszył za nim.

Rozdział 9

Masz takie suche, trudne do uczesania włosy, co tu zrobić? Po prostu wcie-
rać specjalny eliksir do włosów marki Ubik. Już po pięciu dniach przekonasz
się, że twoje włosy nabrały nowej sprężystości, nowego połysku. Spray do
włosów marki Ubik, stosowany zgodnie z instrukcją, jest całkowicie bez-
pieczny.

Wybrali Supermarket Szczęśliwców, leżący na peryferiach Baltimore.

— Proszę o paczkę pall malli — rzekł Al, stojąc przy ladzie, do skomputery-
zowanego automatu kontrolnego.

— Wings są tańsze — zauważył Joe.

— Wings wycofano z produkcji — powiedział z irytacją w głosie Al. — I to
już przed laty.

— Owszem, wciąż je produkują — oświadczył Joe. — Tylko ich nie rekla-
mują. To przyzwoite papierosy, których producenci się nie przechwalają. Proszę
o wings zamiast pall malli — zwrócił się do automatycznego sprzedawcy.

Paczka papierosów zsunęło się po pochylni na ladę.

— Dziewięćdziesiąt pięć centów — powiedział elektronowy subiekt.

— Oto banknot wartości dziesięciu poscredów. — Al wsunął pieniądze do
aparatu, którego obwody, mruczając cicho, natychmiast poddały je oględzinom.

— Pańska reszta, sir — rzekł automat, układając przed Alem schludny stos
monet i banknotów. — Proszę się posuwać naprzód.

A więc pieniądze Runcitera mają wartość, pomyślał Al, ustępując miejsca na-
stępnemu klientowi — tęgiej starszej damie w płaszczu z materiału w kolorze
czarnych jagód, trzymającej w ręku meksykańską, plecioną ze sznurka torbę na
zakupy. Ostrożnie otworzył pudełko.

Papierosy rozsypywały mu się w palcach.

— Dowodziłoby to czegoś, gdyby była to paczka pall malli — powiedział Al.
— Wracam do kolejki. — Ruszył w jej kierunku i spostrzegł, że tęga stara dama
w ciemnym płaszczu kłóci się gwałtownie z automatycznym sprzedawcą.

— Była martwa już w momencie, gdy przyniosłam ją do domu. Proszę, możecie zabrać ją sobie z powrotem. — Postawiła na ladzie doniczkę, w której Al dostrzegł jakąś zwiędłą roślinę. Być może za życia była to azalia — w tym stanie trudno było ją rozpoznać.

— Nie mogę pani zwrócić pieniędzy — odezwał się automat. — Sprzedawane przez nas rośliny nie są objęte gwarancją. Nasza zasada brzmi: „nabywco, uważaj”. Proszę się posuwać naprzód.

— A numer „Saturday Evening Post” — ciągnęła dama — który wzięłam z waszego stoiska z gazetami, pochodził sprzed przeszło roku. Co się u was dzieje? Obiad z marsjańskich pędraków. . .

— Proszę, następny klient — powiedziało urządzenie, nie zwracając na nią uwagi.

Al wysunął się z kolejki. Zaczął chodzić po sklepie, aż dotarł do wysokiej na jakieś dwa i pół metra sterty pudeł, zawierających papierosy wszelkich możliwych marek.

— Wybierz jakiś karton — polecił Joemu.

— Domina — powiedział Joe. — Są w tej samej cenie co wings.

— Rany boskie, nie wybieraj jakichś nieznanych marek: weź winstony, kolo albo coś w tym rodzaju. — Al wyciągnął ze sterty jeden karton i potrząsnął nim. — Jest pusty. Poznaję po wadze. — A jednak coś lekkiego i bardzo małego trzepotało się we wnętrzu pudełka. Rozdarł je i zajrzał do środka.

Była to kartka papieru, zabazgrana ręcznym pismem, którego charakter obaj znali. Wyciągnął ją z pudełka i obydwaj zaczęli czytać:

Koniecznienie muszę się z wami skontaktować. Sytuacja jest poważna i w miarę upływu czasu będzie się niewątpliwie stawać coraz poważniejsza. Istnieje wiele możliwości jej wytłumaczenia i zamierzam je z wami omówić. W każdym razie nie rezygnujcie. Przykro mi z powodu Wendy Wright; zrobiliśmy w tej sprawie wszystko, co było w naszej mocy.

— A więc on wie o Wendy — stwierdził Al. — No cóż, może to znaczy, że coś takiego nie przytrafi się już żadnemu z nas.

— Przypadkowy karton papierosów — mówił Joe — w sklepie, na który zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili, po przyjeździe do wybranego na chybił trafił miasta. I oto znajdujemy przeznaczoną dla nas kartkę od Glena Runcitera. Co jest w innych kartonach? Takie same kartki? — Zdjął ze stosu karton LM, potrząsnął nim, wreszcie rozerwał opakowanie. Dziesięć pudełek papierosów i następne dziesięć pod nimi: zupełnie normalna zawartość. Czy na

pewno? — pomyślał Al. Wyjął jedno z pudełek.

— Widzisz przecież, że są w porządku — powiedział Joe. Wyciągnął z wnętrza

trza stosu inny karton. — Ten też jest pełny. — Nie otwierając go, sięgnął po następny. I jeszcze jeden. We wszystkich znajdowały się pudełka papierosów. I wszystkie rozsypywały się w palcach Ala.

— Zastanawiam się, skąd on wiedział, że przyjdziemy tutaj — mówił Al. — I skąd mógł przypuszczać, że będziemy oglądali właśnie ten karton? — To wszystko nie miało sensu. A jednak i tu działały dwie przeciwstawne siły. Proces rozkładu kontra Runciter, pomyślał Al. — Na całym świecie jest tak samo, może nawet w całym wszechświecie. Możliwe jest, że słońce zgaśnie, snuł dalej swe przypuszczenia, a Glen Runciter umieści na jego miejscu jakieś zastępcze słońce. O ile będzie mógł to zrobić.

No właśnie, pomyślał. Oto jest pytanie. Ile może zdziałać Runciter?

Czyli innymi słowy: jak daleko zajść może proces rozkładu?

— Spróbujmy czegoś innego — rzucił do Joego. Ruszył chodnikiem wśród puszek, paczek i pudełek i szedł nim aż do działu wyrobów technicznych. Na chybił trafił wybrał tam kosztowny niemiecki magnetofon. — Ten wygląda przyzwoicie — powiedział do Joego, który szedł za nim. Wziął do ręki drugi, jeszcze w pudełku. — Kupmy ten i weźmy go z sobą do Nowego Jorku.

— Nie chcesz go rozpakować i wypróbować przed kupieniem? — spytał Joe.

— Wiem już, co się zapewne okaże w czasie próby — odparł Al. — Nie będziemy w stanie zbadać go tu, na miejscu. — Z magnetofonem w ręku ruszył w kierunku kasy.

Po powrocie do Nowego Jorku przekazali magnetofon do warsztatu firmy.

W kwadrans potem kierownik warsztatu, który rozebrał tymczasem cały mechanizm, złożył im meldunek:

— Wszystkie ruchome części mechanizmu poruszającego taśmę są zużyte. Gumowe koło napędowe jest miejscami starte; wewnątrz obudowy pełno jest kawałeczków kauczuku. Urządzenie hamujące, używane przy szybkim przewijaniu taśmy, jest w praktyce całkowicie zdezelowane. Cały magnetofon wymaga oczyszczenia i naoliwienia; w gruncie rzeczy należałoby przeprowadzić generalny remont i założyć nowe paski.

— Czy z tego wynika, że magnetofon ma już kilka lat? — spytał Al.

— To możliwe. Jak dawno pan go ma?

— Kupiłem go dzisiaj — odparł Al.

— To wykluczone — stwierdził kierownik warsztatu. — A jeśli istotnie tak było, to sprzedali panu. . .

— Wiem, co mi sprzedali — powiedział Al. — Wiedziałem już go kupując, zanim jeszcze otworzyłem pudełko. — Zwrócił się do Joego: — Fabrycznie nowy magnetofon — kompletnie zdezelowany. Kupiony za nieprawdziwe pieniądze, które sklep zgadza się przyjmować. Za pozbawione wartości pieniądze — bezwar-

tościowy przedmiot; jest w tym nawet pewna logika.

— Mam dzisiaj jakiś zły dzień — odezwał się kierownik warsztatu. — Gdy wstałem dziś rano, zobaczyłem, że moja papuga nie żyje.

— Z jakiego powodu zdechła? — spytał Joe.

— Nie wiem, po prostu zdechła. Była sztywna jak kawałek drzewa. — Kierownik warsztatu wyciągnął w kierunku Al'a swój kościsty palec. — Powiem panu coś jeszcze, czego pan nie wie o swoim magnetofonie. Nie tylko jest zużyty, jest przestarzały o czterdzieści lat. Teraz już nie stosuje się gumowych kół napędowych ani pasów transmisyjnych. Nie dostanie pan nigdzie części zamiennych, chyba że ktoś je wykona ręcznie specjalnie dla pana. A to się nie opłaca: ta cholerna maszyna to już antyk. Wyrzuc pan go i zapomnij o nim.

— Ma pan rację — powiedział Al. — Tego nie wiedziałem. — W ślad za Jo'em wyszedł z warsztatu na korytarz. — Mamy teraz do czynienia z czymś więcej niż proces rozkładu; to już inny problem. Będziemy mieli trudności ze zdobyciem gdziekolwiek jakiejś nadającej się do spożycia żywności. Jakie artykuły spożywcze, sprzedawane w supermarketach, będą świeże po tylu latach?

— Konserwy — odparł Joe. — Widziałem mnóstwo konserw w tym sklepie w Baltimore.

— A teraz już wiemy dlaczego. Czterdzieści lat temu w supermarketach sprzedawano znacznie więcej produktów w puszkach, a mniej potraw mrożonych. Masz rację: może się to okazać jedynym źródłem zaopatrzenia w żywność. — Zamyślił się. — Ale skoro w ciągu jednego dnia ten proces przesunął się z dwu lat do czterdziestu, jutro o tej porze może to już być sto lat. Żaden zaś artykuł spożywczy nie nadaje się do jedzenia w sto lat od momentu zapakowania, obojętne czy w puszkę, czy w co innego.

— Chińskie jaja — powiedział Joe. — Tysiącletnie jaja, które zakopują tam w ziemi. . .

— I nie dotyczy to jedynie nas samych — ciągnął Al. — Pamiętasz tę starą kobietę w Baltimore? Ta siła zadziałała również na jej zakup, na tę azalię. — Czy cały świat będzie cierpiał z powodu wybuchu bomby na Lunie? — zadał sobie pytanie. Dlaczego obejmuje to wszystkich, a nie tylko nas?

— Idzie tu. . . — zaczął Joe.

— Bądź cicho przez sekundę i pozwól mi się nad czymś zastanowić. Może Baltimore istnieje tylko wtedy, gdy znajdzie się tam jedno z nas? A ten Supermarket Szczęśliwców — może znikł z powierzchni ziemi, gdy tylko z niego wyszliśmy? Możliwe jednak, że spotyka to tylko nas, tych, którzy byli na Lunie.

— Jest to problem filozoficzny, pozbawiony znaczenia i sensu — oświadczył Joe. — W dodatku nie istnieje możliwość udowodnienia, że jest tak lub inaczej.

— Miałoby to pewne znaczenie dla starej damy w płaszczu koloru czarnych jagód — powiedział zgryźliwie Al. — I dla wszystkich pozostałych.

— Idzie tu kierownik warsztatu — zwrócił mu uwagę Joe.

— Przeglądałem właśnie instrukcję obsługi, która znajdowała się w pudle razem z pańskim magnetofonem — powiedział mechanik. Z dziwnym wyrazem twarzy wręczył Alowi niewielką książeczkę. I zaraz wyrwał mu ją z ręki. — Proszę popatrzeć, oszczędzę panu czytania całości. Niech pan spojrzy: tu na ostatniej stronie jest mowa o tym, kto wyprodukował to świństwo i gdzie je należy wysłać, żeby fabryka dokonała naprawy.

— „Wykonano w firmie Runciter, w Zurychu” — przeczytał głośno Al. — Jest jeszcze adres warsztatu naprawczego na terenie Federacji Północnoamerykańskiej. W Des Moines. Tak samo jak na pudełku od zapalek. — Podał książeczkę Joemu, mówiąc: — Jedziemy do Des Moines. Ta książeczka jest pierwszym dowodem związku między oboma miastami. — Ciekawe, dlaczego akurat Des Moines, zastanowił się. — Przypomnij sobie — zwrócił się do Joego — czy Runcitera kiedykolwiek w życiu łączyło coś z Des Moines?

— Runciter się tam urodził — powiedział Joe. — Spędził tam pierwsze piętnaście lat swego życia. Wspominał o tym od czasu do czasu.

A więc wrócił tam teraz, po śmierci. W taki czy inny sposób. Runciter jest równocześnie w Des Moines i w Zurychu, myślał. W Zurychu trwają wykrywalne za pomocą aparatury pomiarowej procesy metaboliczne jego mózgu, ciało w stanie półżycia zamknięte jest w chłodni Moratorium Ukochanych Współbraci, a mimo to nie można nawiązać z nim kontaktu. W Des Moines nie ma go w sensie fizycznym, a jednak najwyraźniej właśnie tam można się z nim porozumieć. Właściwie, za pomocą takich środków, jak ta instrukcja obsługi, kontakt taki został już nawiązany, przynajmniej w jedną stronę — od niego do nas. Tymczasem, myślał dalej, nasz świat zamiera, cofa się we własną przeszłość, demonstruje na zewnątrz realia minionych etapów swego rozwoju. Być może, obudziwszy się pod koniec tygodnia, zobaczymy, że po Piątej Alei jeżdżą dzwoniąc staromodne tramwaje. „Trolley Dodgers” — zastanawiał się, co oznaczają te słowa. Zarzucona nazwa, pochodząca z przeszłości, pojawiła się w jego świadomości jako mgliste wspomnienie, wypierające aktualną rzeczywistość. Pod wpływem tego niejasnego, subiektywnego przecież odczucia poczuł się nieswojo: zjawisko, jakiego nigdy dotąd nie przeżył, stało się nagle zbyt realne.

— „Trolley Dodgers” — powiedział na głos. Co najmniej sto lat temu. Nazwa ta obsesyjnie utkwiała w jego świadomości — nie mógł jej zapomnieć.

— Skąd pan zna tę nazwę? — spytał kierownik warsztatu. — Nikt już jej nie pamięta. Tak nazywała się niegdyś drużyna Brooklyn Dodgers. — Spoglądał na Ala podejrzliwie.

— Chodźmy lepiej na górę — powiedział Joe — żeby się upewnić, czy nikomu nic się nie stało. Potem wyruszymy do Des Moines.

— Jeżeli nie polecimy tam od razu — mówił Al — może się okazać, że podróż zabierze nam cały dzień albo nawet dwa. — Środki komunikacji będą się stawały coraz bardziej prymitywne, pomyślał. Pojazdy o napędzie raketowym

zastąpione zostaną przez odrzutowce, które z kolei ustąpią miejsca samolotom z silnikami spalinowymi. Potem podróże drogą lądową: parowy pociąg napędzany węglem, wóz konny... niemożliwe chyba, żebyśmy aż tak bardzo się cofnęli, myślał. A jednak mam już w rękach magnetofon sprzed czterdziestu lat, poruszany za pomocą gumowego koła napędowego i pasków transmisyjnych. Może więc dojść i do tego.

Obaj z Joem szybko ruszyli w stronę windy. Joe nacisnął guzik. Czekali w milczeniu, zdenerwowani i pogrążeni w myślach.

Winda nadjechała z hałasem, pod wpływem którego Al przerwał swe rozważania. Machinalnie otworzył żelazne, rozsuwane drzwi i zobaczył, że stoi przed otwartą kabiną, zwisającą na stalowej linie, udekorowaną okuciami z polerowanego mosiądzu. Znużony windziarz w liberii siedział na stołku, trzymając rękę na przycisku i spoglądając na nich obojętnie. Lecz to, co odczuł Al, nie było obojętnością.

— Nie wchodzić do niej — powiedział, przytrzymując Joego. — Spójrz i zastanów się; spróbuj sobie przypomnieć windę, którą jechaliśmy dziś, niedawno temu, napędzaną hydraulicznie, obudowaną, samoczynną, całkowicie bezszmerową...

Nagle przerwał. Klekocząca machina znikła, a na jej miejscu pojawiła się znana mu winda. A jednak wyczuwał obecność tamtej starej kabiny: czaiła się ona gdzieś na krawędzi jego pola widzenia, jakby gotowa wychynąć, gdy tylko on i Joe zajmą się czym innym. Ona chce wrócić, uświadomił sobie. Zamierza znów się pojawić. Możemy opóźnić ten moment o jakiś czas, zapewne najwyżej o kilka godzin. Proces cofania się w czasie przybiera na sile: archaiczne obiekty wdzierają się w nasz świat szybciej, niż nam się zdawało. Teraz każdy przeskok obejmuje jeden wiek. Winda, którą widzieliśmy, musiała mieć co najmniej sto lat.

A jednak, myślał, zdaje się, że możemy w pewnym stopniu kontrolować to zjawisko. Zmusiliśmy zwykłą, współczesną windę, by na nowo zaczęła istnieć. Gdybyśmy wszyscy trzymali się razem, gdybyśmy działali jako jednostka, złożona z dwunastu umysłów zamiast dwóch...

— Co takiego zobaczyłeś? — zapytał Joe. — Dlaczego nie pozwoliłeś mi wejść do windy?

— Nie widziałeś starej windy? Otwartej kabiny z mosiężnymi ozdóbkami, mniej więcej z roku 1910? I windziarza siedzącego na stołku?

— Nie — odparł Joe.

— Czy widziałeś cokolwiek?

— Tak — powiedział Joe. — Normalną windę, którą widzę codziennie w naszym biurze. Widziałem to, co zawsze; to samo, co w tej chwili. — Wszedł do kabiny, odwrócił się i stojąc nieruchomo przyglądał się Alowi.

A więc nasze obrazy rzeczywistości zaczynają się różnić, uświadomił sobie Al. Zastanawiał się, co to może oznaczać.

Wydawało się to złowróźbne; wcale mu się nie podobało. W jakiś okropny,

nieokreślony sposób wydało mu się to najbardziej katastrofalną zmianą ze wszystkich, jakie zaszły od momentu śmierci Runcitera. Nie cofali się już z identyczną szybkością — miał wyraźne, intuicyjne przekonanie, że dokładnie tego samego doświadczyła przed śmiercią Wendy Wright.

Zastanawiał się, ile czasu zostało jeszcze jemu samemu. Zdawał sobie sprawę, że odczuwa zdradziecki, przenikliwy chłód, który już przedtem — nie pamiętał dokładnie, w którym momencie — zaczął przenikać jego ciało. Chłód ten ogarniał zarówno jego, jak i otaczający go świat. Przypominało mu to ostatnie minuty, które spędził na Lunie. Chłód zniekształcał płaszczyzny przedmiotów, paczył, rozdymał, objawiał się w formie jakby obrzękłych pęcherzy, które rozrywały się z głośnym sykiem. Mróz wdzierał się we wszystkie szczeliny, przenikał aż do wnętrza przedmiotów, do rdzenia, który był źródłem ich życia. Al widział teraz jak gdyby lodową pustynię, z której sterczały nagie głązy. Otaczająca go rzeczywistość zamieniła się w płaską równinę, omiataną zamarzającym wiatrem. Pokrywa lodowa stawała się coraz grubsza — głązy były już w większości niewidoczne. Na krawędzi jego pola widzenia pojawiła się ciemność; migąły mu przed oczyma zaledwie wąskie jej skrawki.

Przecież, pomyślał, wszystko to istnieje tylko w mojej wyobraźni. Świat wcale nie został pogrzebany pod pokładami wiatru, lodu i ciemności; wszystko to odbywa się we mnie, a jednak zdaje mi się, że widzę to wokół siebie. To dziwne, myślał. Czy cały świat znalazł się wewnątrz mnie? Otoczony moją cielesną powłoką? Kiedy to nastąpiło? Muszą to być objawy towarzyszące śmierci, powiedział sobie. Ta niepewność, którą odczuwam, zahamowanie wszystkich funkcji, prowadzące do całkowitej entropii — to jest sam proces. Lód zaś, który widzę — to dowód że ten proces postępuje. Kiedy zamknę oczy, myślał dalej, cały wszechświat zniknie. Gdzie są jednak te różne światła, które powinienem widzieć, oznaczające drogi wiodące ku nowym łonom? Gdzie — w szczególności — zamglone, czerwone światło, które symbolizuje uprawiające nierząd pary? A ciemne, czerwone światło, będące oznaką zwierzęcej łapczywości? Czuję tylko całkowity zanik ciepła i widzę wdzierającą się ciemność: zamarzającą równinę, nad którą zgasło słońce.

To nie może być zwykła śmierć, skonstatował. — To coś nienaturalnego; prawidłowy proces umierania wyparty został przez jakiś inny czynnik, bezwzględnie narzucony.

Może będę w stanie to zrozumieć, myślał, jeśli po prostu położę się i odpocznę; jeśli zbiorę w sobie dość energii, by się nad tym zastanowić.

— Co się stało? — spytał Joe. Nadal jechali windą w górę.

— Nic — odpowiedział krótko Al. — Im może się uda, myślał, ale mnie już nie.

Obaj w zupełnej ciszy stali w jadącej windzie.

Wchodząc do sali konferencyjnej, Joe zdał sobie sprawę, że Al nie idzie już razem z nim. Odwrócił się i wyrzwał na korytarz. Zobaczył, że Al stoi tam samotnie, nie ruszając się z miejsca.

— Co się stało? — zagadnął go znowu.

Al nie poruszył się.

— Czy coś ci jest? — spytał go, cofając się w jego stronę.

— Czuje się zmęczony — odparł Al.

— Nie wyglądasz dobrze — powiedział Joe, czując głęboki niepokój.

— Pójdę do toalety. Ty idź do nich i przekonaj się, czy nic im nie jest. Zaraz się do was przyłączę. — Niepewnym krokiem ruszył naprzód, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. — Nic mi nie będzie. — Poruszał się po korytarzu niezdecydowanie, jak człowiek, który z trudnością dostrzega drogę, po której idzie.

— Pójdę z tobą — postanowił Joe. — Chcę się upewnić, że tam dojdiesz.

— Może kiedy opłuczę twarz ciepłą wodą — mówił Al. Znalazł bezpłatne drzwi do toalety, otworzył je przy pomocy Joego i zniknął w środku. Joe pozostał na korytarzu.

Coś mu się stało, myślał. Zmienił się, ujrawszy tę starą windę. Zastanawiał się nad przyczyną tego zjawiska.

Al ponownie zjawił się przy nim.

— O co chodzi? — spytał Joe, widząc wyraz jego twarzy.

— Przyjrzyj się temu — mówił Al, prowadząc Joego do toalety i wskazując na przeciwną ścianę. — Graffiti. No wiesz, bazgroły, które zawsze można znaleźć w męskich toaletach. Przeczytaj.

Napis, wykonany kredką lub czerwonym długopisem, brzmiał:

**WSKOCZCIE DO KŁOZETU I STAŃCIE NA GŁOWIE
JA ŻYJĘ — A WYŚCIE POMARLI, PANOWIE.**

— Czy to pismo Runcitera? — spytał Al. — Poznajesz je?

— Tak — kiwnął głową Joe. — To jego pismo.

— A więc znamy już prawdę — stwierdził Al.

— Ale czy to prawda?

— Oczywiście — powiedział Al. — To zupełnie jasne.

— Że też dowiadujemy się o tym w taki cholerny sposób. Ze ściany w męskiej toalecie. — Gorzki żal dominował w nim nad wszelkimi innymi uczuciami.

— Ten napis na ścianie jest brutalnie jednoznaczny. Moglibyśmy miesiącami, może i do końca świata, patrzeć w telewizor, czytać gazety domowe, słuchać wideofonów — i nie dowiedzieć się o tym w sposób tak wyraźny.

— Ale myśmy nie umarli. Z wyjątkiem Wendy — powiedział Joe.

— Znajdujemy się w stanie półżycia. Zapewne nadal na pokładzie *Pratfalla II*, prawdopodobnie w drodze powrotnej na Ziemię z Luny, po eksplozji, która nas zabiła; nas, a nie Runcitera. On zaś próbuje odebrać od nas strumień protofazonów. Jak dotąd mu się to nie udało: z naszego świata nie docierają żadne sygnały tam, gdzie żyje on. Ale udało mu się z nami skontaktować. Znajdujemy jego znaki wszędzie, nawet w miejscach, które wybieramy na chybił trafił. Na każdym kroku stykamy się z jego obecnością, z im i tylko z im, ponieważ jest on jedyną osobą, która próbuje. . .

— Z nim i tylko z nim — przerwał mu Joe. — A nie, jak powiedziałaś: „z im i tylko z im”.

— Niedobrze mi — powiedział Al. Odkręcił kurek umywalni i zaczął płukać twarz wodą. Nie była to jednak ciepła woda: Joe zauważył, że grzechoczą w niej rozpryskujące się kawałki lodu. — Wracaj do sali konferencyjnej. Przyjdę tam, gdy poczuję się lepiej, o ile w ogóle kiedyś to nastąpi.

— Sądzę, że powinienem zostać tu z tobą — stwierdził Joe.

— Nie, do cholery, wynoś się stąd! — Al popchnął go w kierunku drzwi toalety i wyprowadził na korytarz. Na jego poszarzałej twarzy malowało się przerażenie. — Idź, zobacz, czy nic im nie jest! — Zgięty wpół wrócił do toalety, zasłaniając oczy dłońmi. Drzwi zatrzasnęły się za nim, skrywając go przed wzrokiem Joego.

— Dobrze — zgodził się Joe po chwili wahania. — Będę razem z nimi w sali konferencyjnej. — Chwilę stał nasłuchując, ale nie dotarł do niego żaden dźwięk. — Al! — zawołał, myśląc: Rany Boskie, to straszne. Naprawdę coś się z nim dzieje. — Chcę zobaczyć na własne oczy, że nic ci nie jest — powiedział, napierając na drzwi.

— Już za późno, Joe — odparł cicho i spokojnie Al. — Nie patrz na mnie.

W toalecie było ciemno. Alowi najwyraźniej udało się zgasić światło.

— Nie możesz mi w niczym pomóc — mówił słabym, opanowanym głosem. — Nie powinniśmy byli odłączać się od tamtych — przez to właśnie zginęła Wendy. Uda ci się utrzymać przy życiu, w każdym razie przez jakiś czas, jeżeli pójdziesz tam i zostaniesz z nimi. Powiedz im to; postaraj się, żeby wszyscy to pojęli. Rozumiesz?

Joe sięgnął ręką w stronę kontaktu.

Słabe, lekkie uderzenie spadło w ciemności na jego rękę. Cofnął ją z przerażeniem, wstrząśnięty bezsilnością Ala. Teraz wiedział już wszystko. Nie musiał patrzeć.

— Pójdę do tamtych — powiedział. — Tak, rozumiem. Czy to okropne uczucie?

Po chwili ciszy usłyszał bezdźwięczny szept:

— Nie, to nie jest okropne... Ja po prostu... — Głos umilkł; znowu zapanało milczenie.

— Może kiedyś znowu cię zobaczę — powiedział Joe. Wiedział, że nie powinien tak mówić; sam się przeraził, słysząc, że wybełkotał coś tak bezmyślnego. Ale na nic więcej nie mógł się zdobyć. — Ujmę to inaczej — ciągnął, wiedząc jednak, że Al już go nie słyszy. — Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej. Przyjdę sprawdzić, jak się masz, gdy tylko poinformuję ich o tym napisie na ścianie. Powiem im, by nie przychodzili tu patrzeć na niego, bo mogliby... — myślał intensywnie, starając się znaleźć odpowiednie słowa — mogliby ci przeszkadzać — dokończył.

Odpowiedziało mu milczenie.

— A więc do zobaczenia — powiedział Joe, wychodząc z ciemnej toalety. Niepewnym krokiem poszedł korytarzem w kierunku sali konferencyjnej. Zatrzymał się na chwilę, nerwowo zaczerpnął powietrza i energicznym pchnięciem otworzył drzwi pokoju.

Telewizor, umieszczony na przeciwległej ścianie, hałaśliwie reklamował jakiś proszek do prania. Na wielkim kolorowym ekranie typu 3-D jakaś pani domu krytycznie przyglądała się ręcznikowi z syntetycznego futra wydry, oznajmiając ostrym, przenikliwym głosem, że coś takiego nie ma prawa znajdować się w jej łazience. Następnie kamera pokazała wnętrze łazienki, obejmując równocześnie napis umieszczony na ścianie. Był on wykonany tym samym, znajomym pismem i tym razem brzmiał:

**NACHYL SIĘ NAD WANNA,
WSKOCZ DO NIEJ PO SZYJĘ
WSZYSCY UMARLIŚCIE — JA JEDYNY ŻYJĘ.**

Ale tylko jedna osoba spoglądała w ekran telewizora, stojącego w wielkiej sali konferencyjnej. Joe stał samotnie w pustym pokoju. Wszyscy pozostali członkowie grupy zniknęli.

Zastanawiał się, gdzie mogą być. I czy będzie żył wystarczająco długo, by ich odnaleźć. Wydawało mu się to mało prawdopodobne.

Rozdział 10

Czy pocenie się nie utrudnia ci życia towarzyskiego? Odwadniający aerozol lub mydełko Ubik uwalnia cię od obaw i przywraca miejsce tam, gdzie dzieją się ciekawe rzeczy. Działa przez dziesięć dni. Bezpieczny przy używaniu według instrukcji w ramach świadomego programu higieny osobistej.

— A teraz — powiedział spiker telewizyjny — wracamy do wiadomości i Jima Huntera.

Na ekranie pojawiła się gładko wygolona, promienna twarz dziennikarza.

— Glen Runciter na nowo znalazł się dziś w miejscu swych urodzin. Nie był to jednak powrót, który mógłby kogokolwiek napełniać radością. Korporację Runcitera, najbardziej chyba znaną ze wszystkich licznych instytucji zapobiegawczych na Ziemi, spotkał wczoraj tragiczny cios. Podczas terrorystycznego zamachu bombowego, który miał miejsce w tajnym zakładzie przemysłowym ukrytym pod powierzchnią Luny, Glen Runciter został śmiertelnie ranny i zmarł, zanim udało się przenieść jego ciało do chłodni. Zwłoki Glena Runcitera przetransportowano do Moratorium Ukochanych Współbraci w Zurychu, gdzie mimo wszelkich wysiłków nie udało się przywrócić go do stanu półżycia. Zdając sobie sprawę z bezowocności dalszych starań w tym kierunku, zaprzestano ich obecnie i przewieziono ciało do Des Moines, gdzie zostanie ono wystawione na widok publiczny w Domu Przedpogrzebowym Prostego Pasterza.

Kamera telewizji pokazała stary, pomalowany na biało budynek, wokół którego kłębił się spory tłumek.

Ciekaw jestem, kto zdecydował o przeniesieniu go do Des Moines, pomyślał Joe.

— Ta smutna, ale niewzruszona decyzja — ciągnął dziennikarz — w wyniku której nastąpił ostatni rozdział życia Glena Runcitera, który właśnie oglądamy, podjęta została przez jego żonę. Pani Ella Runciter, przebywająca obecnie w chłodni (w której, według oczekiwań, znaleźć się też miał jej mąż), została przywrócona do stanu świadomości i poinformowana o tragicznym wypadku. Do-

wiedziawszy się dziś rano o stanie swego męża, poleciła zaprzestać spóźnionych wysiłków, zmierzających do przywrócenia półżycia człowiekowi, z którym. . . zanim rzeczywistość przekreśliła jej oczekiwania. . . miała nadzieję się połączyć. — Na ekranie ukazała się przez chwilę fotografia Elli, zrobiona jeszcze za życia. — Pograżeni w żałobie pracownicy Korporacji Runcitera zebrali się w kaplicy Domu Przedpogrzebowego Prosteo Pasterza, by wziąć udział w smutnej uroczystości i w możliwie najwłaściwszy sposób oddać ostatni hołd zmarłemu.

Na ekranie widoczny był teraz dach domu przedpogrzebowego i zaparkowany na nim pionowo pojazd, z którego zaczęła się wynurzać garstka kobiet i mężczyzn. Zatrzymał ich mikrofon, wyciągnięty ku nim przez reportera.

— Proszę mi powiedzieć, sir— zabrzmiał typowo dziennikarski głos — czy pracując dla Glena Runcitera, pan i pańscy koledzy mieliście również okazję poznać go osobiście? Poznać go nie jako szefa, ale jako człowieka?

Don Denny, mrużąc oczy jak sowa oślepiona przez światło, przemówił do wyciągniętego ku niemu mikrofonu.

— Wszyscy znaleźliśmy Glena Runcitera jako człowieka. Jako dobrego człowieka i obywatela, któremu można było ufać. Wiem, że mówiąc tak, wyrażam również opinię swych kolegów.

— Panie Denny, czy są tu wszyscy współpracownicy, a raczej byli współpracownicy pana Runcitera?

— Jest tu wielu spośród nas — odparł Don Denny. — Pan Len Niggelman, prezes Towarzystwa Instytucji Zapobiegawczych, zwrócił się do nas jeszcze w Nowym Jorku, oznajmiając nam, że słyszał o śmierci Glena Runcitera. Poinformował nas, że ciało zmarłego znajduje się w drodze do Des Moines, i stwierdził, że powinniśmy tu przyjechać. Przyznaliśmy mu rację i w rezultacie przywiózł nas tu na pokładzie swego statku. Właśnie tego — Denny wskazał pojazd, z którego wysiadł on sam i pozostali członkowie grupy. — Jesteśmy mu wdzięczni za wiadomość, że miejscem pobytu pana Runcitera nie jest już moratorium w Zurychu, lecz tutejszy dom przedpogrzebowy. Nie ma tu jednak niektórych z nas, gdyż byli oni akurat nieobecni w naszym nowojorskim biurze. Mam tu na myśli szczególnie naszych inercjałów Ala Hammonda i Wendy Wright oraz pana Chipa, specjalistę od pomiarów pola. Miejsce pobytu tych trzech osób nie jest nam znane, ale być może równocześnie. . .

— Tak — powiedział reporter do mikrofonu. — Być może zobaczą oni ten program telewizyjny przekazywany za pośrednictwem satelitów do wszystkich miejsc na kuli ziemskiej i zjawią się w Des Moines, by wziąć udział w tej jakże smutnej uroczystości. Jestem pewien, a chyba pan również, że tego właśnie życzyłyby sobie zarówno pan Runciter, jak i jego żona. A teraz oddaję głos Jimowi Hunterowi w studiu dziennika telewizyjnego.

Jim Hunter, ponownie pojawiając się na ekranie, mówił:

— Ray Hollis, którego pracownicy obdarzeni zdolnościami psionicznymi mo-

gą być neutralizowani przez inercjałów i w związku z tym są obiektem działań instytucji zapobiegawczych, w oświadczeniu podanym do wiadomości przez jego firmę wyraził ubolewanie z powodu przypadkowej śmierci Glena Runcitera i oświadczył, że jeśli będzie to możliwe, weźmie udział w uroczystościach pogrzebowych odbywających się w Des Moines. Nie jest jednak wykluczone, że Len Niggelman, reprezentujący — jak już informowaliśmy — Towarzystwo Instytucji Zapobiegawczych domagać się będzie wykluczenia pana Hollisa z grona uczestników pogrzebu w świetle faktu, że jak sugerowali w swych oświadczeniach niektórzy przedstawiciele instytucji zapobiegawczych, Hollis zareagował na wiadomość o śmierci Glena Runcitera z wyraźnym, choć źle ukrywanym zadowoleniem. — Prowadzący dziennik Jim Hunter przerwał, wziął do ręki kartkę i mówił dalej: — Przechodząc do innych wiadomości...

Joe Chip nadepnął na pedał wyłącznika telewizora. Ekran zgasł; głos ucichł stopniowo.

To wszystko nie zgadza się z treścią napisów na ścianie łazienki i toalety, myślał. Może jednak Runciter umarł. Tak twierdzi telewizja. Tego samego zdania jest Ray Hollis. A także Len Niggelman. Wszyscy oni uważają go za zmarłego, a jedynym kontrargumentem, na jakim możemy się oprzeć, są dwa wierszyki, które — wbrew opinii Ala — mógł tam przecież nabazgrać każdy.

Ekran telewizora rozjaśnił się na nowo, co zaskoczyło Joego, nie dotykał bowiem po raz drugi pedału wyłącznika. Co więcej, kanały zaczęły się zmieniać samoczynnie; przez ekran przelatywały kolejno różne obrazy, aż w końcu tajemnicza istota znalazła to, o co jej

chodziło. Na ekranie pozostał jeden obraz.

Twarz Glena Runcitera.

— Twój smak próżnuje? — pytał Runciter charakterystycznym dla siebie zgrzytliwym głosem. — Czy gotowana kapusta zdominowała twój jadłospis? Wciąż ten sam stary, zatęchły zapaszek poniedziałkowego poranku, bez względu na to, ile dziesięciocentówek wrzucisz do swej kuchenki? Ubik wszystko to zmienia. Ubik ożywia walory smakowe pożywienia, przywraca znakomity aromat i smak tam, gdzie należy. — Na ekranie w miejsce twarzy Runcitera pojawiła się jaskrawo pomalowana puszka z aerozolem. — Jeden podmuch niewidocznego strumienia cząsteczek preparatu Ubik sprzedawanego po przystępnej cenie rozwiewa powracające obsesyjnie obawy, że cały świat opanowują pojemniki ze skwaśniałym mlekiem, zdezelowane magnetofony i przestarzałe żelazne kabiny wind, nie mówiąc już o innych nie dostrzeżonych jeszcze objawach rozkładu. Rzecz polega na tym, że ów rozkład otaczającego świata jest zjawiskiem normalnym u wielu osób znajdujących się w stanie półżycia, zwłaszcza w początkowych stadiach, gdy więzy z prawdziwą rzeczywistością wciąż jeszcze są bardzo silne. Jako szczątkowy bodziec utrzymuje się coś w rodzaju resztkowego świata, odbieranego jako pseudośrodowisko, które jest jednak nie ustabilizowane

i nie wspierane przez jakąkolwiek energiczną substrukturę. Zachodzi to zwłaszcza w tych wypadkach, gdy — podobnie jak u was — mamy do czynienia z zespoleniem kilku systemów pamięciowych. Jednakże wraz z pojawieniem się nowego, potężniejszego niż kiedykolwiek preparatu Ubik wszystko to uległo zmianie!

Joe siedział oszołomiony wpatrując się w ekran. Pojawiła się na nim wróżka z filmów rysunkowych, która żwawo poruszała się w powietrzu, rozpylając wszędzie Ubik.

Następnie miejsce wróżki zajęła poważna gospodyni domowa o końskich szczękach i dużych, wystających zębach. Zagrzmiała metalicznym głosem:

— Przeszłam na Ubik po wypróbowaniu słabszych, przestarzałych podpór rzeczywistości. Moje garnki i patelnie zamieniały się w kupę rdzy. Zapadały się podłogi mojego mieszkania. Charley, mój mąż, przedziurawił na wylot nogą drzwi do sypialni. Ale teraz stosuję nowy, ekonomiczny, potężny preparat Ubik i skutki są cudowne. Spójrzcie na tę lodówkę. — Na ekranie pojawił się stary model firmy General Electric. — Przecież ona cofnęła się o osiemdziesiąt lat!

— O sześćdziesiąt dwa lata — poprawił ją odruchowo Joe.

— Ale spójrzcie na nią teraz — ciągnęła gospodyni opryskując starą lodówkę preparatem Ubik. Magiczne błyski utworzyły obłok wokół starego modelu i na jego miejsce pojawiła się nowoczesna sześciodrzwiowa płatna lodówka w całej swej okazałości.

— Tak jest — rozległ się znowu poważny głos Runcitera — dzięki wykorzystaniu najbardziej zaawansowanych metod współczesnej nauki proces przechodzenia materii na powrót do wcześniejszych form może zostać odwrócony, i to za sumę, na jaką stać każdego właściciela apartamentu. Ubik sprzedawany jest w najlepszych sklepach gospodarstwa domowego na całej kuli ziemskiej. Nie stosować wewnątrz. Trzymać z dala od ognia. Nie odstępować od wskazówek instrukcji wydrukowanej na etykiecie. Poszukaj go więc, Joe. Nie siedź w miejscu, wyjdź z domu, kup pojemnik Ubika i rozpylaj go wokół siebie dniem i nocą.

— Wiesz, że tu jestem — odezwał się Joe, wstając z miejsca. — Czy widzisz mnie i słyszysz?

— Oczywiście, że cię nie widzę ani nie słyszę. Ta reklamówka została zarejestrowana na taśmie magnetowidowej; nagrałem ją dwa tygodnie temu, dokładnie na dwanaście dni przed moją śmiercią. Wiedziałem, że dojdzie do tego wybuchu: skorzystałem z usług jasnowidzów.

— A więc naprawdę nie żyjesz?

— Jasne, że nie żyję. Czyż nie oglądałeś przed chwilą transmisji z Des Moines? Wiem, że ją widziałeś: o tym też wiedział mój jasnowidz.

— A ten napis na ścianie toalety?

— Jeszcze jeden objaw rozkładu — zagrzmiał głos Runcitera z głośnika telewizora. — Idź, kup puszkę Ubika, a przestanie ci się to wydarzać; wszystkie objawy ustaną.

— Al sądzi, że to my umarliśmy.

— Al się już rozkłada. — Runciter wybuchnął głębokim, wibrującym śmiechem, pod którego wpływem zatrzęsła się cała sala konferencyjna. — Słuchaj, Joe. Nagrałem tę cholerną reklamówkę, żeby wam pomóc, wskazać wam drogę, zwłaszcza tobie, bo zawsze byliśmy przyjaciółmi. Wiedziałem, że będziesz zupełnie zdezorientowany i tak właśnie się stało. Co nie jest specjalnie zaskakujące, biorąc pod uwagę normalny stan twoich nerwów. Tak czy owak, trzymaj się; może kiedy pojedziesz do Des Moines i zobaczysz moje ciało wystawione na widok publiczny, uspokoisz się.

— Co to jest Ubik? — spytał Joe.

— Obawiam się jednak, że jest już zbyt późno, żeby pomóc Alowi.

— Jaki jest skład Ubika? W jaki sposób to działa? — pytał Joe.

— Szczerze mówiąc, ten napis na ścianie toalety pojawił się tam zapewne na skutek obecności Ala. Gdyby nie on, ty w ogóle byś go nie zobaczył.

— Naprawdę jesteś nagrany na taśmę magnetowidu, co? — spytał Joe. — Nie słyszysz mnie. To prawda.

— W dodatku Al... — zaczął Runciter.

— Do diabła — zaklął Joe, zrezygnowany. — To wszystko na nic. — Był bliski kapitulacji.

Na ekranie telewizora pojawiła się znów pani domu o twarzy przypominającej pysk konia, by dokończyć reklamówkę. Cichszym już nieco głosem perorowała:

— Jeśli w pańskim najbliższym sklepie gospodarczym nie ma jeszcze Ubika, panie Chip, niech pan wróci do swego apartamentu, gdzie znajdzie pan bezpłatną, reklamową próbkę preparatu, nadesłaną pocztą. Próbka wystarczy panu do czasu, kiedy będzie pan mógł kupić puszkę normalnej wielkości.

Gospodyni domowa znikła; ekran znów był ciemny i niemy. Istota, która zapaliła go poprzednio, wyłączyła go na powrót.

A więc mam obarczyć Ala winą za to wszystko, pomyślał Joe. Pomysł ten nie budził w nim zachwyty; zdawał sobie sprawę z dziwaczności takiego sposobu rozumowania, z jego niepoprawności, być może zamierzonej. Al jako kozioł ofiarny, jako człowiek, na którego zrzucono odpowiedzialność: wszystko z powodu Ala. To bez sensu, pomyślał. A zatem czy Runciter naprawdę mnie nie słyszał? Czy też może udawał tylko, że przemawia z taśmy magnetowidu? Przez pewien czas w czasie reklamówki wydawało się, że Runciter mi odpowiada; dopiero pod koniec jego odpowiedzi rozminęły się z moimi pytaniami.

Joe poczuł się nagle jak bezradna ćma, objijająca się o szybę rzeczywistości, znajdująca się na zewnątrz, bez możliwości ujrzenia, co jest w środku.

Nagle przysłała mu do głowy nowa, niesamowita koncepcja. Przypuśćmy, pomyślał, że Runciter istotnie nagrał tę reklamówkę na taśmę magnetowidu, zakładając na podstawie błędnej informacji uzyskanej od jasnowidza, że wybuch bomby zabije jego, a wszyscy inni pozostaną przy życiu. Taśma została nagrana

w uczciwej intencji, ale rozumowanie było błędne. Runciter nie zginął: myśmy postradali życie — jak głosił napis na ścianie toalety — a Runciter żyje nadal. Przed wybuchem bomby wydał polecenie, żeby nagrana na taśmę reklamówka znalazła się na ekranie właśnie w tym momencie; ponieważ zaś nie cofnął tych instrukcji, stacja telewizyjna zastosowała się do jego woli. To tłumaczyłoby niezgodność słów Runcitera w telewizji z treścią napisu, jaki on sam umieścił na ścianie toalety: tylko w ten sposób wyjaśnić można było obie te wypowiedzi. Joe nie potrafił znaleźć żadnego innego wytłumaczenia, które spełniałoby te warunki.

Chyba że Runciter igra z nimi, zwodzi ich, prowadzi to w jedną stronę, to w przeciwną. Jak jakaś niezwykła, potężna, prześladowająca ich siła, ingerująca w ich życie. Działająca w świecie istot żyjących, a może półżywych albo też, przyszło mu nagle do głowy, w obu tych światach. W każdym razie ma ona decydujący wpływ na ich przeżycia, a przynajmniej na przeważającą część tego, co ich spotyka. Może nie na sam proces rozpadu, zdecydował. To jest niezależne od niej. *Ale dlaczego?* Może i ten proces objęty jest jej działaniem, choć Runciter nie chciał się do tego przyznać. Runciter i Ubik. Ubiquity — to znaczy wszechobecność, uświadomił sobie nagle, od tego pochodzi zapewne ten wymyślony termin, nazwa rozpylanego preparatu w puszkach, o którym mówił Runciter. Zapewne nie istnieje on wcale; to chyba kolejne oszustwo, mające na celu zwiększenie ich dezorientacji.

Co więcej, myślał, jeżeli Runciter żyje, to mamy do czynienia nie z jednym, lecz z dwoma Runciterami: jeden z nich, prawdziwy, przebywa w świecie realnym i usiłuje się z nami skontaktować, drugi zaś to fantasmagoryczny Runciter, który w tym świecie półżywych jest tylko ciałem; zwłokami, które wystawiono na widok publiczny w Des Moines w stanie Iowa. A rozumując dalej logicznie, dochodzimy do wniosku, że inne przebywające tu osoby: Ray Hollis czy Len Niggelman, też są tylko produktami wyobraźni, ich realne sobowtóry zaś pozostają w świecie żywych.

Trudno się w tym wszystkim połapać, pomyślał Joe. Nie podobała mu się wcale ta koncepcja. Przyznać musiał, że z punktu widzenia symetrii była bez zarzutu, ale z drugiej strony wydawała mu się zbyt chaotyczna.

Wpadnę na chwilę do mego apartamentu, zdecydował, wezmę tę bezpłatną próbkę Ubika i wyruszę do Des Moines. W końcu do tego przecież usiłowała mnie skłonić ta reklamówka w telewizji. W typowej dla siebie, hałaśliwej formie dała mi ona do zrozumienia, że będę bezpieczniejszy, mając przy sobie puszkę Ubika. Trzeba zwracać uwagę na takie ostrzeżenia, stwierdził, jeżeli ma się zamiar pozostać przy życiu czy też zachować stan półżycia.

Jedno z dwojga.

Wysiadł z taksówki na dachu swego domu i zjechawszy w dół ruchomym korytarzem znalazł się przed swymi drzwiami. Za pomocą monety, którą otrzymał był od kogoś — nie pamiętał już, czy była to Pat, czy Al — otworzył je i wszedł

do środka.

W living roomie unosił się lekki zapach przypalonego tłuszczu — woń, której nie czuł od czasów dzieciństwa. Gdy Wszedł do kuchni, odkrył przyczynę tego zjawiska. Kuchenka cofnęła się w czasie, zamieniając się w starodawny piecyk gazowy firmy Buck o zatkanym palniku, zaskorupałym i nie domykającym się drzwiczkach piekarnika. Tępo wpatrywał się przez chwilę w stary, zużyty piecyk, potem zaś spostrzegł, że podobną metamorfozę przeszły też inne sprzęty kuchenne. Aparat dostarczający gazety do domu znikł całkowicie. Toster rozsypał się w ciągu jednego dnia i zamieniła w dziwaczny, tandetny, nieautomatyczny sprzęt, z którego tosty nie wyskakiwały nawet same — jak zauważył przyglądając mu się ponuro. Lodówka była teraz ogromnym, napędzanym za pomocą pasów urządzeniem: reliktem, który wynurzył się z Bóg wie jak odległej przeszłości. Ten model był jeszcze bardziej przestarzały niż stary sprzęt produkcji General Electric, który widział w reklamówce telewizyjnej. Najmniej zmieniła się maszynka do parzenia kawy, w gruncie rzeczy pod jednym względem nawet na korzyść: nie było już w niej otworu na monety i można było jej używać bezpłatnie. To samo dotyczyło — jak zauważył — wszystkich pozostałych urządzeń. W każdym razie tych, które nadal znajdowały się na miejscu. Podobnie jak aparat gazetowy, całkowicie znikło urządzenie do usuwania śmieci. Próbował sobie przypomnieć, jakie miał jeszcze sprzęty, ale wspomnienie o nich stało się już mgliste; zrezygnował więc i wrócił do living roomu.

Telewizor cofnął się daleko: przed oczyma Joego stał teraz starodawny odbiornik radiowy firmy Atwater-Kent w obudowie z ciemnego drzewa, z zakresem fal krótkich, średnich i długich. Miał antenę oraz przewód uziemienia.

— Boże święty — powiedział Joe z niesmakiem.

Ale dlaczego telewizor nie zmienił się raczej w bezładny stos plastikowych i metalowych części? Były to przecież jego elementy składowe; zbudowany był z nich, a nie z dawnego radioodbiornika. Być może fakt ten potwierdzał w jakiś dziwny sposób zarzucony już dawno pogląd filozoficzny: koncepcję platońską, w myśl której ogólne pojęcia rzeczy były — w każdej kategorii — realne. Odbiornik telewizyjny był formą wprowadzoną na miejsce innych form; kolejne formy następowały po sobie jak klatki na kawałku taśmy filmowej.

W każdym przedmiocie, rozmyślał Joe, muszą żyć w jakiś szczątkowy sposób jego formy poprzednie. Przeszłość — choć ukryta pod powierzchnią, utajona — tkwi tam w dalszym ciągu i może wynurzyć się na światło dzienne, gdy tylko narosłe później formy znikną w jakiś niefortunny i nieprzewidywany sposób. Mężczyzna nie zawiera w sobie młodego chłopca, lecz wcześniej żyjących mężczyzn, myślał Joe. — Historia zaczęła się dawno temu.

Odwodnione szczątki Wendy. Ustało tu normalnie funkcjonujące następstwo form. Ostatnia forma dobiegła kresu i nic nie nastąpiło po niej — ani żadna nowa forma, ani następna faza tego, co nazywamy rozwojem. Na tym chyba polega sta-

rość: brak nowych form prowadzi do degeneracji i zgrzybiałości. Tylko że w tym wypadku nastąpiło to nagle, było kwestią zaledwie godzin,

Ale jeśli chodzi o tę dawną doktrynę — czyż Platon nie twierdził, że coś musi przetrwać rozpad, że jakiś element wewnętrzny nie podlega mu? Ten dawny dualizm, w myśl którego ciało i dusza były elementami odrębnymi? Ciało dobiegło kresu życia, jak w wypadku Wendy, dusza zaś wyfruwała jak ptak z gniazda, kierując się gdzie indziej. Możliwe, pomyślał. Aby narodzić się na nowo zgodnie z tym, co mówi *Tybetańska księga umarłych*. To istotnie prawda. Chryste Panie, pomyślał, mam nadzieję, że to prawda. W takim bowiem razie będziemy mogli wszyscy spotkać się znowu. Tak jak w *Kubusiu Puchatku*: istnieje inna część lasu, w której chłopiec i jego miś zawsze będą mogli się bawić... Oto niezniszczalna kategoria, stwierdził. Tak samo my wszyscy. Każdy z nas, razem ze swym misiem, odnajdzie się w nowym, jaśniejszym, trwalszym świecie.

Z czystej ciekawości włączył prehistoryczny odbiornik radiowy. Żółta celuloidowa tarcza zaświeciła się, radio wydało z siebie głośny pomruk, a potem wśród zakłóceń i gwizdów odezwała się jakaś stacja.

— Czas na *Rodzinę Peppera Younga* — mówił spiker. Rozległ się bulgot muzyki organowej. — Słuchowisko sponsorowane przez firmę produkującą mydło Camay, mydło pięknych kobiet. Wczoraj Pepper dowiedział się, że jego trwająca od wielu miesięcy praca dobiegła niespodziewanie końca, w związku z... — W tym momencie Joe wyłączył radio. Opera mydlana sprzed drugiej wojny światowej, pomyślał zdumiony. No cóż, jest to zgodne z czasowym cofaniem się zjawisk, występujących w tym świecie, w zamierającym quasi-świecie, czy jakkolwiek można to określić.

Rozglądając się po pokoju spostrzegł stolik do kawy ze szklanym blatem opartym na barokowych nóżkach. Leżał na nim numer pisma „Liberty” również pochodzący sprzed drugiej wojny światowej. Zawierał on kolejny odcinek fantastyczno-futurobicznej powieści *Nocna błyskawica*, w której mowa była o przyszłej wojnie atomowej. Bezmyślnie przerzucił kartki pisma, a potem zaczął się przyglądać pokojowi, by odnotować inne zmiany, jakie w nim zaszły.

Miejsce trwałej, bezbarwnej podłogi zajęły szerokie deski z miękkiego drzewa. Na środku pokoju leżał wyblakły turecki dywan, pokryty zbierającym się przez lata kurzem.

Na ścianie wisiał tylko jeden obraz: sztych w ramki ze szkłem, przedstawiający Indianina umierającego na końskim grzbiecie. Joe nie widział go nigdy przedtem. Obraz nie wywołał w nim żadnych wspomnień. I wcale mu się nie podobał.

Miejsce wideofonu zajął czarny, stojący telefon z wiszącą słuchawką. Z okресu, kiedy nie było jeszcze tarczy służącej do wykłacania numerów. Joe zdjął słuchawkę z haczyka, usłyszał kobiecy głos, mówiący: „Proszę o podanie numeru”, i zaraz odwiesił ją z powrotem.

Znikł również najwyraźniej termostatyczny system centralnego ogrzewania.

W kącie living roomu Joe dostrzegł gazowy grzejnik, z dużym blaszanym przewodem kominowym poprowadzonym po ścianie niemal do samego sufitu.

Przeszedł do sypialni, otworzył szafę i przejrzał jej zawartość, a następnie wybrał dla siebie strój złożony z czarnych półbutów, wełnianych skarpet, pumpów, niebieskiej bawełnianej koszuli i sportowej marynarki z wielbłądziej wełny oraz czapki z daszkiem. Ułożył też na łóżku zestaw przygotowany na bardziej uroczyste okazje: granatowy, dwurzędowy garnitur w drobne paski, szelki, szeroki krawat w kwiaty i białą koszulę ze sztywnym, celuloidowym kołnierzykiem. Rany Boskie! — powiedział stropiony, znajdując w szafie torbę z kompletem kijów golfowych. Cóż to za zabytek!

Wrócił do living roomu. Tym razem jego wzrok zawędrował w miejsce, gdzie poprzednio stał zestaw polifonicznej aparatury audio: tuner UKF, wysokiej jakości gramofon wyposażony w nieważkie ramię, głośniki, tuby i wielościeżkowy wzmacniacz. Wszystkie te rzeczy zniknęły — na ich miejsce pojawił się wysoki przedmiot z ciemnego drzewa. Joe dostrzegł korbę do nakręcania i nie musiał już otwierać klapy, by przekonać się, z czego składa się teraz jego aparatura muzyczna. Paczka igieł z bambusowego drzewa leżała na półce obok gramofonu typu Victrola. Była tam też dziesięciocalowa płyta firmy Victor, 78 obrotów. Miała czarną etykietkę: orkiestra Raya Noble'a gra *Turecki przysmak*. Tyle pozostało z jego kolekcji taśm i płyt długogrających.

Jutro, pomyślał Joe, okaże się zapewne posiadaczem patefonu z kółkami zębacych i grającym wałkiem, na którym nagrana będzie hałaśliwa recytacja Modlitwy Pańskiej.

Jego uwagę zwróciła nowa — jak się wydawało — gazeta, leżąca po drugiej stronie wyściełanej sofy. Wziął ją do ręki i odczytał datę: wtorek, 12 września 1939 roku. Rzucił okiem na tytuły:

**FRANCUZI TWIERDZA,
ŻE PRZEŁAMALI LINIĘ ZYGFRYDA.
DONOSZA, ŻE POSUWAJĄ SIĘ NAPRZÓD
W REJONIE SAARBRÜCKEN.**

Doniesienia o poważnej bitwie, rozpoczynającej się na froncie zachodnim.

To ciekawe, pomyślał. Zaczęła się właśnie druga wojna światowa i Francuzom wydawało się, że zwyciężają. Odczytał inny tytuł:

**ŹRÓDŁA POLSKIE MÓWIĄ O ZATRZYMANIU
OFENSYWY NIEMIECKIEJ.
POLACY UTRZYMUJĄ,
ŻE AGRESOR RZUCA DO WALKI NOWE SIŁY,
ALE NIE POSUWA SIĘ NAPRZÓD.**

Gazeta kosztowała trzy centy. To też wydało mu się interesujące. Co można obecnie kupić za trzy centy? — zadał sobie pytanie. Odłożył gazetę i raz jeszcze zwrócił uwagę na jej świeży wygląd. Może mieć dzień lub dwa, pomyślał. Nie więcej. A więc znam już datę. Wiem dokładnie, do jakiego momentu doszedł proces cofania się w czasie.

Snując się po apartamencie w poszukiwaniu dalszych przeobrażeń, doszedł do znajdującej się w sypialni komody z odzieżą. Stał na niej szereg fotografii w oszklonych ramach.

Wszystkie przedstawiały Runcitera. Ale nie takiego Runcitera, jakiego Joe znał. Było na nich dziecko, mały chłopiec, wreszcie młody mężczyzna. Runciter sprzed lat — ale nadal łatwy do rozpoznania.

Wyjął portfel i znalazł w nim tylko fotografie Runcitera — żadnych zdjęć swych krewnych czy przyjaciół. Wszędzie był Runciter! Schował portfel na powrót do kieszeni i nagle ze zdumieniem uświadomił sobie, że wykonany jest on nie z plastyku, lecz z prawdziwej wołowej skóry. No cóż, wszystko się zgadzało. W dawnych czasach skóra była łatwo dostępna. Więc co z tego? — zadał sobie pytanie. Raz jeszcze wyjął portfel i przyjrzał mu się posępnie. Potarł palcami wołową skórę; jej dotknięcie było dla niego całkiem nowym

przeżyciem, bardzo zresztą przyjemnym. Nieporównanie lepsza niż plastyk, doszedł do wniosku.

Wróciwszy do living roomu rozejrzał się wokoło, szukając dobrze sobie znanej przegródki pocztowej — wnęki w ścianie, w której powinny się znajdować dzisiejsze listy. Znikła — nie istniała już. Zaczął usilnie myśleć, próbując wyobrazić sobie dawny system dostarczania listów. Na podłodze pod drzwiami apartamentu? Nie. W jakimś pudełku; przypomniał sobie niejasno termin: skrzynka na listy. W porządku; może być w skrzynce — ale gdzie te skrzynki były usytuowane? Przy głównym wejściu do budynku? Miał mgliste wrażenie, że właśnie tam. Musiał więc wyjść z apartamentu. Poczta mogła być na parterze dwadzieścia pięter pod nim.

— Proszę o pięć centów — powiedziały drzwi, gdy spróbował je otworzyć. Można było przypuszczać, że wrodzony upór płatnych drzwi przetrwa wszystko inne. Że będą one funkcjonować jeszcze dłużej po tym, jak cofnie się w czasie wszystko w całym mieście. . . a może i na całym świecie.

Wrzucił monetę do otworu i szybko przeszedł hallem w kierunku ruchomego korytarza, z którego korzystał przed kilkanaście minutami. Korytarz jednak przybrał już postać nieruchomych betonowych schodów. Dwadzieścia pięter w dół, pomyślał Joe. Stopień po stopniu. To niemożliwe, nikt nie byłby w stanie zejść po tylu schodach. Winda. Ruszył w jej kierunku i nagle przypomniał sobie, co przydarzyło się Alowi. *A jeśli tym razem ja zobaczę to, co wtedy widział on?* — zadał sobie pytanie. Starą, żelazną kabinę, zwisającą na metalowej linie i obsługującego ją skretyniałego starca w czapce windziarza na głowie? Był

to wizerunek nie z roku 1939, lecz z 1909; proces cofania się w czasie postąpił o wiele dalej niż we wszystkich przypadkach, których ja doświadczyłem do tej pory.

Lepiej nie ryzykować. Lepiej posłużyć się schodami. Zrezygowany, zaczął schodzić.

Był już niemal w połowie drogi, gdy nagle uświadomił sobie pewien złowieszczy fakt. W żaden sposób nie będzie w stanie wrócić na górę — ani do swego apartamentu, ani do czekającej na dachu taksówki. Gdy raz znajdzie się na parterze, będzie skazany na pozostanie tam, być może na zawsze. Chyba że Ubik w aerozolowej puszcze będzie wystarczająco potężny, by przywrócić do istnienia windę lub ruchomy korytarz. Naziemne środki transportu, pomyślał, jak one będą, do diabła, wyglądać w momencie, gdy znajdę się już na dole? Pociąg? Kryty wóz konny?

Schodził zrezygowany, hałaśliwie zeskakując po dwa stopnie. Było już za późno na zmianę decyzji.

W końcu znalazł się na parterze w obszernym hallu. Stał tam bardzo długi stół z marmurowym blatem, na którym stały dwa ceramiczne wazony z kwiatami — najwyraźniej były to irysy. Cztery szerokie stopnie prowadziły w dół do osłoniętych kotarą drzwi frontowych. Joe przekreślił karbowaną szklaną klamkę i otworzył je.

Znowu schody. A po prawej ich stronie rząd zamykanych na klucz mosiężnych skrzynek na listy; na każdej z nich umieszczone było czyjeś nazwisko. Miał więc rację: poczta dostarczana była tylko do tego miejsca. Zidentyfikował swoją skrzynkę, znajdując umieszczony na niej pasek papieru z napisem: Joseph Chip 2075, oraz przycisk dzwonka, który najwyraźniej odzywał się w jego apartamencie po naciśnięciu guzika.

Klucz. Nie miał klucza. A może? Przetrzęsając swe kieszenie odkrył kółko, na którym dzwoniły liczne metalowe klucze o różnych kształtach. Przyglądał im się zdumiony, usiłując odgadnąć ich przeznaczenie. Zamek skrzynki do listów wydawał się niezwykle mały; najwyraźniej pasował do niego klucz o podobnych rozmiarach. Wybrawszy najdrobniejszy, włożył go do otworu i przekreślił w zamku. Mosiężne drzwiczki odskoczyły, Joe zajrzał do środka.

W skrzynce leżały dwa listy i prostopadłościenna paczka, owinięta brązowym papierem i oklejona taśmą. Przez chwilę podziwiał niezwykle pamiątki z przeszłości: purpurowe, trzycentowe znaczki z podobizną George'a Washingtona, potem rozdarł opakowanie, z satysfakcją zauważając, że paczka jest dość ciężka. Ale przecież, zorientował się nagle, paczka o tym kształcie nie może zawierać puszek z areozolem; jest na to zbyt krótka. Poczł dotknięcie lęku. A jeśli to nie jest bezpłatna próbka Ubika? To musi być ona; po prostu musi. W przeciwnym razie powtórzy się historia Ala. *Mors certa et hora certa*, powiedział sam do siebie, upuszczając na podłogę opakowanie z brązowego papieru i przyglądając się

tekturowemu pojemnikowi, który trzymał w ręce.

UBIK — BALSAM NA NERKI I WĄTROBE.

Wewnątrz pudełka znalazł słoik z niebieskiego szkła, zaopatrzonego w dużą pokrywkę. Na etykiecie znajdował się napis: „SPOSÓB UŻYCIA. Gwarantujemy, że ten niezwykły środek przeciwbólowy, nad którego udoskonaleniem doktor Edward Sonderbar pracował przez czterdzieści lat, raz na zawsze uwolni was od przykrej konieczności wstawania w ciągu nocy. Po raz pierwszy będziecie spać spokojnie, znakomicie się czując. Należy po prostu rozpuścić łyżeczkę balsamu na nerki i wątrobę Ubik w szklance ciepłej wody i wypić pół godziny przed udaniem się na spoczynek. Gdyby ból lub pieczenie utrzymywały się, wskazane jest zwiększenie dawki do jednej łyżki stołowej. Nie podawać dzieciom. Zawiera wyciąg z liści oleandra, saletrę, olejek miętowy, fenacytynę, tlenek cynku, węgiel drzewny, chlorek kobaltu, kofeinę, ekstrakt digitaliny, szczątkowe ilości steroidów, cytrynian sodowy, kwas askorbinowy, sztuczne aromaty i barwniki. Balsam na nerki i wątrobę Ubik, jest silny i skuteczny w działaniu, jeśli stosuje się go według instrukcji. Wywołuje podrażnienie skóry. Należy używać gumowych rękawiczek. Uważać, by preparat nie dostał się do oczu ani nie kapnął na skórę. Nie wdychać przez dłuższy okres. Uwaga: przewlekłe stosowanie lub przedawkowanie może doprowadzić do nałogu”.

To szaleństwo, pomyślał Joe. Ponownie przeczytał listę składników, czując, jak wzbiera w nim gniew i frustracja. I narastające poczucie bezradności, które zakorzeniło się w nim i opanowało go bez reszty. Jestem wykończony, myślał. Ten preparat nie jest środkiem, który reklamował w telewizji Runciter: to jakaś tajemnicza mikstura dawnych specyfików, maści na cerę, środków przeciwbólowych, trucizn i składników całkowicie obojętnych, z dodatkiem, ni mniej, ni więcej, tylko kortyzonu, którego nie znano przed drugą wojną światową. Najwyraźniej nastąpiła regresja Ubika, który opisywał Runciter w tej nagranej reklamówce telewizyjnej — w każdym zaś razie regresja dotknęła tę jego próbkę. Ironia jest tu aż nazbyt wyraźna: preparat, który stworzono po to, by odwracał proces regresywny, sam uległ temu procesowi. Mogłem być tego pewny, gdy tylko zobaczyłem te stare, czerwone, trzypensowe znaczki.

Rozejrzał się po ulicy i spostrzegł zaparkowany przy krawężniku klasyczny, muzealny samochód poruszający się na kołach. Marki LaSalle.

Czy uda mi się dojechać do Des Moines samochodem lasallem z 1939 roku? — zadał sobie pytanie. O ile nie będzie się on starzał, możliwe, że dotrę tam w końcu mniej więcej za tydzień. Wtedy będzie mi już wszystko jedno. Zresztą samochód nie pozostanie w nie zmienionej postaci. Wszystko będzie się cofać w czasie — może z wyjątkiem drzwi od mojego mieszkania.

Podszedł jednak do auta, by przyjrzeć mu się z bliska. Może to mój wóz, pomyślał. Może jeden z tych kluczy pasuje do stacyjki? Czy nie w taki sposób funkcjonowały te poruszające się po ziemi samochody? Z drugiej strony — jak mam nim jechać? Nie umiem prowadzić starego samochodu, zwłaszcza takiego, który ma... jak się to nazywało?... ręczną zmianę biegów. Otworzył drzwi i wsunął się za kierownicę; siedział tam, skubiąc bezradnie dolną wargę i usiłując przeanalizować sytuację.

Może powinienem wypić łyżkę stołową balsamu na nerki i wątrobę Ubik, pomyślał ponuro. Skoro zawiera on takie składniki, powinien uśmiercić mnie w dość dokładnie. Ale ten rodzaj śmierci nie wydawał mu się wymarzony. W sposób bardzo powolny i meczący doprowadziłyby do niej tlenek kobaltu, chyba że wcześniej dokonałaby tego digitalina. A przecież były tam jeszcze, naturalnie, liście oleandra. Trudno było o nich zapomnieć. Cała ta mieszanka rozłożyłaby jego kości, zamieniając je w galaretę. Cał po calu.

Chwileczkę, pomyślał. W roku 1939 istniała już komunikacja lotnicza. Gdyby udało mi się dotrzeć na nowojorskie lotnisko — może tym właśnie samochodem — mógłbym wynająć samolot specjalny. Trzysilnikową maszynę marki Ford, razem z pilotem. Ona dowiozłaby mnie do Des Moines.

Wypróbował kolejno różne klucze ze swego kompletu, aż w końcu natrafił na taki, który włączył stacyjkę. Starter zaczął się obracać, potem zaskoczył silnik. Joemu spodobał się zdrowy odgłos regularnie pracującego motoru. Ta akurat forma regresji — podobnie jak portfel z prawdziwej wołowej skóry — wydała mu się zmianą na lepsze: współczesnym mu środkiem transportu, całkowicie bezszmerowym, brakowało tego namacalnego, realnego akcentu, będącego przejawem mocy.

Teraz sprzęgło, pomyślał. Po lewej stronie, w głębi. Namacał je lewą stopą. Wcisnąć pedał sprzęgła aż do podłogi, potem wrzucić bieg za pomocą dźwigni. Spróbował przeprowadzić ten manewr i usłyszał okropny, hałaśliwy zgrzyt: odgłos metalu trącego o metal. Najwyraźniej nie dość mocno przytrzymał sprzęgło. Spróbował ponownie i tym razem udało mu się wrzucić bieg.

Samochód niepewnie ruszył; szarpał i trzął, ale posuwał się naprzód. Jadąc powoli, nierówno, wzdłuż ulicy, Joe poczuł wyraźny przyptyw optymizmu. Spróbujmy więc teraz znaleźć to cholerne lotnisko, pomyślał. Zanim będzie za późno; zanim znajdziemy się w epoce rotacyjnego silnika typu Gnome, o kuliścierzniach zamieszczonych na zewnątrz cylindrach, smarowanego olejem rycynowym. Miał on zasięg pięćdziesiąt mil i można nim było przelatywać tuż nad płotami z szybkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę.

W godzinę później dotarł do lotniska, zaparkował samochód i zaczął przyglądać się hangarom, rękawowi wskazującemu kierunek i siłę wiatru oraz starym

dwupłatowcom o drewnianych śmigłach. Co za widok! — pomyślał. Karta z odległych dziejów. Wskrzeszone relikty poprzedniego tysiąclecia, nie mające żadnej więzi ze znanym mi realnym światem. Fantastyczne zjawy, które tylko na chwilę zbłądziły w pole widzenia; wkrótce i one znikną — nie utrzymają się przy życiu dłużej niż produkty współczesnej techniki. Zostaną zmiecione, podobnie jak wszystko inne, przez proces degeneracji.

Roztrzęsiony wysiadł z lasalle'a i odczuwając silne mdłości wywołane jazdą samochodem, powlókł się w kierunku głównych budynków lotniska.

— Jaki samolot mógłbym wynająć za tę sumę? — spytał pierwszego człowieka o wyglądzie pracownika lotniska, jakiego dostrzegł, rozkładając przed nim na kontuarze całą swoją gotówkę. — Muszę możliwie jak najprędzej dostać się do Des Moines. Chciałbym wystartować natychmiast.

Łysy mężczyzna z uczernionymi wąsami, mający na nosie małe okulary z okrągłą złoconą oprawką, w milczeniu przyjrzał się banknotom.

— Hej, Sam! — zawołał, odwracając swą okrągłą głowę przypominającą kształtem jabłko. — Chodź, zobacz te pieniądze!

Podszedł do nich drugi mężczyzna, ubrany w pasiastą koszulę z luźnymi rękawami, wyświecone bawełniane spodnie i płócienne pantofle.

— Fałszywe pieniądze — powiedział, przyjrzawszy się im przez chwilę. — Banknoty służące do zabawy. Nie ma na nich George'a Washingtona ani Aleksandra Hamiltona. — Obaj pracownicy patrzyli na Joego z uwagą.

— Mam lasalle'a z 1939 roku; stoi na parkingu — powiedział Joe. — Oddam go za przewiezienie mnie do Des Moines jakimkolwiek samolotem, który będzie w stanie tam dotrzeć. Czy interesuje was taka propozycja?

— Może Oggie Brent? — odezwał się po chwili namysłu właściciel drobnych okularów w złoconych oprawkach.

— Brent? — spytał, podnosząc brwi, pracownik w bawełnianych spodniach. — Masz na myśli tę jego Jenny? Ten samolot ma ponad dwadzieścia lat. Nie doleciałby nawet do Filadelfii.

— A może Mc Gee?

Tak, ale on jest w Newark.

— W takim razie chyba Sandy Jaspersen. Ten jego curtiss-wright jest w stanie dolecieć do Iowy. Prędzej czy później. — Zwrócił się do Joego. — Niech pan pójdzie do hangaru numer trzy i poszuka czerwono-białego dwupłatowca marki Curtiss. Znajdzie pan tam niskiego, tłuścawego faceta, który będzie przy nim dłubał. Jeśli on pana nie zawiezie tym samolotem, nikt inny na naszym lotnisku nie podejmie się tego. Chyba że zaczeka pan do jutra, aż wróci McGee ze swoim trzysilnikowym fokkerem.

— Dziękuję — powiedział Joe i wyszedł z budynku. Szybkim krokiem ruszył w kierunku hangaru numer trzy, już z daleka widząc samolot, który wyglądał na biało-czerwonego dwupłatowego curtissa-wrighta. Przynajmniej nie odbę-

dę tej podróży w JN, szkoleniowym samolocie z okresu ostatniej wojny, pomyślał. I nagle zastanowił się: Skąd wiedziałem, że „Jenny” to przezwisko samolotu JN? Boże, myślał dalej. W moim umyśle pojawiają się chyba odpowiedniki różnych elementów, pochodzących z tego okresu. Nic dziwnego, że byłem w stanie poprowadzić lasalle’a; na serio zaczynam dostosowywać się psychicznie do tego czasu.

Rudy, niski, tęgi mężczyzna majstrował coś zaoliwioną szmatą przy kołach swego dwupłatowca; widząc zbliżającego się Joego, podniósł na niego wzrok.

— Czy pan Jespersen? — spytał Joe.

— Zgadza się. — Mężczyzna przyglądał mu się uważnie, najwyraźniej zaintrygowany jego strojem, który nie przeszedł regresywnego przeobrażenia. — Czym mogę panu służyć?

Joe wyjaśnił, o co mu chodzi.

— Chce pan dać lasalle’a, nowego lasalle’a za przelot w jedną stronę do Des Moines? — Jespersen zastanawiał się, marszcząc brwi. — Może być zresztą w obie strony: i tak muszę przylecieć tu z powrotem. — Okay. Zobaczę ten samochód. Ale niczego nie obiecuję, nie zdecydowałem się jeszcze.

Razem doszli do parkingu.

— Nie widzę tu żadnego lasalle’a model ’39 — powiedział podejrzliwie Jespersen.

Miał rację. Lasalle zniknął. Zamiast niego Joe dostrzegł małego blaszanego Forda z brezentowym dachem. Samochód był bardzo stary; jak mu się wydawało, z roku 1929. Niemal zupełnie bez wartości — widział to po minie Jespersena.

Najwyraźniej sytuacja stała się teraz beznadziejna. Nigdy nie dotrze do Des Moines. A to, jak twierdził Runciter w swej reklamówce telewizyjnej, oznaczało śmierć; taką samą śmierć, jaka spotkała Wendy Wright i Ala.

Jest to już tylko kwestia czasu.

Lepiej umrzeć inaczej, pomyślał. Przypomniał sobie o Ubiku. Otworzył drzwiczki swego Forda i usiadł za kierownicą. Na siedzeniu obok niego leżała butelka, którą otrzymał za pośrednictwem poczty. Wziął ją do ręki. . .

. . . i spostrzegł coś, co w gruncie rzeczy nie było dla niego zaskoczeniem. Butelka, podobnie jak samochód, znowu cofnęła się w czasie. Była teraz płaska, pozbawiona śladów łączenia, z widocznymi zadrapaniami — takie flaszki odlewano w drewnianych formach. Istotnie była bardzo stara: zakrętka z miękkiej blachy wydawała się wykonana ręcznie, jak zakrętki produkowane pod koniec XIX wieku. Zmieniła się też etykieta: podnosząc butelkę odczytał wydrukowane na niej słowa:

**ELIKSIR UBIQUE. GWARANTUJE ODZYSKANIE UTRACONEJ
MEŃSKOŚCI I WYPĘDZA WAPORY WSZELKICH ZNANYCH GA-
TUNKÓW, JAK RÓWNIEŻ POMAGA KOBIECIOM I MEŃCZY-
ZKOM SKARŻĄCYM SIĘ NA ZANIK ZDOLNOŚCI ROZROD-**

**CZYCH. STOSOWANY ŚCIŚLE WEDŁUG WSKAZÓWEK STAJE
SIĘ DOBROCZYNNYM DLA RODZAJU LUDZKIEGO ŚRODKIEM
LECZNICZYM.**

Dalsze słowa były już drobniejsze; musiał zmrużyć oczy, by odczytać zamazane, drobne litery:

Nie rób tego, Joe. Jest inny sposób. Próbuj dalej, a znajdziesz go. Wiele szczęścia.

To Runciter, zdał sobie sprawę. Nadal sadystycznie bawi się z nami w kotka i myszkę. Zachęca nas do przetrwania jeszcze przez jakiś czas. Stara się jak najbardziej odwlec nasz koniec. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Być może, myślał, Runcitera bawią nasze cierpienia. Ale to nie w jego stylu — to niepodobne do tego Glena Runcitera, jakiego znałem.

A jednak odłożył na bok butelkę eliksiru Ubique, porzucając zamiar użycia go.

I zaczął się zastanawiać, jaki może być ten „inny sposób”, o którym wspominał Runciter.

Rozdział 11

Stosowany zgodnie z instrukcją Ubik zapewnia nieprzerwany sen bez uczucia ociążałości następnego ranka. Budzisz się świeży, gotów stawić czoło wszystkim drobnym i uciążliwym problemom, jakie cię czekają. Nie przekraczać zalecanej dawki.

— Co to za butelka, którą trzyma pan w ręku? — spytał Jespersen dziwnie zmienionym tonem, zaglądając do wnętrza samochodu. — Czy mogę ją zobaczyć?

Joe Chip bez słowa podał pilotowi płaską butelkę eliksiru Ubique.

— Mówiła mi o tym moja babka — stwierdził Jespersen, podnosząc butelkę i przyglądając jej się pod światło. — Skąd pan ją wziął? Nie robią już tego chyba od czasów wojny domowej.

— Odziedziczyłem ją — powiedział Joe.

— To jedyna możliwość. Tak, teraz już nie widuje się tych ręcznie wykonanych flaszek. Zresztą ta firma i tak niewiele ich wyprodukowała. Lekarstwo to wynaleziono w San Francisco gdzieś około roku 1850. Nigdy nie sprzedawano go w sklepach; robili je tylko na zamówienie. Produkowano trzy gatunki, różnej mocy. Pan ma właśnie ten najsilniejszy. — Przyjrzał się Joemu. — Czy wie pan, jakie są jego składniki?

— Oczywiście — odparł Joe. — Olejek miętowy, tlenek cynku, cytrynian sodowy, węgiel drzewny. . .

— Mniejsza o to — przerwał mu Jespersen. Ze zmarszczonymi brwiami najwyraźniej usilnie się nad czymś zastanawiał. W końcu wyraz jego twarzy zmienił się: podjął już decyzję. — Zawiozę pana do Des Moines w zamian za tę butelkę eliksiru Ubique. Ruszamy od razu; chciałbym jak najdłuższy odcinek lotu przebyć za dnia.

Z butelką w ręku zaczął oddalać się od Forda z roku 1929.

W ciągu dziesięciu minut zatankowali paliwo do dwupłatowca, zakręcili ręczne śmigło i samolot, z Jespersenem i Joem Chipem na pokładzie, zaczął toczyć

się po wyboistym pasie startowym, trzęsąc niemiłosiernie. Joe, zaciskając zęby, usiłował utrzymać się w fotelu.

— Jesteśmy bardzo obciążeni — powiedział beznamiętnie Jespersen; nie wydawał się zaniepokojony. W końcu samolot chwiejnie wzniósł się w powietrze, na dobre rozstając się z pasem startowym. Hałaśliwie terkotał nad dachami budynków, kierując się na zachód.

— Kiedy będziemy na miejscu?! — wykrzyczał Joe.

— To zależy od tego, jak długo będziemy lecieć z wiatrem! Trudno powiedzieć! Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to zapewne jutro koło południa.

— Czy powie mi pan teraz, co jest w tej butelce?! — zawołał Joe.

— Płatki złota jako zawiesina płynu, którego głównym składnikiem jest olej mineralny.

— Ile jest tego złota?! Bardzo dużo?!

Zamiast odpowiedzi Jespersen odwrócił ku niemu uśmiechniętą twarz. Nie musiał nic mówić — sprawa była jasna.

Stary dwupłatowiec curtiss-wright terkocząc kontynuował lot, zmierzając w kierunku stanu Iowa.

Około trzeciej po południu następnego dnia dotarli do lotniska w Des Moines. Zaraz po wylądowaniu pilot powlókł się w niewiadomym kierunku, unosząc ze sobą swoją butelkę złotych płatków. Zesztywniały Joe, pokonując bolesny kurcz, wysiadł z samolotu. Przez chwilę, stojąc obok niego, rozcierał zdrętwiałe nogi, potem niepewnym krokiem ruszył w kierunku budynku portu lotniczego.

— Czy mogę skorzystać z telefonu? — spytał starszego funkcjonariusza lotniska o wyglądzie wieśniaka, który siedział zgarbiony nad mapą synoptyczną pochłonięty swą pracą.

— Jeśli tylko ma pan pięć centów. — Ruchem gładko ulizanej głowy wskazał mu telefon przeznaczony do użytku klientów.

Joe zaczął grzebać w swoich pieniądzech, odsuwając na bok wszystkie monety, na których widniał profil Runcitera; znalazł w końcu prawdziwą pięciocentówkę z tego okresu ozdobioną wizerunkiem bizona i położył ją przed urzędnikiem.

— W porządku — mruknął pracownik lotniska, nie podnosząc głowy.

Joe znalazł książkę telefoniczną i wyszukał w niej numer Domu Przedpogrzebowego Prostego Pasterza. Podał go telefonistce; po chwili oczekiwania ktoś odebrał telefon.

— Tu Dom Przedpogrzebowy Prostego Pasterza. Przy telefonie Bliss.

— Przybyłem tu, by wziąć udział w pogrzebie Glena Runcitera — odezwał się Joe. — Czy zjawiam się za późno? — Modlił się w myślach, by tak nie było.

— Ceremonia pogrzebu pana Runcitera odbywa się właśnie w tej chwili — odparł pan Bliss. — Gdzie pan jest, sir? Czy życzy pan sobie, żebyśmy po pana

wysłali samochód? — W jego głosie dostrzec można było pełną przejęcia naganę.

— Jestem na lotnisku — rzekł Joe.

— Powinien był pan zjawić się wcześniej — strofującym tonem powiedział pan Bliss. — Wątpię bardzo, czy uda się panu zdążyć choćby na koniec ceremonii. Ciało pana Runcitera będzie jednak wystawione na widok publiczny jeszcze do końca dnia dzisiejszego i jutro rano. Niech pan rozgląda się za naszym samochodem panie. . .

— Chip — przedstawił się Joe.

— Owszem, spodziewaliśmy się pana. Wielu uczestników pogrzebu prosiło nas, byśmy byli gotowi na przyjęcie pana i pana Hammonda, a także — zrobił przerwę — panny Wright. Czy przybyli oni razem z panem?

— Nie — odparł Joe. Odwiesił słuchawkę i usiadł na politurowanej, drewnianej ławce z giętych prętów, z której mógł obserwować podjeżdżające do lotniska samochody.

W każdym razie, pomyślał, przybyłem tu wystarczająco wcześnie, by móc przyłączyć się do pozostałych członków zespołu. Jeszcze nie wyjechali z miasta, a o to właśnie mi chodziło.

— Czy może pan pozwolić tu na moment?! — zawołał w jego kierunku starszawy urzędnik.

Joe wstał z ławki i przeszedł na drugą stronę poczekalni.

— O co chodzi?

— O tę pięciocentówkę, którą pan mi dał. — Urzędnik w dalszym ciągu przyglądał jej się z uwagą.

To pięciocentówka z bizonem — stwierdził Joe. — Czyż to nie jest moneta będąca aktualnie w obiegu?

— Jest na niej data 1940 — starszy urzędnik spojrział Joemu badawczo prosto w oczy.

Joe jęknął zniecierpliwiony, wydobyl pozostałe monety i zaczął wśród nich szukać; znalazł wreszcie pięciocentówkę z roku 1938 i rzucił ją na ladę przed nosem urzędnika.

— Niech pan sobie weźmie obydwie — powiedział i ponownie zasiadł na politurowanej ławce z giętych prętów.

— Od czasu do czasu trafiają się nam fałszywe pieniądze — oznajmił urzędnik.

Joe nie odpowiedział. Jego uwagę przyciągnęło przypominające komodę radio marki Audiola, grające w kącie poczekalni. Spiker reklamował pastę do zębów o nazwie Ipana, Ciekaw jestem, jak długo będę musiał tu czekać, myślał Joe. Teraz, gdy znalazł się już tak blisko swych inercjałów, czuł się zdenerwowany. Skoro dotarłem aż tutaj, o kilka mil od nich, okropne byłoby. . . — urwał swą myśl w tym miejscu i dalej siedział, czekając.

W pół godziny później na parking lotniska wtoczył się hałaśliwie willys-knight 87, model z roku 1930. Wsiadł z niego skromnie wyglądający jegomość o włosach przypominających konopie, w rzucającym się w oczy czarnym garniturze. Przysłaniając oczy grzbietem dłoni, usiłował zajrzeć do wnętrza poczekalni.

— Czy pan Bliss? — spytał Joe, podchodząc bliżej.

— Zgadza się. — Bliss, wokół którego unosił się silny zapach sensen, wymienił z Joem krótki uścisk dłoni i od razu wsiadł z powrotem do samochodu i zapalił silnik. — Proszę wsiadać, panie Chip. Niech pan będzie uprzejmy się pośpieszyć. Być może uda nam się zdążyć na część uroczystości. Z okazji tak ważnych obrzędów, jak dzisiejszy, ojciec Abernathy wygłasza zwykle dość długie kazanie.

Joe ulokował się na przednim siedzeniu obok pana Blissa. W chwilę później z klekotem wtoczyli się na szosę wiodącą do centrum Des Moines i popędzili nią z szybkością dochodzącą chwilami do czterdziestu mil na godzinę.

— Jest pan pracownikiem pana Runcitera, prawda? — spytał Bliss.

— Tak jest — odparł Joe.

— To niezwykła branża, ta, w której pracował pan Runciter. Nie potrafię tego do końca zrozumieć. — Bliss zatrąbił na rudego setera, który wybiegł na asfaltową jezdnię. Pies cofnął się, jakby respektując prawo pierwszeństwa, jakie miał na szosie willys-knight. — Co to znaczy „zdolności psioniczne”? Wielu pracowników pana Runcitera używało tego terminu.

— Siły parapsychiczne — wyjaśnił Joe. — Zdolność umysłu do bezpośredniego działania, bez ingerencji czynników fizycznych.

— Ma pan na myśli siły mistyczne? Takie jak umiejętność przepowiadania przyszłości? Pytam o to dlatego, że wielu spośród was rozmawiało o przyszłości w taki sposób, jakby była ona już faktem dokonanym. Nie ze mną: mówili o tym wyłącznie między sobą, ale słyszałem ich rozmowy, wie pan, jak to jest. . . A więc, czy wy jesteście mediami?

— Czymś w tym rodzaju.

— Co pan przewiduje w związku z wojną w Europie?

— Niemcy i Japonia poniosą klęskę — powiedział Joe. — Stany Zjednoczone przystąpią do wojny 7 grudnia 1941 roku. — Zapadł w milczenie, nie mając ochoty rozmawiać na ten temat: jego uwagę pochłaniały własne problemy.

— Jeśli chodzi o mnie, jestem izolacjonistą — powiedział Bliss.

Czego doświadcza reszta naszej grupy? — zastanawiał się Joe. Czy żyją w tej samej rzeczywistości? W Stanach Zjednoczonych z roku 1939? A może kiedy przyłączę się do nich, moja podróż wstecz przybierze kierunek odwrotny i znajdę się w okresie późniejszym? To słuszne pytanie. Będziemy bowiem musieli wspólnie znaleźć sposób, który umożliwi nam przebycie na powrót tych pięćdziesięciu trzech lat i odnalezienie racjonalnych i prawidłowych elementów współczesnej, nie dotkniętej regresywnym procesem rzeczywistości. Jeśli zaś grupa jako całość przeszła identyczny proces wsteczny jak ja sam, to przyłączając się do nich nie

pomogę ani sobie, ani im. Tyle tylko, że w ten sposób uniknę może kłopotów związanych z dalszym cofaniem się otaczającego mnie świata. Z drugiej strony ta obecna rzeczywistość z roku 1939 wydawała się dosyć trwała; w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin szczęśliwie nie nastąpiły w niej praktycznie żadne zmiany. Ale może związane to było z moim przybliżaniem się do grupy, pomyślał.

A przecież słoik balsamu na nerki i wątrobę Ubik cofnął się w czasie o dodatkowe osiemdziesiąt kilka lat. W ciągu kilku godzin przeobraził się z puszeki, aerozolu, poprzez butelkę, we flaszkę, odlaną w drewnianej formie. Tak jak kabina windy z roku 1908, którą widział tylko Al. . .

Ale w tym wypadku sprawa wyglądała inaczej. Ten niski, gruby pilot — Sandy Jespersen — też widział odlaną w drewnianej formie flaszkę z eliksirem Ubique, w końcowym etapie jej przeobrażeń. *To nie było jego subiektywne widzenie; przecież dzięki niej właśnie dotarł do Des Moines.* Pilot widział też metamorfozę lasalle'a. Wydawałoby się więc, że choroba, na którą umarł Al, miała zupełnie inny charakter. Taką Joe miał przynajmniej nadzieję. Modlił się, żeby była to prawda.

Przypuśćmy, rozmyślał, że nie będziemy w stanie odwrócić procesu regresji, że pozostaniemy w tej rzeczywistości do końca życia. *Czy to naprawdę takie straszne?* Możemy przyzwycząić się do dziewięciolampowych starodawnych odbiorników radiowych Philco, w kształcie komody, aczkolwiek nie będzie to konieczne: w tym okresie znano już superheterodyny, choć jak dotąd nie natrafiłem na żadną z nich. Będziemy w stanie nauczyć się prowadzenia samochodów marki American Austin, które można nabyć za 445 dolarów (kwota ta przyszła mu do głowy pozornie przypadkiem, przeczuwał jednak, że w istocie jest ścisła). Kiedy już znajdziemy posady i zaczniemy zarabiać współczesne pieniądze, nie będziemy musieli latać starodawnymi dwupłatowcami Curtiss-Wright; przecież już cztery lata temu, w roku 1935, uruchomiono stałą linię lotniczą przez Pacyfik, używającą czterosilnikowych, szybkich samolotów pasażerskich typu China. Trzysilnikowy samolot Forda ma już jedenaście lat: dla współczesnych ludzi jest to już relikw przeszłości. A ten dwupłatowiec, którym tu przyleciałem, jest — nawet dla nich — obiektem muzealnym. Moje auto lasalle, zanim przeszło przeobrażenie, było zupełnie przyzwoitym pojazdem i prowadzenie go było prawdziwą przyjemnością.

— A co będzie z Rosją? — pytał go Bliss. — To znaczy, w czasie wojny? Czy zlikwidujemy tych czerwonych? Potrafi pan spojrzeć w przyszłość aż tak daleko?

— Rosja weźmie udział w wojnie jako sojusznik Stanów Zjednoczonych — odparł Joe, myśląc równocześnie: A jak będzie z wszystkimi innymi przedmiotami, istotami i produktami? W dziedzinie medycyny uczynimy poważny krok w tył; zastanówmy się: obecnie chyba używają sulfamidów. Będzie to dla nas sporym problemem, jeśli zachorujemy. Zabiegi dentystyczne też nie zapowiadają

się zbyt miło: ciągle jeszcze posługują się świdrami i nowokainą. Fluoryzowane pasty do zębów na razie w ogóle nie istnieją; to kwestia jeszcze dwudziestu lat.

— Jako nasz sojusznik? — zabełkotał Bliss. — Komuniści? To niemożliwe, przecież oni zawarli ten pakt z faszystami?

— Niemcy pogwałcą ów pakt — odparł Joe. — Hitler zaatakuje Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku.

— I zniszczy go, mam nadzieję.

Wytracony z toku swych rozmyślań Joe odwrócił głowę, by przyjrzeć się Blissowi, siedzącemu za kierownicą swego dziewięcioletniego willys-knighta.

— To ci komuniści stanowią prawdziwą groźbę, nie Niemcy — mówił Bliss. — Weźmy sprawę traktowania Żydów. Wie pan, kto na tym korzysta? Żydzi w naszym kraju; wielu z nich nie ma obywatelstwa, ale wszyscy żyją tu jako uchodźcy, korzystając z zasiłków państwowych. Uważam, że faszyci w niektórych wypadkach z pewnością posunęli się zbyt daleko, jeśli chodzi o traktowanie Żydów, ale trzeba stwierdzić, że ta kwestia żydowska istnieje już od dłuższego czasu i trzeba było znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, choć może nie tak drastyczne, jak obozy koncentracyjne. My tu w Stanach Zjednoczonych mamy podobne problemy zarówno z Żydami, jak i z czarnuchami. W końcu będziemy musieli jakoś rozwiązać sprawę jednych i drugich.

— Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś używał słowa „czarnuch” — powiedział Joe. I uświadomił sobie, że zaczynał oceniać ten okres nieco inaczej. Zapomniałem o tym wszystkim, zdał sobie sprawę.

— Lindbergh: oto człowiek, który ma słuszny pogląd na sprawę Niemiec — mówił Bliss. — Czy słyszał pan, jak on przemawia? Nie chodzi mi o to, co o nim wypisują gazety, ale o prawdziwe... — Zwolnił i zatrzymał się przed sygnałem STOP, skonstruowanym jak semafor. — Na przykład senatorzy Borah i Nye. Gdyby nie oni, Roosevelt sprzedawałby Anglii broń i uwikłałby nas w wojnę, z którą nie mamy nic wspólnego. To Rooseveltowi zależy tak diabelnie na uchyleniu klauzuli dotyczącej embarga na broń, stanowiącej fragment ustawy o neutralności: chce, abyśmy przystąpili do wojny. Ale naród amerykański go nie poprze. Naród amerykański nie zamierza bić się o Anglię ani o jakikolwiek inny kraj.

Zadźwięczał dzwonek sygnału i wysunęło się zielone ramię semafora. Bliss wrzucił pierwszy bieg. Willys-knight, brzęcząc, zaczął posuwać się w gęstym ruchu ulicznym, jaki panował o tej porze dnia w śródmieściu Des Moines.

— Przez najbliższe pięć lat nie będzie pan miał wielu powodów do radości.

— Niby dlaczego? Tego samego zdania co ja są wszyscy mieszkańcy stanu Iowa. Wie pan, co myślę o was, pracownikach Runcitera? Na podstawie tego, co pan mówił, i tego, co dosłyszałem z rozmów innych, dochodzę do wniosku, że jesteście zawodowymi agitatorami. — Bliss rzucił Joemu spojrzenie pełne niewzruszonej pewności siebie.

Joe nie odezwał się. Obserwował starodawne budynki z cegły, drewna i beto-

nu, dziwne samochody, których większość, jak się wydawało, była pomalowana na czarno — i zastanawiał się, czy tylko jemu spośród członków grupy objawił się ten szczególny aspekt życia w roku 1939. W Nowym Jorku będzie inaczej — tu jest kraj Biblii, Środkowy Zachód, znany z tendencji izolacjonistycznych. Nie będziemy tu mieszkać. Osiedlimy się na wschodnim lub zachodnim wybrzeżu.

Instynktownie jednak czuł, że oto objawiło mu się zagadnienie, które stanowić będzie dla nich wszystkich poważny problem. Zbyt wiele wiemy, myślał, by spokojnie żyć w tym czasie. Gdybyśmy cofnęli się o dwadzieścia-trzydzieści lat, byłibyśmy zapewne w stanie przeobrazić się psychicznie; ponowne przeżywanie programu Gemini i spacerów w kosmosie czy pierwszych prymitywnych lotów Apolla nie byłoby może interesujące, ale w każdym razie możliwe. Natomiast w tym okresie dziejów...

Oni ciągle jeszcze słuchają *Dwóch czarnych wron* na płytach o szybkości siedemdziesiąt osiem obrotów na minutę. I Joe Pennera. A także programu *Mert i Marge*. Ciągle jeszcze trwają skutki wielkiego kryzysu. Ludzie naszej epoki mają kolonie na Marsie i Lunie, przygotowują się do lotów międzygwiazdnych — oni ciągle nie są w stanie poradzić sobie z pustynnymi obszarami Oklahomy.

Ci ludzie żyją w świecie, którego reguły wyznacza retoryka Williama Jenningsa Bryana; „małpi proces” Scopesa jest dla nich sprawą żywą i aktualną. W żaden sposób nie będziemy w stanie przystosować się do ich światopoglądu, moralności, poglądów politycznych i charakterystyki socjologicznej, myślał. Dla nich jesteśmy zawodowymi agitatorami, których trudniej jeszcze zrozumieć niż faszystów. Stanowimy większą zapewne groźbę niż partia komunistyczna. Jesteśmy najbardziej niebezpiecznymi agitatorami, z jakimi ta epoka miała kiedykolwiek do czynienia. Bliss ma zupełną słuszość.

— Skąd wy jesteście? — spytał Bliss. — Nie pochodzicie z żadnej części Stanów Zjednoczonych — czy może się mylę?

— Nie myli się pan — odparł Joe. — Jesteśmy obywatelami Konfederacji Północnoamerykańskiej. — Wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę z wizerunkiem Runcitera i wręczył ją Blissowi. — Proszę to ode mnie przyjąć w prezencie — powiedział.

Zerknąwszy na monetę, Bliss zakrzuszył się z wrażenia.

— Ten profil na monecie... — przecież to zmarły! To pan Runciter — mówił drżącym głosem. Ponownie przyjrzał się dwudziestopięciocentówce i zbladł wyraźnie. — I ta data! 1990 rok.

— Niech pan nie wyda wszystkiego naraz — poradził mu Joe.

Kiedy Willys-Knight dotarł do Domu Przedpogrzebowego Prosteo Pasterza, było już po ceremonii. Na szerokich, białych, drewnianych schodach dwupiętrowego budynku stało kilka osób; Joe od razu rozpoznał wszystkich jej członków.

Oto w końcu znaleźli się: Edie Dom, Tippy Jackson, Jon Ild, Franczy Spanish, Tito Apostos, Don Denny, Sammy, Fred Zafsky i... Pat. Moja żona, pomyślał, raz jeszcze urzeczony jej promienną urodą: niezwykle ciemnymi włosami, głęboką barwą jej oczu i cery.

— Nie — powiedział głośno, wysiadając z zaparkowanego wozu. — Nie jest moją żoną; wymazała to już. Ale, przypomniał sobie, zatrzymała obrączkę. Oryginalną obrączkę ślubną z kutego srebra i nefrytu, którą wspólnie wybraliśmy... to wszystko, co pozostało. Ale ponowne spotkanie z Pat było dla niego szokiem. Jakby na moment oddano mu zewnętrzną powłokę małżeństwa, które przestało już istnieć, które w istocie nigdy nie istniało — a jednak ta obrączka jest jego namacalnym dowodem. Może on zresztą zniknąć, jeśli Pat kiedykolwiek przyjdzie ochota usunąć również ten, ostatni ślad.

— Cześć, Joe Chip — odezwała się do niego swym chłodnym, niemal drwiącym głosem, przyglądając mu się uważnie, taksując go wzrokiem.

— Cześć — odpowiedział niezręcznie. Inni również zaczęli się z nim witać, ale wydawało się to mniej istotne. Pat skupiła na sobie całą jego uwagę.

— A gdzie jest Al Hammond? — spytał Don Denny.

— Al nie żyje, Wendy Wright również — powiedział Joe.

— Wiemy już o Wendy — powiedziała spokojnie Pat.

— Nie, nie wiedzieliśmy — odezwał się Don Denny. — Przypuszczaliśmy, ale nie byliśmy pewni. W każdym razie ja nie byłem. Co im się stało? Kto ich zabił? — zwrócił się do Joego.

— Umarli z wyczerpania — odparł Joe.

— Dlaczego? — spytał szorstko Tito Apostos, wciskając się w krąg osób otaczających Joego.

— Ostatnią rzeczą, jaką nam powiedziałeś, Joe — odezwała się Pat Conley — wtedy w Nowym Jorku, zanim wyszedłeś z Hammondem. . .

— Wiem, co powiedziałem — oświadczył Joe.

— Mówiłeś coś o latach — ciągnęła Pat. — Powiedziałeś: „Za wiele upłynęło czasu”. Co to znaczy? Czy ma to jakiś związek z czasem?

— Panie Chip — odezwała się podekscytowanym głosem Edie Dom — odkąd tu przybyliśmy, to miejsce, to miasto przeszło radykalne zmiany. Nikt z nas tego nie pojmuje. Czy pan dostrzega to samo co my? — ruchem ręki ogarnęła dom przedpogrzebowy, ulice i inne budynki.

— Nie wiem na pewno, co wy widzicie — powiedział Joe.

— Daj spokój, Chip — powiedział z gniewem Tito Apostos. — Nie kręć. Na miłość boską, powiedz nam po prostu, jakie wrażenie robi na tobie to miasto. Ten pojazd — wskazał willysa-knighta. — Przyjechałeś nim. Powiedz nam, co to za wóz, którym tu przybyłeś.

Wszyscy czekali, ze skupieniem wpatrując się w Joego.

— Panie Chip — wyjął Sammy Mundo — to przecież prawdziwy stary samochód, no nie? Ile dokładnie ma on lat?

— Sześćdziesiąt dwa — odparł Joe po chwili namysłu.

— Byłby więc z roku 1930 — odezwała się Tippy Jackson do Dona Denny'ego. — To mniej więcej tak, jak przypuszczaliśmy.

— Sądziłeś, że z roku 1939 — spokojnie oznajmił Joemu Don Denny. W jego głosie, opanowanym, poważnym, beznamietnym barytonie nie było ani śladu zbędnego podniecenia. Nawet w takich okolicznościach.

— Ustalić datę było stosunkowo łatwo — powiedział Joe. — W moim nowojorskim mieszkaniu zajrzałem do gazety. Był dwunasty września. Dziś jest więc trzynasty września 1939 roku. Francuzi myślą, że przełamali linię Zygfrйда.

— Co skądinąd jest szalenie zabawne — odezwał się Jon Ild.

— Miałem nadzieję, że jako grupa istniejecie na późniejszym etapie rzeczywistości — stwierdził Joe. — No cóż, tak wygląda sytuacja.

— Jeśli jest rok 1939, to musimy to przyjąć do wiadomości — odezwał się Fred Zafsky wysokim, skrzeczącym głosem. — Oczywiście wszyscy przeżywamy to w taki sam sposób. Jakaż jest inna możliwość? — Energicznie gestykulował swymi długimi rękami, jakby chcąc skłonić pozostałych do opowiedzenia się po jego stronie.

— Uspokój się, Zafsky — powiedział zniecierpliwiony Tito Apostos.

Joe Chip zwrócił się do Pat.

— A co ty o tym sądzisz?

Pat wzruszyła ramionami.

— Nie wzruszaj ramionami. Odpowiedz mi.

— Cofnęliśmy się w czasie — powiedziała Pat.

— Niezupełnie — zaoponował Joe.

— A więc co twoim zdaniem zrobiliśmy? Posunęliśmy się w czasie naprzód?

— Nie ruszyliśmy się z miejsca — powiedział Joe. — Jesteśmy tam, gdzie byliśmy zawsze. Ale z jakiegoś powodu... istnieje szereg możliwych przyczyn... rzeczywistość przeszła proces regresji; straciła dotychczasowe trwałe punkty oparcia i cofnęła się do poprzedniego etapu. Do etapu, na jakim znajdowała się pięćdziesiąt trzy lata temu. Może zresztą nastąpić jej dalszy regres. W tej chwili interesuje mnie bardziej to, czy ukazał się wam Runciter.

— Runciter — odezwał się Don Denny, tym razem z niepotrzebnym podnieceniem w głosie — leży w tym budynku w swojej trumnie, martwy jak śledź. Jest to jedyna forma, w jakiej się nam ukazał, i nie zobaczymy go już w żadnej innej postaci.

— Czy słowo „Ubik” kojarzy się panu z czymkolwiek, panie Chip? — spytała Franczy Spanish.

Musiał skupić się przez moment, by pojąć sens jej pytania.

— Na miłość boską — odezwał się wreszcie — czy nie umie pani odróżnić widzenia...

— Franczy miewa sny — wyjaśniła Tippy Jackson. — Zawsze je miała. Opowiedz mu swój sen o Ubiku, Franczy. — Zwróciła się do Joego. — Ona opowie panu teraz swój... jak go nazwała... sen o Ubiku. Przyśnił się on jej ubiegłej nocy.

— Nazywam go tak, gdyż w istocie był to sen o Ubiku — powiedziała z zapalem Francesca Spanish, splatając dłonie w sposób, który wskazywał nerwowe podniecenie. — Niech pan posłucha, panie Chip: mój sen różnił się od tych, jakie miewałam do tej pory. Z nieba wysunęła się wielka ręka, jakby dłoń i ramię Boga. Była ogromna, wielkości góry. Zdawałam sobie w tym momencie sprawę, że chodzi o coś ważnego. Dłoń była zacisnięta w podobną do skały pięść, a ja wiedziałam, że wewnątrz niej znajduje się jakaś cenna rzecz, od której zależało moje życie i życie wszystkich mieszkańców Ziemi. Czekałam, aż dłoń się otworzy, a kiedy to w końcu nastąpiło, ujrzałam, co w niej było.

— Puszka z aerozolem — stwierdził sucho Don Denny.

— Na puszcze tej — ciągnęła Franczy Spanish — wielkimi złotymi literami, które świeciły jak złotawy płomień, napisane było jedno tylko słowo: Ubik. Nic więcej. Tylko ten dziwny wyraz. A potem dłoń zacisnęła się znowu i całe ramię znikło za warstwą szarych chmur, jakby cofnięte w górę. Dziś, przed rozpoczęciem uroczystości pogrzebowych, zajrzałam do słownika i zatelefonowałam do biblioteki publicznej. Nikt jednak nie zna tego słowa ani nawet nie wie, w jakim ono jest języku; nie zawiera go też słownik. Pracownik biblioteki twierdzi, że nie jest to wyraz angielski. Istnieje jedno słowo łacińskie, bardzo do niego podobne: *ubique*. Znaczy ono...

— ...wszędzie — powiedział Joe.

— Tak jest, znaczy właśnie to. — Franczy Spanish kiwnęła głową. — Ale nie ma słowa: „Ubik”, a tak właśnie wyglądało ono w tym śnie.

— Oba słowa mają to samo znaczenie — stwierdził Joe. — Różnią się jedynie pisownią.

— Skąd wiesz? — spytała przekornie Pat Conley.

— Wczoraj ukazał mi się Runciter — wyjaśnił Joe. — Występował w reklamówce telewizyjnej, nagranej przed jego śmiercią. — Nie wdawał się w szczegóły; cała sprawa wydawała się zbyt skomplikowana, by można ją było dokładnie wyjaśnić, zwłaszcza w tym momencie.

— Jesteś żalosnym głupcem — powiedziała do niego Pat Conley.

— Dlaczego? — spytał.

— Czy uważasz to za ukazanie się osoby zmarłej? Równie dobrze możesz uznać za formę pojawienia się jego listy napisane przed śmiercią. Albo biurowe notatki, które sporządził w ciągu wielu lat. Albo nawet...

— Idę do środka, żeby po raz ostatni spojrzeć na Runcitera — powiedział

Joe. Oddalił się od pozostałych członków grupy, którzy pozostali na miejscach, i wszedł po szerokich, drewnianych schodach do ciemnego, chłodnego domu przedpogrzebowego.

Pustka. Nie było tu żywej duszy. Ujrzał jedynie dużą salę z wieloma rzędami krzeseł, przypominających kościelne ławki, i stojącą w przeciwnym końcu ozdobioną kwiatami trumnę. W małym bocznym pokoju stały staromodne, wyposażone w dmuchawę organy i kilka składanych drewnianych krzeseł. Unosiła się tu woń kurzu i kwiatów; ta wstrętna, słodkawa mieszanka zapachów wydawała mu się okropna. Pomyśleć tylko, ilu mieszkańców stanu Iowa powitało wieczność w tych obojętnych czterech ścianach. Lakierowane podłogi, chustki do nosa, grube, ciemne wełniane garnitury... i tak dalej, aż do miedziaków, którymi przykrywa się oczy zmarłych. I organy, grające krótkie, rytmiczne psalmy.

Doszedł do trumny, wahał się chwilę i zajrzał do wnętrza.

W kącie trumny leżał stos osmalonych, wysuszonych kości, a na jego wierzchołku cienka jak papier czaszka, wykrzywiona w jego stronę drwiącym grymasem. Zapadnięte oczy przypominały wyschnięte winogrona. Wokół małej kupki szczątków Runcitera rozsiane były strzępki materiału o włóknach sterczących jak szczecina — jak gdyby przyniesione tam przez wiatr. Jakby zwłoki, oddychając, same się nimi przysypały w trakcie słabnącego cyklu dychawicznych wdechów i wydechów, który teraz ustał już całkowicie. Wszystko było zupełnie nieruchome.

Tajemniczy proces zmian, który zniszczył też Wendy i Ala, najwyraźniej dobiegł już końca dawno temu. Wiele lat temu, pomyślał Joe, przypominając sobie Wendy.

Czy widzieli go pozostali członkowie grupy? Czy też wydarzyło się to już po ceremonii? Joe wyciągnął rękę, chwycił dębowe wieko trumny i zamknął je. Uderzenie drewna o drewno rozległo się echem w pustej sali domu przedpogrzebowego, ale nikt go nie usłyszał, nikt się nie zjawił.

Oślepiony przez łzy, które wycisnął z jego oczu lęk, wydostał się z zakurzonej, cichej sali i znów znalazł się w słabym świetle słonecznym późnego popołudnia.

— Co się stało? — spytał Don Denny, gdy na nowo przyłączył się do grupy.

— Nic — odparł Joe.

— Wyglądasz jak śmiertelnie przestraszony głupiec — powiedziała agresywnym tonem Pat Conley.

— Nic się nie stało! — spojrzał na nią z głęboką, gwałtowną wrogością.

— Czy będąc tam, nie spotkałeś przypadkiem Edie Dorn? — spytała Tippy Jackson.

— Znikła gdzieś — wyjaśnił mu Jon Ild.

— Ale przecież dopiero co tu była — zaprotestował Joe.

— Mówiła przez cały dzień, że jest jej okropnie zimno i że jest zmęczona — mówił Don Denny. — Być może wróciła do hotelu; wspominała już wcześniej, że

zaraz po uroczystości chce się przespać. Zapewne nic jej nie jest.

— Zapewne już nie żyje — powiedział Joe. Zwracając się do wszystkich ciągnął: — Myślałem, że już zrozumieliście to. Jeżeli ktokolwiek z nas odłączy się od grupy, musi umrzeć. Zdarzyło się to już Wendy, Alowi, Runciterowi i... — przerwał nagle.

— Runciter zginął podczas wybuchu — stwierdził Don Denny.

— Wszyscy zginęliśmy podczas wybuchu — powiedział Joe. — Wiem, bo poinformował mnie o tym Runciter: napisał to na ścianie męskiej toalety w naszym nowojorskim biurze. Widziałem też ponownie ten napis na...

— To szaleństwo, co ty opowiadasz — przerwała mu Pat Conley. — Czy Runciter został zabity, czy nie? A my: zginęliśmy czy żyjemy? Mówisz na zmianę raz tak, raz owak. Czy nie możesz trzymać się jednej wersji?

— Staraj się być konsekwentny — wtrącił się Jon Ild.

Pozostali kiwali głowami, wyrażając tym gestem niemą solidarność. Ich twarze były skurczone i pobrużdżone przez lęk.

— Mogę wam powiedzieć, jak brzmiał napis na ścianie — oświadczył Joe. — Mogę opowiedzieć wam o zdezelowanym magnetofonie i znajdującej się przy nim instrukcji obsługi. Mogę was poinformować o reklamówce telewizyjnej Runcitera, o kartce, którą znaleźliśmy w kartonie papierosów w Baltimore i o etykiecie butelki z eliksirem Ubique. Ale nie potrafię tego wszystkiego połączyć w logiczną całość. Tak czy owak musimy dotrzeć do waszego hotelu i postarać się znaleźć Edie Dorn, zanim uschnie i odda ducha. Gdzie możemy znaleźć taksówkę?

— Dom przedpogrzebowy dostarczył nam wóz, którego możemy używać podczas pobytu w Des Moines — powiedział Don Denny. — To ten pierce-arrow, który tu stoi. — Wskazał samochód palcem.

Pospiesznie ruszyli w jego stronę.

— Wszyscy się nie zmieścimy — powiedziała Tippy Jackson, gdy Don Denny otworzył szeroko ciężkie, żelazne drzwi i wszedł do środka.

— Spytajcie Blissa, czy możemy wziąć willysa-knighta — polecił Joe. U uruchomił silnik pierce'a-arrowa i gdy wszyscy, którym udało się zmieścić, znaleźli się już w środku, wyjechał nim na ruchliwą główną ulicę Des Moines. Willys-knight jechał tuż za nimi. Jego klakson odzywał się posępnie od czasu do czasu, by poinformować Joego, że drugi wóz jedzie tuż za nim.

Rozdział 12

Umieść w swym tosterze smakowity Ubik, sporządzony wyłącznie ze świeżych owoców i życiodajnego ekstraktu z jarzyn. Ubik zamienia śniadanie w ucztę, ożywia twój poranek. Bezpieczny przy użyciu według instrukcji.

Umieramy jedno po drugim, myślał Joe Chip, przedzierając się dużym samochodem przez uliczny ruch. W mojej teorii jest jakiś błąd. Edie, przebywając w grupie, powinna być bezpieczna. Ja zaś. . .

To ja powinienem być umrzeć, pomyślał. Podczas tego powolnego lotu z Nowego Jorku.

— Musimy wprowadzić zasadę — zwrócił się do Dona Denny'ego — że ktokolwiek poczuje się zmęczony, bo taki jest, jak się wydaje, pierwszy sygnał ostrzegawczy, obowiązany jest poinformować o tym pozostałych. Nie wolno też nikomu się oddalać.

— Czy słyszeliście wszyscy? — Don Denny odwrócił się do osób siedzących z tyłu. — Gdy tylko ktoś z was poczuje zmęczenie. . . nawet niezbyt silne. . . ma o tym powiadomić pana Chipa lub mnie. — Znowu zwrócił się w kierunku Joego. — I co dalej? — spytał.

— I co dalej, Joe? — powtórzyła jak echo Pat Conley. — Co robimy dalej? Powiedz nam, jak mamy postąpić. Słuchamy cię wszyscy.

— Wydaje mi się dziwne, że nie posługujesz się wcale swoimi zdolnościami — zwrócił się do niej Joe. — Obecna sytuacja wydaje mi się jak dla ciebie stworzona. Dlaczego nie możesz cofnąć się w czasie o kwadrans i przekonać Edie Dorn, że nie powinna się oddalać? Czemu nie powtórzysz tego, co zrobiłaś, gdy przedstawiałem cię Runciterowi?

— To G. G. Ashwood przedstawił mnie Runciteiowi — poprawiła go Pat.

— A więc nie zamierzasz nic zrobić? — pytał Joe.

— Panna Conley i panna Dorn pokłóciły się wczoraj podczas kolacji — powiedział, chichocząc, Sammy Mundo. — Panna Conley nie lubi jej, dlatego nie chce jej pomóc.

— Lubiłam Edie — oświadczyła Pat.

— Czy jest jakiś powód, dla którego nie korzystasz ze swych zdolności? — spytał ją Don Denny. — Joe ma rację: to dziwne i niepojęte, przynajmniej dla mnie, że nie próbujesz jej pomóc.

— Straciłam moje zdolności — powiedziała Pat po chwili. — Podczas wybuchu bomby na Lunie.

— Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? — spytał Joe.

— Do diabła, nie miałam ochoty wam o tym mówić — warknęła Pat. — Dlaczego miałabym sama z siebie informować was, że jestem bezsilna? Cały czas próbuję i zawsze bez skutku: nic się nie wydarza. Nigdy dotąd mnie to nie spotkało. Miałam te zdolności właściwie przez całe życie.

— Kiedy ty... — zaczął Joe.

— W związku z Runciterem — powiedziała Pat. — Na Lunie, od razu po wybuchu, zanim jeszcze mnie o to zapytałeś.

— A więc wiesz o tym od dawna — stwierdził Joe.

— Próbowалам ponownie w Nowym Jorku, po twoim powrocie z Zurychu, kiedy jasne było, że Wendy zdarzyło się coś strasznego. Usiłowałam też coś zrobić teraz, gdy tylko powiedziałaś, że Edie zapewne już nie żyje. Może to dlatego, że cofnęliśmy się w te archaiczne czasy; może zdolności psi nie funkcjonują w roku 1939. Ale to nie tłumaczyłoby tego, co zdarzyło się na Lunie. Chyba że już wtedy cofnęliśmy się do obecnych czasów, tylko nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. — Zapadła w ponure, skupione milczenie; z wyrazem smutku na swej pełnej życia, ruchliwej twarzy obserwowała ulice Des Moines przesuwające się za oknem samochodu.

To by się zgadzało, myślał Joe. Oczywiście, straciła już swe zdolności poruszania się w czasie. W gruncie rzeczy nie jest teraz rok 1939 — znajdujemy się całkowicie poza czasem. Wynika z tego, że Al miał rację. Napis na ścianie mówił prawdę. Znajdujemy się w stanie półżycia, jak twierdził autor wierszyków.

Nie poinformował jednak o tym współpasażerów. Po co im mówić, że sytuacja jest beznadziejna? — pomyślał. I tak wystarczająco szybko sami się o tym przekonają. Inteligentniejsi z nich, na przykład Denny, zapewne już to pojmują na podstawie tego, co powiedziałem, oraz tego, co sami przeżyli.

— Wyglądasz na bardzo zmartwionego odkryciem, że utraciła swe zdolności — odezwał się do niego Don Denny.

— No pewnie. — Joe kiwnął głową. — Miałem nadzieję, że z ich pomocą uda się zmienić sytuację.

— Tu nie chodzi tylko o to — powiedział Denny, wiedziony niezwykłą intuicją. — Poznają to po twoim... — poruszył ręką — chyba po tonie głosu. Tak czy owak, wiem, że ma to jakieś znaczenie. Że jest ważne. Że coś ci to wyjaśnia.

— Czy mam dalej jechać prosto? — spytał Joe, zwalniając przed skrzyżowaniem.

— Skręć w prawo — powiedziała Tippy Jackson.

— Zobaczysz budynek z cegły, z poruszającym się w górę i w dół neonowym napisem — powiedziała Pat. — Hotel Maremont, tak się nazywa ta okropna buda. Jedna łazienka na dwa pokoje i wanny zamiast pryszniców. I to jedzenie. Niewiarygodnie złe. Jedyнным napojem, jaki mają na składzie, jest jakiś płyn o nazwie Nehi.

— Mnie smakowało to jedzenie — powiedział Don Denny. — Prawdziwa wołowina zamiast syntetycznych protein. Świeży łosoś...

— Czy nie macie kłopotów z waszymi pieniędzmi? — spytał Joe. Usłyszał nagle wysoki, wyjący dźwięk, który rozbrzmiewał echem na całej długości ulicy.

— Co to takiego? — spytał Dona Denny'ego.

— Nie wiem — nerwowo odpowiedział Don.

— To syrena policyjna — oświadczył Sammy Mundo. — Skręciłeś, nie dając żadnego sygnału.

— Jak miałem to zrobić? — spytał Joe. — Na kolumnie kierownicy nie ma dźwigni kierunkowskazu.

— Trzeba było pokazać ręką — odparł Sammy. Syrena była już bardzo blisko. Odwróciwszy głowę, Joe dostrzegł motocykl, który akurat zrównał się z samochodem. Zwolnił, nie wiedząc, co ma zrobić.

— Zatrzymaj się przy krawężniku — poradził mu Sammy.

Joe podjechał do skraju jezdni i zahamował.

Policjant zsiadł z motocykla i podszedł do Joego szybkim krokiem. Był to młody człowiek o szczupłej, szczurzej twarzy i dużych oczach o ostrym spojrzeniu.

— Proszę o pańskie prawo jazdy — powiedział, przyjrzawszy się Joemu dokładnie.

— Nie mam go — odparł Joe. — Niech pan pisze protokół i pozwoli nam jechać. — Widział już hotel. Zwrócił się do Dona Denny'ego: — Może lepiej idź tam już i zabierz wszystkich ze sobą.

Willys-knight nadal jechał w stronę hotelu. Don Denny, Pat, Sammy Mundo i Tippy Jackson wysiedli z wozu i zostawiając Joego sam na sam z policjantem ruszyli śladem pierwszego wozu, który zaczął właśnie hamować przed budynkiem, po drugiej stronie ulicy.

— Czy ma pan jakiś dowód tożsamości? — spytał policjant.

Joe podał mu swój portfel. Używając czerwonego, kopiowego ołówka policjant wypełnił formularz, wydarł go ze swego bloczka i podał Joemu ze słowami: — Skręcanie bez sygnału. Brak prawa jazdy. Na wezwaniu napisane jest, gdzie i kiedy ma się pan stawić. — Następnie zatrasnął swój bloczek z wezwaniami, oddał Joemu portfel i powolnym krokiem wrócił do motocykla. Podkreślił obroty silnika, po czym nie oglądając się, szybko ruszył i wmieszał się w mrowie innych pojazdów.

Sam nie wiedząc, dlaczego to robi, Joe zerknął na wezwanie, nim schował je do kieszeni. Potem, powoli, przeczytał jeszcze raz. Rozpoznał charakter pisma, którym nabazgrane były kopiowym czerwonym ołówkiem następujące słowa:

Jesteście w o wiele większym niebezpieczeństwie, niż sądziłem. Słowa Pat Conley były...

Na tym wiadomość się urywała. W środku zdania. Zastanawiał się, jaki mógł być dalszy ciąg. Czy na wezwaniu nie ma jeszcze czegoś? Nie znalazł nic na odwrocie, ponownie więc przyjrzał się pierwszej stronie. Nie było tam żadnych innych ręcznie pisanych słów, ale u dołu arkusika znajdował się następujący tekst, wydrukowany drobną, nierówną czcionką:

Odwiedź aptekę Archera, sprzedającą po przystępnych cenach niezawodne środki, użyteczne w gospodarstwie domowym oraz preparaty lecznicze o sprawdzonej i wypróbowanej wartości.

Niewiele mi to mówi, pomyślał Joe. A jednak nie tego należało się spodziewać pod wezwaniem wręczonym mu przez policję drogową miasta Des Moines. Najwyraźniej był to kolejny znak, podobnie jak znajdujące się powyżej słowa napisane odręcznie czerwonym ołówkiem.

Wysiadł z samochodu i wszedł do najbliższego sklepu; sprzedawano tam gazety, słodczyce i wyroby tytoniowe.

— Czy mogę skorzystać z książki telefonicznej? — spytał właściciela, tęgiego mężczyznę w średnim wieku.

— W głębi — powiedział przyjaźnie sklepikarz, wskazując kierunek grubym kciukiem.

Joe odnalazł książkę telefoniczną i w mrocznym zakamarku ciemnego sklepi-ku zaczął w niej szukać apteki Archera. Nie było jej tam jednak.

Zamknął książkę i podszedł do sklepikarza, który akurat sprzedawał jakiemuś chłopcu paczkę wafli Necco.

— Czy nie wie pan, gdzie znajduje się apteka Archera? — zapytał go.

— Nigdzie — odparł sklepikarz. — To znaczy: teraz już nigdzie.

— Jak to?

— Została zamknięta już lata temu.

— Proszę mi jednak powiedzieć, gdzie się ona znajdowała. Może narysowałby mi pan plan trasy?

— Niepotrzebny panu plan; powiem panu, gdzie ona była. — Potężnie zbudo-

wany mężczyzna pochylił się i wyciągnął rękę w kierunku drzwi sklepu. — Czy widzi pan ten słupek z szyldem fryzjera? Niech pan dojdzie do niego i obróci się na północ. Północ jest tam — wskazał Joemu kierunek. — Zobacz pan stary, żółty budynek z ozdobnymi gzymsami. Niektóre pomieszczenia na górze są jeszcze zamieszkałe, ale lokale sklepowe na parterze zostały opuszczone. Będzie pan jednak w stanie odczytać szyld: Apteka Archera. Łatwo więc pan ją rozpozna. Było tak: stary Ed Archer zachorował na raka gardła i . . .

— Dziękuję — powiedział Joe. Wyszedł ze sklepu i znalazł się znowu na ulicy, w słabym świetle popołudniowego słońca. Szybkim krokiem przeszedł przez jezdnię w kierunku słupka i dotarłszy do tego miejsca zgodnie z instrukcją spojrział ku północy.

Daleko, w głębi ulicy dostrzegł wysoki dom, z którego odpadał już miejscami żółty tynk. Coś uderzyło go jednak w wyglądzie gmachu. Dostrzegł jego dziwne drżenie, migotanie; jak gdyby dom na zmianę to przybierał realną postać, to znów cofając się niejako, stawał się kształtem nierzeczywistym. Każda kolejna faza tego drgania trwała przez kilka sekund, potem następowało stadium odwrotne. Zmiany te odbywały się w sposób regularny, jak gdyby wywołane były przez jakiś żyjący organizm. Jakby dom był istotą żywą, pomyślał Joe.

Być może nadszedł mój koniec, przemknęło mu przez myśl. Ruszył w kierunku opuszczonej apteki, nie odrywając od niej wzroku; obserwował pulsowanie budynku i zmiany zachodzące między obydwoma fazami jego wyglądu. Zbliżywszy się bardziej, zaczął dostrzegać charakter zmian, różniących od siebie oba bieguny.

W momentach, kiedy budynek wydawał się bardziej realny, przybierał postać detalicznego magazynu artykułów użytku domowego z czasów współczesnych Joemu. Był to samoobsługowy sklep, prowadzony przez aparaty homeostatyczne, w którym kupić było można dziesięć tysięcy różnych artykułów, składających się na wyposażenie nowoczesnego apartamentu. Odkąd Joe stał się dorosły, często korzystał z bardzo wygodnych, kontrolowanych przez komputery sklepów tego typu.

Natomiast w okresach swej nierealności budynek zamieniał się w małą, starodawną aptekę z rokokowymi ozdóbkami. W jej małych oknach wystawowych Joe zobaczył pasy przepuklinowe, rzędy szkieł do okularów, moździerz z tłuczkiem, słoiki z różnymi pigułkami, ręcznie wykonany napis: PIJAWKI, duże butelki ze szklanymi korkami, zawierające dziedzictwo Pandory: skuteczne specyfiki i bezwartościowe lekarstwa. . . Dostrzegł też słowa: APTEKA ARCHERA, namalowane na gładkiej drewnianej listwie biegnącej ponad oknami. Po pustym, opuszczonym, zlikwidowanym sklepie nie było ani śladu: etap z roku 1939 został w jakiś sposób pominięty.

Wchodząc więc do apteki, pomyślał Joe, albo odbędę dalszą drogę wstecz, albo znajdę się we współczesnej mi epoce. Wygląda na to, że trafię w czasy jeszcze

wcześniejsze, sprzed roku 1939.

Przez chwilę stał przed budynkiem, obserwując bezpośrednio obydwie wypierające się nawzajem fazy, przypominające mu przyływy i odpływy. Poczł, że jakaś siła popycha go naprzód, potem w tył, potem znowu naprzód. Mijający go przechodnie nie zwracali na nic uwagi; najwyraźniej żaden z nich nie dostrzegał tego, co widział Joe: ani apteki Archera, ani sklepu gospodarstwa domowego z roku 1992. To wydawało się Joemu najbardziej zagadkowe.

W chwili gdy budynek przybrał właśnie swą starą postać, Joe zrobił krok naprzód, przeszedł przez próg i znalazł się w aptece Archera.

Po prawej stronie od wejścia znajdowała się długa lada z marmurowym blatem. Na półkach stały wyblakłe pudełka. Cały sklep wydawał się powleczoney czernią, nie tylko ze względu na brak światła, lecz z powodu użytych w nim kolorów ochronnych. Jakby chodziło o to, by jego wnętrze zlewało się i harmonizowało z mrokiem, by zawsze było ciemno. Ciężka, gęsta atmosfera sklepu przytłoczyła Joego: czuł jej brzemie na swych barkach, jak gdyby obładowano go pokaznym ładunkiem. Drgania ustały, w każdym razie on przestał je odczuwać, odkąd znalazł się wewnątrz. Nie był pewny, czy dokonał słusznego wyboru; teraz, ponieważ, zastanawiał się nad tym, co spowodowałoby rozwiązanie alternatywne. Być może powrót do moich czasów, pomyślał. Wydostanie się z tego zdegenerowanego świata, z którym wiążą się nieustanne regresywne zmiany czasu, może nawet na zawsze. No cóż, stało się. Snuł się po aptece, przyglądając się mosiężnym i drewnianym, wykonanym najwyraźniej z orzecha włoskiego, elementom wnętrza, wreszcie doszedł do znajdującego się w głębi okienka, w którym przyjmowano recepty.

W okienku zjawił się Szczupły młody człowiek w popielatym ubraniu zapiętym na wiele guzików oraz kamizelce. W milczeniu stanął naprzeciw Joego. Przez dłuższą chwilę obaj przyglądali się sobie bez słowa. Ciszę przerywał jedynie głos wiszącego na ścianie zegara, na którego okrągłej tarczy znajdowały się rzymskie cyfry; jego wahadło, tykając nieubłaganie, kołysało się w prawo i w lewo. Jak wahadła wszystkich zegarów. Na całym świecie.

— Poproszę o słoik Ubika — powiedział Joe.

— Maści? — spytał sprzedawca. Wydawało się, że ruch jego warg nie jest zsynchronizowany z głosem; Joe zobaczył najpierw, jak jego usta otwierają się, potem dostrzegł ruch warg i dopiero po wyraźnej przerwie usłyszał słowa.

— A więc jest to maść — powiedział. — Sądziłem, że stosuje się go wewnętrznie.

Aptekarz nie odpowiadał przez chwilę. Jakby oddzielała ich przepaść — albo cała epoka. Potem jego usta znów się otwarły, wargi poruszyły się raz jeszcze. I po chwili Joe usłyszał słowa.

— Ubik przeszedł wiele przeobrażeń, w miarę jak producent stopniowo go udoskonalął. Być może zna pan poprzedni produkt, nie zaś najnowszy. — Sprze-

dawca zrobił półobrót; jego sposób ruszania się przypominał film operujący zatrzymanymi klatkami: posuwał się powolnym, odmierzonym, przypominającym taniec krokiem. Rytm ten mógł zadowolić czyjeś poczucie estetyki, ale był ogromnie denerwujący. — Ostatnio mieliśmy wiele trudności ze zdobyciem Ubika — powiedział wpływając ponownie w pole widzenia Joego; w prawej ręce trzymał płaską, zalaną ołowiem puszkę, którą położył przed Joem na ladzie. — Ten preparat występuje w formie proszku, który należy zmieszać ze smołą. Smoła sprzedawana jest osobno, mogę pana w nią zaopatrzyć za bardzo małą opłatą. Proszek Ubik jest natomiast drogi: czterdzieści dolarów.

— Jakie są jego składniki? — spytał Joe. Cena przeraziła go.

— To tajemnica producenta.

Joe wziął zaplombowaną puszkę i uniósł ją do światła.

— Czy mogę przeczytać napis na etykiecie?

— Oczywiście.

W słabym świetle docierającym z ulicy udało mu się w końcu odczytać tekst wydrukowany na nalepce. Stanowił on dalszy ciąg odręcznej notatki, którą znalazł na formularzu policji drogowej — i rozpoczynał się dokładnie w tym miejscu, w którym urwały się napisane ręką Runcitera słowa.

... absolutnym kłamstwem. Wcale nie próbowała, powtarzam: nie próbowała się posłużyć swymi zdolnościami bezpośrednio po wybuchu bomby. Nie usiłowała też przywrócić do życia Wendy Wright, Ala Hammonda ani Edie Dorn. Ona okłamuje cię, Joe — i zmusza mnie do ponownego przemyślenia całej sytuacji. Dam ci znać, gdy tylko dojdę do jakichś wniosków. Tymczasem bądź bardzo ostrożny. I jeszcze jedno: proszek Ubik ma uniwersalne własności lecznicze, o ile ściśle i skrupulatnie przestrzega się zaleceń dotyczących jego stosowania.

— Czy mogę zapłacić czekiem? — spytał Joe aptekarza. — Nie mam przy sobie czterdziestu dolarów, a Ubik jest mi bardzo potrzebny. To dosłownie sprawa życia lub śmierci. — Sięgnął do kieszeni marynarki po swą książeczkę czekową.

— Pan nie mieszka w Des Moines, prawda? — spytał sprzedawca. — Poznaję to po pańskim akcencie. Nie. Musiałbym pana znać, żeby przyjąć czek na tak dużą sumę. W ciągu ostatnich kilku tygodni otrzymaliśmy sporo czeków bez pokrycia, wszystkie od ludzi spoza naszego miasta.

— A więc może wystarczy karta kredytowa?

— Co to jest karta kredytowa? — zdziwił się aptekarz.

Joe odłożył puszkę z Ubikiem, odwrócił się bez słowa i wyszedł z apteki na ulicę. Przeszedł na drugą stronę jezdni i ruszył w kierunku hotelu. Potem zatrzymał się i raz jeszcze spojrzął na aptekę.

Ujrzał jedynie zaniedbany, żółty budynek. Okna górnych pięter zasłonięte były firankami, na parterze zaś, całkowicie opuszczonym, zabite deskami. Zaglądając przez szpary między nimi Joe ujrzał otwierającą się za rozbitą szybą czarną czeluść wnętrza, całkowicie pozbawionego życia.

A więc tak wygląda sytuacja, pomyślał. Straciłem szansę nabycia puszek proszku Ubik. Nawet gdybym znalazł leżące na ulicy czterdzieści dolarów. Ale dotarł do mnie dalszy ciąg ostrzeżenia Runcitera. Nie wiadomo zresztą, ile jest ono warte. Może to być nieprawda. Niewykluczone, że to tylko błędna, zdeformowana opinia, która zrodziła się w zamierającym umyśle. A nawet produkt umysłu, który już przestał żyć — tak jak ta reklamówka telewizyjna. Boże! — pomyślał posępnie. A jeżeli to prawda?

Niektórzy przechodnie zaczęli z uwagą obserwować niebo. Widząc to, Joe również podniósł wzrok i osłaniając oczy przed ukośnie padającymi promieniami słońca, dostrzegł małą kropkę, zostawiającą za sobą białą smugę dymu: jakiś wysoko lecący samolot zajęty był pisaniem po niebie. Na oczach Joego i innych przechodniów szybko rozwiewane przez wiatr pasma ułożyły się w napis:

GŁOWA DO GÓRY, JOE!

Łatwo to powiedzieć, pomyślał. Albo napisać po prostu odpowiednie słowa.

Pochylony pod brzemieniem bolesnego przygnębienia oraz pierwszych niewyraźnych jeszcze objawów powracającego lęku, poczłapał w kierunku hotelu Maremont.

W wysoko sklepionym, prowincjonalnie urządzonym hallu, z czerwonym dywanem, spotkał Dona Denny'ego.

— Znaleźliśmy ją. Już po wszystkim — oznajmił mu Don. — Przynajmniej dla niej. Nie był to bynajmniej miły widok. Teraz zniknął Fred Zafsky. Myślałem, że jest w tamtym wozie, a oni sądzili, że pojechał z nami. Najwyraźniej nie wsiadł do żadnego z aut: musi być nadal w domu przedpogrzebowym.

— Wszystko toczy się teraz coraz szybciej — powiedział Joe. Zastanawiał się, czy Ubik, nęcący ich stale, pojawiający się nieskończenie wiele razy pod różnymi postaciami, mógłby jakoś wpłynąć na sytuację. Chyba nigdy się tego nie dowiemy doszedł do wniosku.

— Czy możemy się tu czegoś napić? — spytał Dona Denny'ego. — Jak z pieniędzmi? Moje są bez wartości.

— Za wszystko płaci dom przedpogrzebowy. Takie instrukcje otrzymali od Runcitera.

— Łącznie z rachunkiem za hotel? — Wydało mu się to dziwne. W jaki sposób to wszystko zostało zorganizowane? — Chcę ci pokazać to wezwanie — mówił

dalej do Dona Denny'ego. — Dopóki jesteśmy sami. — Podał mu kartkę. — Znam też dalszy ciąg tego listu. Po to właśnie poszedłem.

Denny odczytał wiadomość raz, potem drugi raz. Wreszcie powoli oddał kartkę Joemu.

— Zdaniem Runcitera Pat okłamuje nas.

— Tak — powiedział Joe.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? — Don gwałtownie podniósł głos. — Wynika z tego, że ona była w stanie przekreślić to wszystko. Wszystko, co się nam przytrafiło, poczynając od śmierci Runcitera.

— Być może oznacza to jeszcze coś więcej — stwierdził Joe.

— Masz rację — przyznał Don, patrząc mu w oczy. — Tak, masz zupełną rację. — Początkowo był zupełnie zdezorientowany, potem dotarł do niego sens słów Joego. Na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia, zabarwionego rozpaczą i bólem.

— Nie bardzo mam ochotę zastanawiać się nad tym — powiedział Joe. — Nie podoba mi się to wszystko. Cała sprawa wygląda gorzej. O wiele gorzej niż sądziłem, niż wyobrażał to sobie na przykład Al Hammond. Choć według jego opinii sytuacja była wystarczająco zła.

— Ale być może sprawa wygląda właśnie tak — powiedział Denny.

— Przez cały czas, kiedy to wszystko się działo — mówił Joe — usiłowałem zrozumieć przyczynę. Jestem pewien, że gdybym ją znał... — Ale Alowi nigdy nie przyszło to do głowy, pomyślał. Obydwaj świadomie pominęliśmy w swym rozumowaniu tę ewentualność. I to nie bez powodu.

— Nie mów nic pozostałym — powiedział Don. — Może sytuacja wygląda inaczej. A nawet jeśli taka jest prawda, to świadomość tego nic im nie pomoże.

— Świadomość czego? — rozległ się tuż za ich plecami głos Pat Conley. — Co im nic nie pomoże? — Obeszła ich i stanęła przed nimi; jej bystre, nasycone czernią oczy były zupełnie spokojne. Spokojne i poważne. — To okropne, co stało się z Edie Dorn. I z Fredem Zafskym. Myślę, że i on nie żyje. Niewiele nas już teraz zostało, no nie? Ciekawa jestem, kto będzie następny. — Wydawała się pogodna i zupełnie opanowana. — Tippy położyła się w swoim pokoju. Nie mówiła, że czuje się zmęczona, ale sądzę, że tak musimy to rozumieć. Czy zgadzacie się ze mną?

— Tak, masz rację — powiedział po chwili Don Denny.

— Jak ci się powiodło z tym wezwaniem, Joe? — spytała Pat, wyciągając rękę. — Czy możesz mi je pokazać?

Joe podał jej kartkę.

Nadszedł już ten moment, pomyślał. Wszystko dzieje się teraz, wszystko skurczyło się do chwili obecnej. Do jednej sekundy.

— Skąd policjant znał moje nazwisko? — spytała Pat, zerknąwszy na blankiet. Podniosła wzrok i przyjrzała się bacznie Joemu, a potem Donowi Denny'emu. —

Dlaczego jest tu coś o mnie?

Nie rozpoznała charakteru pisma, pomyślał Joe. To dlatego, że nie zna go tak dobrze, jak my wszyscy.

— To Runciter — powiedział. — Ty to wszystko zrobiłaś, prawda, Pat? Ty i twój talent. Znajdujemy się tu w wyniku twojej działalności.

— I ty nas stopniowo zabijasz — zwrócił się do niej Don Denny. — Jedno po drugim. Ale dlaczego? — Mówił teraz do Joego. — Jaki mogłaby mieć powód? Przecież w gruncie rzeczy nawet nas nie zna.

— Czy z tym zamiarem zgłosiłaś się do Korporacji Runcitera? — pytał Joe. Usiłował bezskutecznie zachować spokojny ton; słyszał jednak, że głos mu drży i poczuł nagły przyływ pogardy do siebie. — Wynalazł cię i przyprowadził G. G. Ashwood. Był na usługach Hollisa, prawda? Czy w gruncie rzeczy nie to było nieszczęśliwym wypadkiem, który nas spotkał; *nie wybuch bomby, tylko ty?*

Pat uśmiechnęła się.

I cały hall hotelowy eksplodował tuż przed nosem Joego.

Rozdział 13

Unieś ramiona i nabierz piękniejszych kształtów. Nowy, nadzwyczaj wygodny biustonosz Ubik oraz przedłużony specjalny biustonosz Ubik sprawią, że będziesz mogła unieść ramiona i nabrać piękniejszych kształtów. Po dopasowaniu zgodnie z instrukcją zapewnią przez cały dzień niezawodne, relaksujące wsparcie dla biustu.

Ciemność kłębiła się wokół przylegając do jego ciała jak zakrzepla, wilgotna, ciepła wełna. Przerazenie, które odczuwał dotąd jedynie jako groźbę, w połączeniu z ciemnością stało się czymś spełnionym i konkretnym. Nie byłem dość ostrożny, zdał sobie sprawę. Nie posłuchałem Runcitera — pokazałem jej to wezwanie.

— O co chodzi, Joe? — w głosie Dona Denny’ego czuło się silny niepokój. — Co ci się stało?

— Nic mi nie jest. — Zaczynał już coś widzieć. W ciemności pojawiły się poziome, jaśniejsze, szare pasy, jakby zaczynała się ona rozwiewać. — Jestem tylko zmęczony — powiedział i zdał sobie sprawę, jak bardzo znużenie owładnęło jego ciałem. Nie pamiętał tak wielkiego wyczerpania. Nigdy dotąd czegoś takiego nie przeżył.

— Pomogę ci dojść do krzesła — powiedział Don Denny.

Joe poczuł zaciskającą się na ramieniu dłoń; zdał sobie sprawę, że Don go prowadzi, i ta konieczność kierowania jego krokami wywołała w nim nagły lęk. Uwolnił się od uchwytu.

— Nic mi nie jest — powtórzył. Zaczęła się przed nim materializować postać Denny’ego. Skupił na niej całą uwagę, a po chwili dojrzał wynurzający się z ciemności hall hotelowy z przełomu wieku, ozdobny kryształowy kandelabr i skomplikowany system żółtych lamp. — Pozwól mi usiąść — poprosił. Szukając po omacku, znalazł krzesło z plecionym trzciniowym siedzeniem.

— Co mu zrobiłaś? — szorstko zwrócił się Don Denny do Pat.

— Nic mi nie zrobiła — odezwał się Joe, starając się nadać swemu głosowi stanowczy ton. Załamał się on jednak, piskliwie, nienaturalnie. Jakby został nagrany, a potem odtworzony z taśmy ze zbyt wielką prędkością, pomyślał. Cienki, ostry głos. Jakby nie mój własny.

— To prawda — odezwała się Pat. — Nie zrobiłam nic ani jemu, ani nikomu innemu.

— Chciałbym pójść na górę i położyć się — powiedział Joe.

— Wynajmę ci pokój — powiedział nerwowo Don Denny. Krążył wokół Jogo, pojawiając się i znikając w słabnącym co chwila świetle wiszących w hallu lamp. Przygasając nabierało ono brudnoczerwonej barwy, potem stawało się silniejsze, by po chwili znowu osłabnąć. — Zostań tutaj na tym krześle, Joe. Zaraz wrócę.

Denny pospieszył w kierunku recepcji, Pat pozostała na miejscu.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić? — spytała życzliwym tonem,

— Nie — odparł. Wypowiedział to słowo z ogromnym wysiłkiem. Zdawało się ono uwięzione wewnątrz znajdującej się w jego sercu jaskini, pustki, która powiększała się z każdą sekundą. — Może papierosa — powiedział. Wygłoszenie całego zdania wyczerpało go; czuł, jak tłucze się w nim serce. Ten nierówny rytm pogorszył jeszcze jego stan: miał wrażenie, że obciąża go dodatkowe brzemie, jakby ucisk olbrzymiej dłoni. — Czy masz papierosa? — spytał, z wysiłkiem podnosząc wzrok i przyglądając się jej w migotliwym blasku przymglonego czerwonego światła.

— Nie mam — odparła Pat. — Bardzo mi przykro.

— Co... mi jest? — spytał Joe.

— Może to zanik akcji serca — stwierdziła Pat.

— Czy myślisz, że mają tu jakiegoś lekarza hotelowego?

— Wątpię.

— Nie mogłabyś się dowiedzieć? Poszukać go? — udało mu się wydobyć z siebie słowa.

— Myślę, że ma to tło wyłącznie psychosomatyczne. Nie jesteś w gruncie rzeczy chory. Przejdzie ci to.

— Mam dla ciebie pokój, Joe — oznajmił, wracając do nich, Don Denny. — Na drugim piętrze, numer 203. — Przerwał na chwilę; Joe poczuł, że przygląda mu się badawczo, z wielką troską. — Joe, wyglądasz okropnie. Wydajesz się słaby, jakbyś miał za chwilę ulecieć z wiatrem. Mój Boże, czy wiesz, z czym mi się to kojarzy? Tak wyglądała Edie Dorn, kiedy ją znaleźliśmy.

— Ależ nic podobnego — odezwała się Pat. — Edie umarła. Joe żyje. Prawda, Joe?

— Chciałbym pójść na górę i się położyć — powiedział Joe. Jakimś sposobem podniósł się z krzesła. Jego serce tłukło się jak gdyby z wahaniem: na chwilę

przestało bić, potem znowu podejmowało pracę, łomocząc jak pionowo zawieszona sztaba żelaza, opadająca na cementową płytę. Każde uderzenie wstrząsało całym jego ciałem. — Gdzie jest winda? — zapytał.

— Zaprowadzę cię do niej — odezwał się Don. Jego dłoń zacisnęła się znów na ramieniu Joego. — Jesteś słaby jak dziecko. Co się z tobą dzieje. Joe? Czy możesz mi odpowiedzieć? Wiesz, co to jest? Spróbuj mi wytłumaczyć.

— On tego nie wie — stwierdziła Pat.

— Uważam, że trzeba sprowadzić tu lekarza — oświadczył Denny. — I to natychmiast.

— Nie — odezwał się Joe, myśląc: Poczuję się lepiej, gdy się położę. Czuł, że pociąga go jakaś potężna moc, równa sile przyływów i odpływów poruszających oceany; nakazywała mu ona, by się położył. Pod jej wpływem odczuwał jedną tylko potrzebę: wyciągnąć się na plecach, znaleźć się samotnie w swoim pokoju hotelowym. Tam, gdzie nikt go nie zobaczy. Muszę się stąd wydostać, myślał. Muszę być sam. Dlaczego? Sam nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Po prostu ogarnęła go irracjonalna, instynktowna potrzeba samotności; nie potrafił jej pojąć ani wyjaśnić.

— Pójdę po lekarza — powiedział Denny. — Pat, zostań z nim tutaj. Nie spuszczaaj go z oczu. Postaram się jak najszybciej wrócić.

Ruszył przed siebie. Joe mgliście widział jego oddalającą się postać. Miał wrażenie, że Denny kurczy się i maleje; w końcu znikł mu z oczu całkowicie. Pozostała Pat Conley, ale nie czuł się przez to ani trochę mniej samotny. Mimo jej obecności miał poczucie całkowitej izolacji.

— No więc, Joe — odezwała się — na co masz ochotę? Powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić.

— Winda. . . — wykrztusił.

— Chcesz, żebym zaprowadziła cię do windy? Ależ chętnie. — Ruszyła na przód, on zaś w miarę swych możliwości starał się iść za nią. Miał wrażenie, że Pat posuwa się niezwykle szybko. Nie oglądała się ani nie czekała na niego, tylko z najwyższym trudem udawało mu się nie tracić jej z oczu. Czy ona naprawdę porusza się tak szybko? — zadał sobie pytanie. Czy może tylko tak mi się wydaje? Przyczyn należy chyba szukać we mnie: jestem niezwykle powolny, przytłoczony siłą ciężenia.

Czuł się tak, jakby jego ciało było tylko masą. Odbierał siebie wyłącznie jako przedmiot, poddany działaniu ciężenia. To była jego jedyna cecha, jedyny atrybut. I jedyne wrażenie: poczucie bezwładu.

— Nie tak prędko — powiedział. Nie dostrzegwał już Pat; idąc sprężystym krokiem znalazła się poza zasięgiem jego wzroku. Zatrzymał się zdyszany, nie będąc w stanie posuwać się dalej. Czuł, że jego twarz jest cała mokra, piekący, słony pot zalewał mu oczy. — Poczekaj — odezwał się.

Pat znów zjawiała się obok niego. Rozpoznał jej twarz, gdy pochyliła się, by

mu się przyjrzeć; zwrócił uwagę na jej idealnie spokojny wyraz. A także na to, że zajmowała się nim bez cienia osobistego zainteresowania, z dystansem i obojętnością naukowca.

— Chcesz, bym wytarła ci twarz? — spytała. Wyciągnęła drobną, delikatną chusteczkę z koronkowym brzegiem. Uśmiechnęła się tak samo jak przedtem.

— Doprowadź mnie tylko do windy. — Zmusił swe ciało do posuwania się naprzód. Jeden krok, potem drugi. Widział już teraz wejście do windy i szereg czekających na nią osób. A także staromodny wskaźnik w kształcie tarczy zegara nad rozsuwanymi drzwiami. Jego wskazówka, dziwaczna strzałka, chwiała się między cyframi 3 i 4; zatrzymała się na chwilę po lewej stronie tarczy, na trójce, potem zaczęła znowu drgać między cyframi dwójką i trójką.

— Będzie tu za sekundę — powiedziała Pat. Wyciągnęła z torebki zapalniczkę oraz papierosy i zapaliła, wydmuchując przez nos strużki szarego dymu. — To bardzo stara winda — dodała, spokojnie zakładając ręce na piersi. — Wiesz co? Wydaje mi się, że to jedna z tych antycznych otwartych żelaznych klatek. Czy nie boisz się nimi jeździć?

Strzałka minęła już dwójkę, zachwiała się chwilę nad jedynką, po czym zdecydowanie opadła. Drzwi rozsunęły się.

Joe ujrzał okratowaną, ażurową klatkę dźwigu oraz windziarza w liberii, który siedział na stołku, trzymając rękę na obrotowym przycisku kontrolnym.

— Jedziemy w górę — powiedział. — Proszę ustawić się w głębi kabiny.

— Nie wsiądę do niej — oświadczył Joe.

— Dlaczego? — spytała Pat. — Czy sądzisz, że urwie się lina? Tego się obawiasz? Widzę, że jesteś wystraszony.

— To samo widział Al — stwierdził Joe.

— No cóż, Joe — oświadczyła Pat. — Jedyna inna droga do twego pokoju na górze to schody. A w tym stanie nie dasz rady tam się wdrapać.

— Wejść. — Zrobił krok naprzód, rozglądając się za schodami. Tracę wzrok! — pomyślał. Nie mogę ich dostrzec! Ciężące na nim brzemie miażdżyło mu płuca sprawiając, że oddychanie stało się trudne i bolesne. Doszło do tego, że musiał zatrzymać się i skoncentrować na czynności wciągania powietrza. Może to atak serca, pomyślał. Skoro tak, to nie wolno mi wchodzić po schodach. Ale coraz silniej odczuwał pragnienie, a raczej przemożną potrzebę samotności. Chciał leżeć wyciągnięty w ciszy, bez świadków, w zamkniętym na klucz pustym pokoju i nie być zmuszony do rozmawiania czy poruszania się. Wolny od kontaktów z kimkolwiek; od konieczności rozwiązywania jakichkolwiek problemów. Nikt nie będzie nawet wiedział, gdzie jestem, myślał. Nie wiadomo dlaczego, wydawało mu się to bardzo ważne; chciał być nieznan, niewidzialny, przebywać z dala od ludzkich oczu. Szczególnie dotyczy to Pat, pomyślał. — Nie mogę jej pozwolić, by przebywała blisko mnie.

— Oto jesteśmy — odezwała się Pat. Wskazała mu drogę, odwracając go

lekką w prawo. — Wprost przed tobą. Chwyć po prostu za poręcz i maszeruj na górę, do łóżka. Jasne? — Zręcznie, tanecznym krokiem zaczęła wchodzić po schodach. Lekko i sprawnie unosiła się na końcach palców, szybko pokonując kolejne stopnie. — Czy dasz sobie radę?

— Nie chcę... żebyś... szła... ze mną — powiedział Joe.

— Coś podobnego! — Cmoknęła drwiąco, udając, że jest zmartwiona; jej czarne oczy rozbłysły. Boisz się, że wykorzystam twój stan? Że zrobię ci jakąś krzywdę?

— Nie — potrząsnął głową. — Chcę... po prostu... być sam. — Trzymając mocno za poręcz, zdołał podciągnąć się jakoś na pierwszy stopień. Zatrzymał się na nim, spojrzał w górę, usiłując dostrzec koniec schodów. Próbował obliczyć, jak bardzo jest on oddalony, ile stopni zostało mu jeszcze do pokonania.

— Pan Denny prosił, żebym została przy tobie. Mogę ci czytać, przynosić ci różne rzeczy, opiekować się tobą.

Wspiął się na następny stopień.

— Sam... — wydusił z trudem.

— Czy mogę popatrzeć, jak wchodzisz? Ciekawe, ile ci to zajmie czasu. O ile w ogóle będziesz w stanie tam wejść.

— Dojdę — postawił nogę na kolejnym stopniu, chwycił za poręcz i dźwignął się w górę. Obrzękłe serce podchodziło mu do gardła, dławilo go. Zamknął oczy i chrapliwie, z trudem wciągnął powietrze.

— Ciekawa jestem — odezwała się Pat — czy tak samo zachowywała się Wendy. Ona była pierwsza, prawda?

— Kochałem... ją — wykrztusił Joe.

— Och, wiem o tym. Mówił mi G. G. Ashwood. Odczytał to w twoich myślach. Zaprzyjaźniłam się z nim bardzo; spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Można by powiedzieć, że miałam z nim romans. Owszem, tak można by to nazwać.

— Nasza teoria — odezwał się Joe — była... — odetchnął głębiej — słuszna — udało mu się powiedzieć. Pokonał jeszcze jeden stopień, potem, z ogromnym wysiłkiem, następny. — Że ty i G. G. ... porozumieliście się z Rayem Hollisem. Żeby zinfiltrować...

— Zgadza się — przyznała Pat.

— Naszych najlepszych inercjałów... i Runcitera. Wykończyć nas wszystkich. — Wspiął się o jeszcze jeden stopień. — Nie znajdujemy się w stanie półżycia. My nie...

— Och, *umieracie* — przerwała mu Pat. — Utrzymujecie się jeszcze przy życiu, na przykład ty; wymieracie jednak jedno po drugim. Ale po co o tym mówić? Po co do tego wracać? Powiedziałeś już to wszystko niedawno temu i, szczerze mówiąc, nudzisz mnie, ciągle to powtarzając. W gruncie rzeczy jesteś nudnym pedantem, Joe. Prawie tak nudnym jak Wendy Wright. Stanowilibyście dobraną parę.

— Dlatego Wendy umarła pierwsza — powiedział. — Nie przez to, że przebywała z dala... od grupy. Ale dlatego, że... — Skurczył się, czując w sercu gwałtowne uderzenie bólu. Usiłował namacać następny stopień, ale tym razem nie trafił na niego i potknął się. Następnie zdał sobie sprawę, że siedzi, zwinięty jak... jak Wendy w tej szafie... zupełnie tak samo, pomyślał. Wyciągnąwszy rękę, chwycił za rękaw swej marynarki i szarpnął.

Tkanina rozdarła się. Wysuszony, zetlały materiał pękał jak tani, szary papier, jak powłoka, którą osy pokrywają swe gniazda. Sprawa była więc jasna. Wkrótce zacznie zostawiać za sobą ślady: strzępki materiału. Zaśmiecony szlak, wiodący do pokoju hotelowego, w którym oczekuje go upragniona samotność. Do którego dąży ostatkiem sił pod wpływem tropizmu, siły popychającej go w kierunku śmierci, rozkładu i nieistnienia. Owładnięty działaniem posępnych czarów zmierzzał w kierunku grobu.

Wszedł na jeszcze jeden stopień.

Uda mi się, zdał sobie sprawę. Siła, która mnie pcha, pożera moje ciało; dlatego właśnie Wendy, Al, Edie... a teraz niewątpliwie również Zafsky... przeszli taki rozkład fizyczny w momencie śmierci, dlatego pozostały po nich jedynie odrzucone jak łupina, pozbawione wagi, puste powłoki nie zawierające nic, żadnej istoty ani treści. Moc ta walczy ze zwielokrotnionym brzemieniem siły ciężenia, pożerając w zamian za to słabnące ciało. A jednak w ciele tym będzie wystarczająca ilość pożywienia, abym zdołał dotrzeć na górę. Działa tu proces biologiczny i w tym momencie chyba nawet Pat, choć ona go zapoczątkowała, nie jest w stanie go zatrzymać. Zastanawiał się, co ona czuje, obserwując jego wspinaczkę. Podziwia go? Gardzi nim? Podniósł głowę, by poszukać jej wzrokiem i dostrzegł ją — rozpoznał rozmaite odcienie jej pełnej życia twarzy. Malowały się na niej jedynie ciekawość i pozbawiona wrogości neutralna obojętność. Nie był tym zaskoczony. Pat nie zrobiła nic, by mu przeszkodzić, i nic, by mu pomóc. Nie wiadomo, dlaczego wydawało mu się to słuszne.

— Czujesz się lepiej? — spytała Pat.

— Nie — odparł. Podciągnąwszy się do połowy, gwałtownym rzutem ciała naprzód pokonał następny stopień.

— Wyglądasz inaczej. Nie jesteś już taki załamany.

— Bo wiem na pewno, że będę w stanie wejść na górę — powiedział Joe.

— To już nie jest dalekie — stwierdziła.

— Daleko — poprawił ją Joe.

— Jesteś niewiarygodnym okazem. Drobiazgowym, powierzchownym człowiekiem. Nawet przeżywając śmiertelne drgawki... czy też raczej to, co ty subiektywnie uważasz za śmiertelne drgawki — poprawiła się przytomnie i czujnie. — Nie powinnam była może używać tego określenia. Może ono wpłynąć na ciebie przygnębiająco. Staraj się zachować optymizm, dobrze?

— Powiedz mi — odezwał się Joe — ile jeszcze stopni... do końca.

— Sześć. — Oddaliła się od niego, bezszelestnie i cicho posuwając się w górę.
— Nie, przepraszam: dziesięć. Czy może dziewięć? Chyba dziewięć.

Znowu wszedł na stopień. Potem na następny. I jeszcze jeden. Nie odzywał się i nie usiłował nawet patrzeć przed siebie. Wczołgiwał się jak ślimak z jednego stopnia na drugi, napotykać przed sobą twardą płaszczyznę, czując, że rozwija się w nim coś w rodzaju umiejętności, dzięki której potrafił precyzyjnie posługiwać się swym ciałem, świadomie wykorzystywać resztki sił.

— Jesteś niemal na miejscu — pogodnym głosem odezwała się stojąca na górze Pat. — Co masz do powiedzenia, Joe, na temat swojej wspaniałej wspinaczki? Największej wspinaczki w dziejach ludzkości. Chociaż nie, to nieprawda. To samo zrobili przed tobą Wendy, Al, Edie i Fred Zafsky. Ale jedynie ciebie oglądałam na własne oczy.

— Dlaczego akurat mnie? — spytał Joe.

— Chcę cię obserwować, Joe, z powodu tej twojej prymitywnej intrygi wtedy w Zurychu. Kiedy urządziłeś wszystko tak, by Wendy Wright spędziła z tobą noc w hotelu. Tylko że dziś wieczorem sprawa wygląda inaczej. Będziesz sam.

— Tamtej... nocy... też... byłem sam. — Jeszcze jeden stopień. Zakaszłał konwulsyjnie. Z jego mokrej twarzy opadły krople potu; wraz z nimi opuszczały go beużytecznie wydatkowane resztki energii.

— Wendy była tam: nie w twoim łóżku, ale gdzie indziej w tym pokoju. Przespałeś jej wizytę — Pat roześmiała się.

— Usiłuję... powstrzymać się od kaszlu — powiedział Joe, Pokonał jeszcze dwa stopnie i czuł, że doszedł już niemal do końca. Ile czasu spędziłem na tych schodach? — zastanawiał się. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Odkrył nagle, zaskoczony, że oprócz wyczerpania odczuwa dotkliwy chłód. Od jak dawna? — pomyślał. Zapewne już od pewnego czasu: zimno stopniowo przenikało do jego ciała, ale dopiero teraz uświadomił to sobie. Boże! — powiedział sam do siebie, trzęsąc się jak w gorączce. Miał wrażenie, że drżą nawet jego kości.

Zimno gorsze niż na Lunie, gorsze niż ów chłód wtedy, w jego pokoju hotelowym w Zurychu. Tamte chłody były jedynie zwiastunami tego, który teraz panuje.

Metabolizm, pomyślał, polega na procesie spalania, jak w rozgrzanym piecu. Kiedy ustaje, następuje kres życia. Najwyraźniej wszyscy się mylą na temat piekła, przemknęło mu prze myśl. Piekło jest zimne, wszystko w nim marznie. Ciało zaś to ciężar i ciepło; teraz ciężar jest siłą, która mnie niszczy, a ciepło — moje własne ciepło — opuszcza mnie. I nigdy nie powróci, chyba żebym urodził się po raz drugi. Taki los przeznaczony jest całemu światu. Przynajmniej więc nie będę sam.

A jednak czuł się samotny. Uczucie to ogarnia mnie zbyt wcześnie, pomyślał. Nie nadszedł jeszcze właściwy moment, coś musiało przyspieszyć przebieg

wydarzeń. Zrobiła to z ciekawości czy przekory jakaś uboczna siła: jakiś wielopostaciowy, perwersyjny element, który pragnie mnie obserwować. Jakaś infantylna, niedorozwinięta istota, którą bawią moje przeżycia. Zgniotła mnie jak pełzającego owada, zwykłego żuka, który nigdy nie oddala się od ziemi, który nie potrafi ulecieć ani uciec. Może tylko posuwać się krok za krokiem w kierunku chaosu i rozkładu. W kierunku świata grobów, miejsca, w którym przebywa otoczona własnymi nieczystościami owa perwersyjna istota. Ta, którą nazywamy Pat.

— Czy masz klucz od swego pokoju? — spytała Pat. — Pomyśl tylko, jak okropnie byś się czuł, spostrzegłszy po wejściu na drugie piętro, że nie masz klucza i nie możesz się dostać do środka.

— Mam. — Zaczął po omacku przeszukiwać kieszenie. Podziurawiona, postrzępiona marynarka rozdarła się całkowicie i zsunęła z jego ramion. Gdy spadała na podłogę, z jej górnej kieszeni wysunął się klucz i wyładował o dwa stopnie niżej. Poza zasięgiem Joego.

— Podniosę ci go — powiedziała natychmiast Pat. Przemknąwszy obok niego, wzięła z podłogi klucz, uniosła w kierunku światła, by mu się przyjrzeć, położyła na poręczy u szczytu schodów. — Leży tutaj, będziesz mógł go wziąć, gdy zakończysz wspinaczkę. To będzie twoja nagroda. Wydaje mi się, że ten pokój znajduje się po lewej stronie, czwarte drzwi w korytarzu. Musisz poruszać się powoli, ale będzie to o wiele łatwiejsze niż wchodzenie po schodach. Niż wspinanie się.

— Widzę już... klucz... i szczyt — rzekł Joe. — Widzę szczyt schodów. — Oburącz chwyciwszy poręcz, podciągnął się w górę, pokonując z rozpaczliwym wysiłkiem trzy stopnie naraz. Poczuł, że wyczerpało go to: przytłaczające brzemie stało się jeszcze cięższe, zimno bardziej dotkliwe, a łącząca go z życiem więź jeszcze słabsza. Ale...

Wszedł już na samą górę.

— Do widzenia, Joe — powiedziała Pat. Pochyliła się nad nim, uginając lekko kolana, by mógł dostrzec jej twarz. — Nie chcesz chyba, żeby wdarł się do ciebie Don Denny? Lekarz i tak nie będzie w stanie ci pomóc. Powiem mu więc, że kazałam obsłudze hotelu wezwać taksówkę i że jesteś już w drodze do szpitala, na drugim końcu miasta. W ten sposób nikt nie będzie cię nachodził. Możesz być zupełnie sam. Zgadzasz się na to?

— Tak — odparł.

— Masz tu swój klucz. — Wsunęła Joemu w dłoń chłodny metalowy przedmiot i zacisnęła na nim jego patce. — Głowa do góry, jak mówią w tych czasach, w roku 1939. I nie daj się nikomu nabrać... tak też mawiają. Odsunęła się od niego, prostując kolana. Przez chwilę stała w miejscu i przyglądała mu się z uwagą, potem ruszyła szybko w głąb korytarza, kierując się w stronę windy. Widział, jak naciska guzik, potem czeka przez chwilę. Wreszcie rozsunęły się drzwi i Pat znikła mu z oczu.

Ściskając w dłoni klucz, uniósł się chwiejnie do pozycji półstojącej. Oparł się

o ścianę korytarza, potem zawrócił w lewo i krok za krokiem zaczął posuwać się naprzód, utrzymując się na nogach dzięki ścianie. Ciemność, myślał. Nie pali się światło. Zacisnął oczy, potem otworzył je, mrugając. Nadal oślepił go piekący pot, spływający po twarzy; nie był pewien, czy korytarz naprawdę pograżony jest w mroku, czy też jego zmysł wzroku stopniowo zamiera.

Kiedy dotarł do pierwszych drzwi, musiał już pełzać na czworakach. Przechylił głowę, by spojrzeć w górę i odczytać numer pokoju. Nie, jeszcze nie ten. Poczłogał się dalej.

Gdy odnalazł właściwe drzwi, musiał wstać, aby umieścić klucz w zamku. Wysilek ten odebrał mu resztkę energii. Ściskając w dłoni klucz upadł i uderzył głową o drzwi, potoczył się wstecz na przesiąknięty kurzem chodnik. Leżał, wdychając woń starości, rozkładu i lodowatej śmierci. Nie będę w stanie wejść do pokoju, uświadomił sobie. Nie dam rady podnieść się po raz drugi.

A jednak musiał to zrobić. Tutaj mógł go ktoś zobaczyć. Oburącz ściskając klamkę, raz jeszcze dźwignął się na nogi. Opierając cały swój ciężar na drzwiach, drżącą ręką skierował klucz w kierunku zamka. Wiedział, że gdy tylko przekręci klucz, drzwi otworzą się, a on wpadnie do środka. A potem... jeśli tylko uda mu się zamknąć drzwi i dotrzeć do łóżka... będzie już po wszystkim.

Zamek zazgrzytał. Metalowa zasuw przesunęła się ku tyłowi. Drzwi otwarły się i Joe runął głową naprzód, wyciągając przed siebie ręce. Podłoga uniosła się ku niemu; dojrzał ozdoby ozdobiające dywan: czerwono-złote zygzaki, figury i kwiaty. Dywan był jednak wytarty i zmatowiał od długotrwałego użytkowania, a kolory straciły już wyrazistość. Jaki to stary pokój, pomyślał Joe w momencie upadku, prawie wcale nie czując bólu. Budując ten dom zapewne zainstalowali w nim dźwig w kształcie otwartej, żelaznej klatki. Widziałem więc prawdziwą windę, uświadomił sobie, autentyczną, oryginalną kabinę.

Leżał tak przez chwilę, potem poruszył się, jakby pobudzony do działania przez czyjś głos. Dźwignął się na kolana i oparł na wyciągniętych rękach... Boże! — pomyślał. Moje dłonie! Żółte i guzowate, wyglądają, jakby były z pergaminu; jak tyłek upieczonego, wyschniętego indyka. Moja skóra — szczeciniasta i pokryta jakimiś jakby zaczątkami piór — niepodobna jest do skóry ludzkiej. Jakbym cofnął się w rozwoju o miliony lat, zamieniając się w jakiegoś stwora, który wlatuje do góry, a potem szybuje w dół, używając swej skóry jako żagla.

Otworzywszy oczy, rozejrzał się w poszukiwaniu łóżka. Na oddalonej ścianie dojrzał szerokie okno, od którego przez pajęczynę firanek sączyło się szare światło. Potem brzydką toaletkę na cienkich nóżkach, wreszcie łóżko. Na obu jego bokach znajdowały się balustrady, ozdobione na wierzchołkach mosiężnymi gałkami. Były pogieęte i nierówne, jakby łóżko używano od wielu lat, w czasie których pręty pogieęły się, a politurowane deski umieszczone u wezłowia spaczyły się. Mimo to chciałbym się na nim położyć, pomyślał. Wyciągnął przed siebie ręce i pełzając wsunął się nieco dalej do pokoju.

I wtedy dostrzegł siedzącą w klubowym fotelu, zwróconą ku niemu postać. Widza, który do tej pory nie wydał ani jednego dźwięku, teraz jednak wstał i podszedł do niego szybkim krokiem. Glena Runcitera.

— Nie mogłem ci pomóc we wchodzeniu po schodach — powiedział Runciter. Na jego szerokiej twarzy malował się wyraz powagi. — Nie chciałem, by ona mnie widziała. Szczerze mówiąc, obawiałem się, że wejdzie za tobą aż do pokoju; byłoby to dla nas kłopotliwe, gdyż ona. . . — Przerwał, pochylił się i dźwignął Joego na nogi tak łatwo, jakby był on już zupełnie pozbawiony wagi czy jakichkolwiek materialnych składników organizmu. — Pomówimy o tym później. Teraz. . . — Trzymając Joego pod pachą przeniósł go przez pokój i ulokował nie na łóżku, lecz w fotelu, na którym sam poprzednio siedział. — Wytrzymasz jeszcze przez kilka sekund? — spytał. — Chcę zamknąć drzwi i zasunąć zatrzask. Na wypadek, gdyby ona zmieniła plany.

— Tak — odparł Joe.

Runciter, zrobiwszy trzy wielkie kroki, znalazł się przy drzwiach, zatrzaskał je, zamknął zasuwę i natychmiast wrócił do Joego.

Z szuflady toaletki pośpiesznie wyjął puszkę aerozolu, której boki ozdobione były kolorowymi pasami, kółkami i literami.

— Ubik — powiedział Runciter. Silnie potrząsnął puszką, potem zaś, stojąc naprzeciw Joego, skierował dyszę w jego stronę. — Nie dziękuj mi za to — powiedział, rozpylając długie smugi Ubika na prawo i lewo. Powietrze drgało i błyszczało, jakby znalazły się w nim uwolnione z uwięzi cząsteczki światła; jakby w tym starym, zniszczonym pokoju hotelowym zabłyśły promienie słońca. — Lepiej ci? Należy się spodziewać, że podziękowała na ciebie natychmiast; już w tej chwili powinnaś odczuwać jego wpływ. — Przyglądał się Joemu z niepokojem.

Rozdział 14

Jeśli chcesz, by żywność zachowała smak, potrzebne ci jest coś więcej niż zwykła torebka: plastikowe opakowanie Ubik, właściwie cztery warstwy w jednej. Utrzymuje świeżość wewnątrz, powietrze i wilgoć na zewnątrz. Obejrzyjcie ten próbny pokaz.

— Masz papierosa? — spytał Joe. Głos mu drżał, ale nie z wyczerpania czy zimna. Nie odczuwał już ani jednego, ani drugiego. Jestem zdenerwowany, pomyślał. Ale już nie umieram. Ubik powstrzymał ów proces. Tak jak przepowiadał Runciter w swej nagranej na taśmie reklamówce telewizyjnej, przypomniał sobie. „Jeżeli uda ci się go zdobyć, nic ci nie grozi”, obiecywał. Ale, pomyślał ponuro, zajęło mi to wiele czasu. Udało mi się dotrzeć do niego w ostatniej chwili.

— Bez filtra — powiedział Runciter. — W tej zacofanej, wrednej epoce nie mają papierosów z filtrem. — Wyciągnął w stronę Joego paczkę cameli. — Zapalę ci go. — Podał mu płonąca zapałkę.

— Świeży papieros — stwierdził Joe.

— Tak, do diabła, przecież, na miłość boską, kupiłem je dopiero co w kiosku na dole. Weszliśmy w to już dość daleko. Mamy dawno za sobą etap skwaśniałego mleka i wyschniętych papierosów. — Uśmiechnął się posępnie; jego zamyślane, poważne oczy nie odbijały w ogóle światła. — Weszliśmy w to — powiedział — nie zaś: wyszliśmy z tego. Na tym polega różnica. — Sam również zapalił papierosa i opierając się wygodnie, w milczeniu wdychał dym. Na jego twarzy nadal widoczna była troska, i zmęczenie, pomyślał Joe. Ale było to zmęczenie innego rodzaju niż to, które ośwładnęło poprzednio nim samym.

— Czy możesz pomóc reszcie grupy? — spytał Runcitera.

— Mam tylko jedną puszkę Ubika. Większą część jej zawartości musiałem zużyć ratując ciebie. — Gestykulował gwałtownie, jego palce zaciskały się nerwowo pod wpływem niepohamowanej wściekłości. — Mój wpływ na tutejszą rzeczywistość jest ograniczony. Zrobiłem, co mogłem. — Szarpnął głową i podniósł wzrok na Joego. — Staralem się do was dotrzeć, do każdego z was. Wykorzysta-

łem wszystkie okazje, wszystkie sposoby. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. To znaczy cholernie mało. Prawie nic. — Zapadł w posępne milczenie, pod którym tlił się stłumiony gniew.

— Te napisy na ścianach łazienek... — mówił Joe. — Twierdziłeś, że my umarliśmy, a ty żyjesz.

— Bo ja żyję — powiedział zgrzytliwym głosem Runciter.

— A my, pozostali? Umarliśmy?

— Tak — odparł Runciter po dłuższym milczeniu.

— Ale w tej reklamówce telewizyjnej...

— Chodziło o to, żeby skłonić cię do walki. Do poszukiwania Ubika. Pod wpływem reklamówki zacząłeś się za nim rozglądać i robiłeś to przez cały czas. Stale próbowałem ci go podsunąć, ale sam wiesz, co się działo: ona nieustannie przenosiła nas w czas przeszły i działała na niego regresywnie, przez co stawał się bezwartościowy. Udało mi się jedynie przekazać ci razem z Ubikiem te krótkie liściki. — Energicznym, zdecydowanym gestem wyciągnął w stronę Joego wielki palec, jakby chcąc podkreślić wagę swych słów. — Zrozum, z czym musiałem walczyć. Z tą samą siłą, która opanowała was wszystkich, zabijając was jedno po drugim. Szczerze mówiąc, sam jestem zdumiony, że udało mi się zdziałać aż tyle.

— Kiedy uświadomiłeś sobie, co się dzieje? — spytał Joe. — Czy wiedziałeś o tym cały czas? Od samego początku?

— Od początku! — zgryźliwie powtórzył Runciter. — Co to znaczy? To wszystko trwało od miesięcy, może od lat. Bóg jeden wie, od jak dawna Hollis, Mick, Pat Conley, S. Dole Melipone i G. G. Ashwood knuli to wszystko, układając swe plany i przerabiając je jak ciasto. Oto co się wydarzyło: zostaliśmy zwabieni na Lunę. Zgodziliśmy się wziąć ze sobą Pat Conley, nieznaną kobietę, której zdolności nie pojmowaliśmy; być może nawet Hollis nie wie, na czym one polegają. W każdym razie łączą się one z umiejętnością wskrzeszania przeszłości; nie jest to jednak w gruncie rzeczy umiejętność poruszania się w czasie... nie potrafi ona na przykład wybiec w przyszłość. W pewnym sensie nie umie również cofać się w przeszłość; jej zdolność... o ile jestem w stanie to pojąć... polega na wywoływaniu procesu odwrotnego, który odsłania minione etapy kształtowania się rzeczywistości. Ale ty o tym wiesz, obaj z Alem sami do tego doszliście. — Z wściekłością zazgrzytał zębami. — Al Hammond... co za strata! Ale nie byłem w stanie nic zrobić: wtedy nie udało mi się do was dotrzeć, tak jak teraz.

— Dlaczego więc mogłeś to uczynić obecnie? — spytał Joe.

— Bo ona nie jest już w stanie cofnąć nas dalej w przeszłość. Rozpoczął się już normalny bieg czasu: znowu posuwamy się z przeszłości w teraźniejszość i dalej, w przyszłość. Najwyraźniej wykorzystała swe możliwości aż do końca. 1939 rok — oto granica. Teraz jej talent przestał działać. To rozumiałe: wykonała już zadanie, z jakim posłał ją do nas Ray Hollis.

— Ile osób znalazło się pod jej wpływem?

— Tylko my, to znaczy ci wszyscy, którzy przebywali w tym ukrytym pod powierzchnią Luny pomieszczeniu. Już Zoe Wirt nie została nim objęta, Pat potrafi regulować zasięg wytwarzanego przez siebie pola. W przekonaniu pozostałych mieszkańców kuli ziemskiej my wszyscy udaliśmy się zbiorowo na Lunę i wylecieliśmy w powietrze wskutek przypadkowej eksplozji. Zostaliśmy umieszczeni w chłodni przez troskliwego Stanton Micka, ale nie udało się nawiązać z nami kontaktu: zbyt późno się nami zajęli.

— Dlaczego nie wystarczył im sam wybuch bomby? — spytał Joe.

Runciter spojrział na niego, unosząc jedną brew.

— Po co w ogóle posłuzyli się Pat Conley? — mówił Joe. Nawet w tym stanie, wyczerpany i zdenerwowany, wyczuwał tu jakiś błąd. — Logicznie rzecz biorąc nie było żadnej potrzeby uruchamiania wszystkich tych regresywnie działających mechanizmów ani pogrążania nas za pomocą przesuwającego się wstecz ciągu czasowego — aż w roku 1939. Nie prowadziło to do żadnego celu.

— To interesująca uwaga — powiedział Runciter, powoli kiwając głową i marszcząc swą pobrużdżoną, nieruchomą twarz. — Będę musiał się nad tym zastanowić. Daj mi chwilę do namysłu. — Podeszedł do okna i stał przy nim, patrząc na po drugiej stronie ulicy.

— Odnoszę wrażenie — mówił Joe — że mamy do czynienia nie z siłą, zmierzającą do jakiegoś celu, lecz z jakąś złośliwą istotą. . . Nie jest to ktoś usiłujący nas zabić czy unicestwić, ktoś, kto usiłuje uniemożliwić działalność nam, jako pracownikom instytucji zapobiegawczej, ale. . . — zastanowił się przez chwilę; już prawie uświadomił sobie, o co chodzi — jakaś nieodpowiedzialna istota, którą bawi to, co z nami wyprawia. To zabijanie nas po kolei. Nie musi przecież tego wszystkiego tak przedłużać. Nie wygląda mi to na Hollisa. On morduje na zimno, z wyrachowaniem. A z tego, co wiem o Stantonie Micku. . .

— Może to już sprawa samej Pat — przerwał mu szorstko Runciter, odwracając się od okna. — Z punktu widzenia psychologii jest ona typem sadystycznym. Tacy właśnie ludzie wrywają skrzydła muchom. A ona bawi się nami. — Przyglądał się Joemu oczekując na jego reakcję.

— Mnie przypomina to raczej poczynania dziecka — powiedział Joe.

— Ależ spójrz na Pat: jest złośliwa i zazdrosna. Wykończyła najpierw Wendy, ze względu na osobistą do niej urazę. Przed chwilą szła obok ciebie po schodach przez całą drogę, bawiąc się tą sytuacją, w gruncie rzeczy rozkoszując się nią.

— Skąd wiesz? — spytał Joe. Przecież czekałeś w tym pokoju, pomyślał, nie mogłeś tego widzieć. I jeszcze jedno: *jakim cudem Runciter wiedział, że ja przyjdę do tego właśnie pokoju?*

Runciter sapnął krótko, hałaśliwie.

— Nie powiedziałem ci wszystkiego. W gruncie rzeczy. . . — przerwał, zagryzł dolną wargę, poczym zaczął szybko mówić dalej: — To, co ci powiedziałem, nie było do końca prawdą. Moje związki z tym regresywnym światem różnią się

nieco od tych, które łączą z nim was, wszystkich pozostałych. Masz zupełną rację: zbyt wiele wiem. Dzieje się tak, ponieważ ja jestem w tym świecie przybyszem z zewnątrz.

— Jak duch. . . — mruknął Joe.

— Tak jest. Pojawiam się tu i ówdzie. W decydujących momentach i najważniejszych miejscach. Tak było z tym wezwaniem od policjanta z drogówki. Albo z apteką Archera. . .

— Wcale nie nagrałeś tej reklamówki telewizyjnej — powiedział Joe. — To był bezpośredni program.

Runciter niechętnie przyznał mu rację, kiwając głową.

— Czym się różni twoja sytuacja od naszej? — spytał Joe.

— Czy chcesz, żebym ci to powiedział?

— Tak. — Przygotował się, choć wiedział z góry, co usłyszy.

— Ja nie umarłem, Joe. Napis na ścianie mówił prawdę. Wy wszyscy przebywacie w chłodni, a ja. . . — Runciter mówił z trudem, nie patrząc wprost na Joego. — Ja siedzę w rozmównicy Moratorium Ukochanych Współbraci. Poleciałem, by połączono was przewodami wszystkich razem; w ten sposób funkcjonujecie jako grupa. Ja zaś siedzę tu i próbuję nawiązać z wami kontakt. To mam właśnie na myśli mówiąc, że jestem przybyszem z zewnątrz, stąd to moje pojawienie się jak ducha — sam to tak określiłeś. Już od tygodnia staram się pobudzić was do stanu aktywnego półżycia, ale. . . nic z tego nie wychodzi. We wszystkich was kolejno zamiera życie.

— A co się dzieje z Pat Conley? — spytał Joe po chwili milczenia.

— Przebywa razem z wami w stanie półżycia; jest podłączona przewodami do całej grupy.

— Czy ten proces regresywny wywołany jest przez jej zdolności? Czy też są to objawy rozkładu, normalnego dla stanu półżycia?

Z napięciem wyczekiwał na słowa Runcitera; miał wrażenie, że wszystko zależy od odpowiedzi na to pytanie.

Runciter parsknął, skrzywił się, wreszcie powiedział szorstko:

— Normalne objawy rozkładu. To samo przeszła Ella. Przeżywa to każdy, kto znajdzie się w stanie półżycia.

— Okłamujesz mnie — powiedział Joe. Poczul się tak, jakby otrzymał pchnięcie nożem.

— Joe, na Boga, ocaliłem ci życie — rzekł Runciter, wpatrując się w niego z naciskiem. — Przedarłem się do ciebie na tyle blisko, żeby doprowadzić cię na nowo do stanu normalnego półżycia; prawdopodobnie będziesz już teraz mógł funkcjonować w nieskończoność. Gdybym nie czekał na ciebie w tym pokoju hotelowym, kiedy ty wczołgałeś się przez drzwi. . . do diabła, sam pomyśl: bez mojej pomocy leżałbyś już teraz na tym zdezelowanym łóżku martwy jak mumia. Jestem Glen Runciter, twój szef, człowiek, który walczy o życie was wszystkich.

Tu, w realnym świecie, ja jeden staram się coś dla was zrobić. — Nadal patrzył na Joego, zaskoczony i zniecierpliwiony. Na jego twarzy malowało się zdumienie, w którym widoczne były dezorientacja i żal, jakby nie był w stanie pojąć, co się właściwie dzieje. — Ta dziewczyna — mówił dalej — ta Pat Conley, zabiłaby cię w taki sam sposób, w jaki uśmierciła... — przerwał.

— W jaki uśmierciła Wendy, Ala, Edie Dorn, Freda Zafsky'ego, a teraz być może również Tito Apostosa — dokończył Joe.

— Obecna sytuacja jest bardzo skomplikowana, Joe — odezwał się Runciter cichym, opanowanym głosem. — Nie da się jej wyjaśnić za pomocą kilku prostych odpowiedzi.

— Kiedy ty nie znasz tych odpowiedzi — odparł Joe. — Na tym polega problem. Wymyśliłeś swoje odpowiedzi, musiałeś wykombinować je naprędce, żeby wytłumaczyć swoją obecność tutaj. I wszystkie twoje wizyty, twoje tak zwane ukazywanie się.

— Ja tego tak nie nazywam. To wy z Alem wymyśliliście ten termin. Nie oskarżaj mnie o to, co wy dwaj...

— Twoja wiedza o tym, co się właściwie dzieje i kto występuje przeciw nam, nie jest większa od mojej. Glen, nie możesz mi powiedzieć, kto jest naszym przeciwnikiem, ponieważ sam tego nie wiesz.

— Wiem, że ja żyję — powiedział Runciter. — Wiem, że siedzę tu, w poczekalni moratorium.

— Twoje ciało leży w trumnie — mówił Joe. — Tutaj, w Domu Przedpogrzebowym Prosteego Pasterza. Widziałeś je?

— Nie — odparł Runciter. — Ale to w gruncie rzeczy...

— Jest kompletnie wysuszone — powiedział Joe. — Skurczyło się tak samo jak zwłoki Wendy, Ala, Edie... i jak niebawem skurczy się moje.

— Dla ciebie zdobyłem Ubik... — Runciter znów przerwał. Na jego twarzy pojawił się trudny do rozszyfrowania wyraz: jakby mieszanina lęku, olśnienia i... Joe sam nie wiedział czego. — Zdobylem dla ciebie Ubik — powtórzył.

— Co to jest Ubik? — spytał Joe.

Runciter nic nie odpowiedział.

— Tego też nie wiesz — skonstatował Joe. — Nie masz pojęcia, co to jest i w jaki sposób działa. Nie wiesz nawet, skąd się on bierze.

— Masz rację, Joe — odezwał się Runciter po długiej, pełnej napięcia przerwie. — Zupełną rację. — Drżącymi palcami zapalił kolejnego papierosa. — Ale chciałem ocalić ci życie... w tym wypadku mówię prawdę. Do diabła, chciałem ocalić was wszystkich. — Papieros wysliznął mu się z palców, spadł na podłogę i potoczył się po niej.

Runciter schylił się z wyraźnym wysiłkiem i odnalazł go. Na jego twarzy malował się ogromny smutek. Niemal rozpacz.

— Wpadliśmy w to wszystko — powiedział Joe — a ty siedzisz tam, w tej poczekalni, i nie potrafisz nic zrobić, nie umiesz położyć kresu temu procesowi, któremu ulegamy.

— To prawda — przyznał Runciter.

— Jesteśmy w chłodni — ciągnął Joe — ale zachodzi tu coś jeszcze. Coś, co nie zdarza się normalnie ludziom w stanie półżycia. Działają tu, jak odkrył Al, dwie siły: jedna z nich nam pomaga, druga nas zabija. Ty współdziałaś z tą siłą, istotą czy osobą, która próbuje nam pomóc. Od niej właśnie zdobyłeś Ubik.

— Tak.

— A więc nikt z nas — mówił dalej Joe — nie wie do tej pory, kto właściwie nas niszczy ani kto nas ochrania. Ty, znajdując się na zewnątrz, nie odkryłeś tego, a my, będąc tu, też nie mamy pojęcia. Może to być Pat.

— Sądzę, że to ona — stwierdził Runciter. — Wydaje mi się, że to właśnie jest wasz wróg.

— To bliskie prawdy — powiedział Joe. — Ale mam wrażenie, że się mylisz. Wydaje mi się, myślał, że nie zetknęliśmy się twarzą w twarz ani z naszym wrogiem, ani z naszym przyjacielem. Ale, myślał dalej, sądę, że to nastąpi. Wkrótce poznamy ich obu. — Czy jesteś przekonany — spytał Runcitera — czy jesteś absolutnie pewien, że byłeś jedyną osobą, która przeżyła ten wybuch? Zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz.

— Mówiłem ci już: Zoe Wirt. . .

— Ale spośród nas — przerwał mu Joe. — Zoe Wirt nie znajduje się w tym segmencie czasowym co my. A na przykład Pat Conley?

— Miała zmiażdżoną klatkę piersiową. Przyczyną jej śmierci był wstrząs oraz wgniecenie jednego płuca, a także liczne obrażenia wewnętrzne; miała też uszkodzoną wątrobę i złamaną w trzech miejscach nogę. W sensie fizycznym znajduje się ona jakieś cztery stopy od ciebie. To znaczy jej ciało.

— I to samo spotkało wszystkich pozostałych? Wszyscy są tu, w chłodni Moratorium Ukochanych Współbraci?

— Jest jeden wyjątek: Sammy Mundo. Doznał on poważnych uszkodzeń mózgu i zapadł w stan utraty świadomości; twierdzą, że nigdy jej już nie odzyska. Kora mózgowa. . .

— A zatem on żyje. Nie spoczywa w chłodni. Nie ma go tutaj.

— Nie nazwałbym tego życiem. Przebadano go za pomocą encefalografii: stwierdzono zupełny zanik działalności kory mózgowej. Jest rośliną, niczym więcej. Żadnej osobowości, żadnego ruchu, żadnej świadomości. . . w mózgu Sammy'ego Mundo nie dzieje się nic, zupełnie nic.

— I dlatego, oczywiście, nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć? — spytał Joe.

— Powiedziałem ci o tym teraz.

— Ale dopiero wtedy, kiedy cię spytałem. — Zastanowił się. — Jak daleko od nas przebywa? Jest w Zurychu?

— Tak, wszyscy pozostaliśmy w Zurychu. Sammy leży w szpitalu Carla Junga. O jakieś ćwierć mili od tego moratorium.

— Wynajmij telepatę — polecił Joe. — Albo użyj G. G. Ashwooda. Niech zbada jego myśli. — Chłopiec, mówił sam do siebie, nie zorganizowany i niedojrzały. Okrutna, nie uformowana, dziwaczna osobowość. To może być to, pomyślał. Pasowałoby dobrze do tego, co przeżywamy; do tych kapryśnych, sprzecznych z sobą zrzędzeń losu. Do tego wrywania nam skrzydeł i przyprawiania ich później na nowo. Do takich przypadków chwilowego powrotu do sił, jaki spotkał mnie w tym pokoju hotelowym po odbyciu wspinaczki po schodach.

Runciter westchnął.

— Zrobiliśmy to. W wypadkach takiego uszkodzenia mózgu zawsze próbuje się dotrzeć do pacjenta drogą telepatii. Nie osiągnęliśmy żadnego rezultatu. Nie stwierdzono ani śladu podświadomej pracy czołowego płata mózgu. Bardzo mi przykro, Joe — kiwał na boki swą wielką głową, jakby chcąc okazać Joemu sympatię. Najwyraźniej podzielał jego rozczarowanie.

— Odezwe się jeszcze do ciebie trochę później — powiedział do mikrofonu Glen Runciter, wyjmując z ucha mocno do niego przywierającą plastikową tarczę. Odłożył całą aparaturę umożliwiającą łączność, ciężko podniósł się z krzesła i stał przez chwilę, przyglądając się zamglonej, nieruchomej i zlodowaciałej postaci Joego Chipa, spoczywającej w przezroczystej, plastikowej trumnie. Niemy Joe spoczywał w pozycji pionowej i miał tak pozostać aż do końca świata.

— Czy dzwonił pan na mnie, sir? — Do mównicy wśliznął się Herbert Schoenheit von Vogelsang i przybrał unізoną postawę średniowiecznego dworaka. — Czy mam z powrotem ulokować pana Chipa razem z tamtymi? Skończył pan już, sir?

— Skończyłem — odparł Runciter.

— A czy pański...

— Owszem, udało mi się nawiązać z nim kontakt. Tym razem dobrze słyszeliśmy się nawzajem. — Zapalił papierosa, pierwszego od wielu godzin: teraz dopiero znalazł wolną chwilę. Poczul się wyczerpany długimi, żmudnymi próbami nawiązania kontaktu z Joem Chipem. — Czy ma pan tu gdzieś blisko automat z amfetaminą? — spytał właściciela moratorium.

— W korytarzu, zaraz obok rozmównicy. — Von Vogelsang gorliwie wskazał kierunek.

Runciter wyszedł z rozmównicy i zbliżył się do automatu. Wrzucił monetę, nacisnął dźwignię i znajomy przedmiot z brzękiem wpadł do przegródki. Zażywszy pigułkę, poczul się lepiej. Ale zaraz przypomniał sobie, że za dwie godziny

ma spotkanie z Lenem Niggelmanem, i zrodziła się w nim wątpliwość, czy będzie w stanie do niego dotrzeć. Zbyt wiele spraw miałem na głowie, doszedł do wniosku. Nie jestem jeszcze przygotowany do złożenia Towarzystwu oficjalnego sprawozdania; będę musiał zadzwonić do Niggelmana i poprosić go o przełożenie spotkania na późniejszy termin.

Z automatu wideofonicznego zadzwonił do biura Niggelmana w Federacji Północnoamerykańskiej.

— Len — powiedział — nie jestem dziś w stanie zrobić już nic więcej. Spędziłem ostatnie dwanaście godzin, usiłując skontaktować się z moimi ludźmi, którzy przebywają w chłodni. Jestem zupełnie wyczerpany. Czy wystarczy, jeśli zobaczę się z tobą jutro rano?

— Im prędzej złożysz nam urzędowy, oficjalny raport, tym wcześniej będziemy mogli wszcząć postępowanie przeciw Hollisowi. Moi radcy prawni twierdzą, że sprawa jest stuprocentowo pewna. Niecierpliwą się już. . .

— Sądzą, że uda im się wygrać sprawę w sądzie cywilnym?

— W cywilnym i w karnym. Rozmawiali już z prokuratorem Nowego Jorku. Ale dopóki nie złożysz nam oficjalnego, uwierzytelnionego sprawozdania. . .

— Jutro — obiecał Runciter. — Jak tylko trochę się prześpię. O mało mnie nie wykończyła ta cholerna sprawa. — Strata wszystkich swoich najlepszych ludzi, pomyślał. Zwłaszcza Joego Chipa. Moja firma jest zdziesiątkowana, nie będziemy w stanie podjąć działalności zarobkowej przez szereg miesięcy, a może i lat. Boże! — myślał, skąd wezmę inercjałów, zdolnych zastąpić tych, których straciłem? I gdzie znajdę drugiego takiego specjalistę od pomiarów, jakim był Joe?

— Oczywiście, Glen — odparł Niggelman. — Wyśpij się dziś, a jutro. . . powiedzmy o dziesiątej naszego czasu. . . spotkamy się w moim biurze.

— Dziękuję ci — powiedział Runciter. Odłożył słuchawkę i ciężko usiadł na różowej plastikowej kanapie stojącej na korytarzu naprzeciwko wideofonu. Nigdzie nie znajdę takiego fachowca jak Joe, pomyślał. W gruncie rzeczy to koniec Korporacji Runcitera.

Zjawił się, jak zwykle nie w porę, właściciel moratorium.

— Czy mam panu coś przynieść, panie Runciter? Filiżankę kawy? Jeszcze jedną amfetaminę? A może dawkę, która działa przez dwanaście godzin? Mam w gabinecie tabletki działające przez całą dobę: zażycie jednej z nich pozwoli panu funkcjonować aktywnie przez wiele godzin, może nawet przez całą noc.

— Przez całą noc zamierzam spać — powiedział Runciter.

— A więc może. . .

— Zjeżdżaj pan — warknął Runciter.

Właściciel moratorium odszedł jak zmyty, zostawiając go samego. Dlaczego musiałem wybrać akurat tę firmę? — zadał sobie pytanie Runciter. Chyba dlatego, że tu właśnie przebywa Ella. W końcu jest to najlepsze moratorium; dlatego

znalazła się tu ona, a także wszyscy pozostali. Pomyśleć tylko, dumać, tylu ludzi, którzy jeszcze tak niedawno znajdowali się po tej stronie trumny. Co za katastrofa!

Ella, pomyślał, przypominając sobie o niej. Może lepiej porozmawiam z nią przez chwilę, poinformuję ją, jak wygląda sytuacja. W końcu obiecałem jej to.

Podniósł się z kanapy i ruszył naprzód, chcąc odnaleźć właściciela moratorium.

Czy i tym razem będę odbierał głos tego cholernego Jory'ego? — pomyślał. Czy też uda mi się skupić na sobie uwagę Elli na tyle długo, żebym mógł jej powtórzyć, co powiedział Joe? Kontakt z nią stał się bardzo utrudniony, odkąd ten Jory się rozrasta, powiększa obszar działania i żeruje na niej, a także być może na innych osobach znajdujących się w stanie półżycia. . . To moratorium powinno coś z nim zrobić; stanowi on groźbę dla każdej ze znajdujących się tu osób. Dlaczego pozwalają mu tak postępować? — zastanowił się.

Być może nie umięją go powstrzymać, pomyślał. Możliwe, że wśród pożycznych nigdy dotąd nie znalazł się ktoś taki jak Jory.

Rozdział 15

Czy to możliwe, żebym miał nieświeży oddech? — No cóż, jeśli się o to niepokoisz, wypróbuj najnowszy pianisty Ubik — preparat o potężnym działaniu antybakteryjnym. Gwarantujemy bezpieczeństwo przy stosowaniu według instrukcji.

Drzwi starego pokoju hotelowego otworzyły się gwałtownie. Wszedł przez nie Don Denny w towarzystwie poważnie wyglądającego mężczyzny w średnim wieku o krótko ostrzyżonych siwych włosach.

— Jak się czujesz, Joe — spytał Denny z wyrazem napięcia i niepokoju na twarzy. — Dlaczego się nie położyłeś? Na miłość boską, włącz do łóżka.

— Proszę się położyć, panie Chip — odezwał się lekarz, stawiając na toalecie torbę ze swym sprzętem i otwierając ją. Zbliżył się do łóżka, trzymając w rękach staromodny stetoskop oraz nieporęczny aparat do mierzenia ciśnienia. — Czy miał pan kiedykolwiek jakieś dolegliwości sercowe? A pańscy rodzice? Proszę rozpiąć koszulę. — Przysunął do łóżka drewniane krzesło i zasiadł na nim, przybierając postawę wyczekującą.

— Czuję się już dobrze — oznajmił Joe.

— Pozwól doktorowi posłuchać twego serca — powiedział ostro Denny.

— W porządku. — Joe wyciągnął się na łóżku i rozpiął guziki koszuli. — Runciterowi udało się do mnie dotrzeć — zwrócił się do Dona Denny'ego. — Jesteśmy w chłodni, a on usiłuje z zewnątrz nawiązać z nami kontakt. Ktoś inny natomiast próbuje nam zrobić krzywdę. Nie jest to Pat; w każdym razie nie działa samotnie. Ani ona, ani Runciter nie mają pojęcia, co się dzieje. Czy kiedy otworzyłeś te drzwi, widziałeś Runcitera?

— Nie — odparł Denny.

— Siedział tam, naprzeciwko mnie — powiedział Joe. — Jeszcze dwie, trzy minuty temu. „Bardzo mi przykro, Joe” — takie były jego ostatnie słowa; a potem przerwał połączenie, przestał się ze mną kontaktować, po prostu się wyłączył. Spójrz na tę toaletkę i zobacz, czy zostawił na niej puszkę Ubika,

Denny skierował wzrok w tamtą stronę, a po chwili podniósł do góry jaskrawo zdobioną puszkę.

— Oto ona. Ale wydaje się pusta. — Potrząsnął nią mocno.

— Niemal pusta — sprostował Joe, — Rozpył na siebie to, co w niej zostało. No, dalej. — Wykonał naglący gest.

— Proszę się nie odzywać, panie Chip — powiedział lekarz, wsłuchując się w swój stetoskop. Następnie podwinął rękaw jego koszuli i zaczął owijać mu ramię gumowym węzłem, przygotowując się do pomiaru ciśnienia.

— Jak jest z moim sercem? — spytał Joe.

— Zdaje się funkcjonować normalnie — stwierdził lekarz. — Jego rytm jest tylko nieznacznie przyspieszony.

— No widzisz? — zwrócił się Joe do Dona Denny'ego. — Wyzdrowiałem.

— Inni są umierający, Joe — powiedział Don Denny.

— Wszyscy? — spytał Joe, podnosząc się do pozycji półsiedzącej.

— Wszyscy, którzy pozostali przy życiu — Denny trzymał puszkę w ręku, ale nie posłużył się nią.

— Pat również? — spytał Joe.

— Znalazłem ją tu, na drugim piętrze, kiedy wychodziłem z windy. Zaczynała właśnie odczuwać działanie tego procesu. Wydawała się okropnie zaskoczona; najwyraźniej nie mogła w to uwierzyć. — Odstawił puszkę. — Sądziła chyba, że to ona wywołuje te reakcje. Swoimi zdolnościami.

— Zgadza się, tak właśnie myślała — stwierdził Joe. — Dlaczego nie chcesz posłużyć się Ubikiem?

— Do diabła, Joe, musimy umrzeć. Obaj o tym wiemy. — Zdjął okulary w rogowej oprawie i przetarł oczy. — Gdy zobaczyłem, w jakim stanie jest Pat, obeszłem pokoje i przyjrzałem się reszcie grupy. Naszej grupy. Dlaczego minęło tyle czasu, nim tutaj dotarliśmy; prosiłem doktora Taylora, by ich zbadał. Nie wierzyłem, że oni wyczerpują się tak szybko. Nastąpiło cholerne przyspieszenie. W ciągu ostatniej godziny...

— Rozpył na siebie Ubik — powiedział Joe. — Albo ja sam cię nim obleję.

Don Denny wziął do ręki puszkę, ponownie nią potrząsnął i skierował dyszę rozpylacza w swoją stronę.

— Zgoda — powiedział. — Jeżeli ci na tym zależy... Nie ma naprawdę żadnego powodu, dla którego nie miałbym tego zrobić. To już koniec, prawda? To znaczy oni wszyscy umarli, tylko my dwaj pozostaliśmy przy życiu, a za kilka godzin Ubik przestanie na ciebie działać. I nie będziesz w stanie zdobyć nowej porcji. A więc pozostanę tylko ja sam. — Podjąwszy decyzję, Denny nacisnął przycisk rozpylacza. Od razu wytworzył się wokół niego błyszczący, drgający, mglisty obłok wypełniony cząsteczkami metalicznego światła, wirującymi w zawrotnym tańcu. Don Denny znikł zasłonięty promieniującą chmurą wyładowań ergicznych.

Odrywając się na chwilę od pomiarów ciśnienia Joego, doktor Taylor odwrócił głowę i spojrział w tamtą stronę. Mgła zaczęła się skraplać; na dywanie błyszczały drobne kałuże płynu, który spływał też jasnymi strużkami po ścianie znajdującej się tuż za Dennym.

Zasłaniający go obłok ulotnił się.

Osoba stojąca w samym środku parującej plamy Ubika, którym przesiąkł obskurny, wytarty dywan, nie była Donem Dennym.

Pojawił się w jego miejsce młody, uderzająco wysmukły chłopak. Jego czarne oczy o nieregularnym kształcie patrzyły na nich spod zmierzwionych brwi. Miał na sobie anachroniczny strój: białą nylonową koszulę, dżinsy i skórzane mokasy. Ubiór mniej więcej z połowy wieku. Joe dostrzegł uśmiech na jego podłużnej twarzy, ale był to uśmiech zniekształcony; poprzeczna bruzda, która zaraz zmieniła się w szydery niemal grymas. Wszystkie elementy jego urody kłóciły się ze sobą: duże uszy o wielkiej liczbie zwojów nie pasowały do oczu, wyglądających, jakby były z chityny. Proste włosy kontrastowały ze splątanymi, kędzierzawymi brwiami. No i ten nos, pomyślał Joe, zbyt wąski, zbyt ostro zakończony, o wiele za długi. Nawet podbródek nie harmonizował z kształtem twarzy: widoczna w nim była głęboka szczyrba, rysa sięgająca najwyraźniej w głąb kości... Jak gdyby, pomyślał Joe, twórca tego stworzenia zadał mu cios pragnąc je zniszczyć. Ale tworzywo, z którego je wykonano, podstawowa substancja, było zbyt spoiste; chłopiec nie pękł i nie rozszarpał się na pół. Istniał nadal, na przekór nawet swe-
mu twórcy, szydery wykrzywiając się do wszystkich, także i do niego samego.

— Kim jesteś? — spytał Joe.

Chłopiec nerwowo poruszył palcami; ich zaciśnięcie najwyraźniej pomagało mu uniknąć jąkania się.

— Czasem używam imienia Matt lub Bill — odezwał się. — Ale przeważnie nazywam się Jory. Tak brzmi moje prawdziwe imię. — Otwierając usta pokazał szare, zaniedbane zęby i pokryty nalotem język.

— Gdzie jest Denny? — spytał Joe po chwili milczenia. — Wcale nie wchodził do tego pokoju, prawda? — Nie żyje, pomyślał, tak samo jak inni...

— Pożarłem Denny'ego już dawno temu — powiedział Jory. — Na samym początku; zanim jeszcze przyjechali tu z Nowego Jorku. Najpierw zjadłem Wendy Wright. Denny był drugi z kolei.

— Co masz na myśli mówiąc „zjadłem”? — spytał Joe. Dosłownie? — pomyślał z dreszczem odrazy. Przeniknęła go potężna fala wstrętu, pod wpływem której odniósł wrażenie, że jego ciało pragnie skurczyć się i zniknąć. Udało mu się jednak jako tako ukryć to uczucie.

— Zrobiłem to, co zawsze — odparł Jory. — Trudno to wytłumaczyć, ale już od dawna robię to z wieloma osobami znajdującymi się w stanie półżycia. Poze-

ram ich życie, a raczej to, co z niego zostało. Nie ma go w nich wiele, dlatego muszę zjadać dużą ich liczbę. Dawniej robiłem to dopiero wtedy, gdy znajdowali się w stanie półżycia już przez pewien czas, teraz jednak muszę zabierać się do nich od razu. Jeśli sam mam przeżyć. Jeśli zbliżysz się do mnie i posłuchasz, a ja otworzę usta, usłyszysz głosy tych ludzi. Nie wszystkich, ale w każdym razie tych, których zjadłem ostatnio. Tych, których znasz. — Zaczął dłużyć paznokciem w jednym ze swych siekaczy; przechylając lekko głowę na bok przyglądał się Joemu, najwyraźniej oczekując na jego reakcję. — Czy nie masz nic do powiedzenia? — spytał.

— To przez ciebie zacząłem umierać, tam na dole, w hallu?

— Przeze mnie, nie przez Pat. Ją zjadłem w korytarzu, koło windy, a potem pożarłem pozostałych. Myślałem, że ty też już nie żyjesz. — Obrócił puszkę Ubika, którą nadal trzymał w ręku. — Nie mogę tego pojąć. Z czego się składa Ubik i skąd Runciter go bierze? — Na jego twarzy pojawił się gniew. — Ale masz rację; nie mógł tego zrobić Runciter. On przebywa w świecie zewnętrznym. Ta puszka pochodzi od kogoś, kto istnieje w naszym świecie. Musi tak być, ponieważ z zewnątrz mogą tu docierać jedynie słowa.

— Nie możesz więc nic mi zrobić — powiedział Joe. — Dzięki Ubikowi nie możesz mnie pożreć.

— Na razie nie mogę. Ale z czasem Ubik przestanie działać.

— Nie jesteś tego pewny; nie wiesz nawet, co on zawiera i skąd się bierze. — Ciekaw jestem, czy mógłbym go zabić, pomyślał. Jory wydawał się delikatny. A więc ten stwór zabił Wendy, myślał. Widzę go twarzą w twarz, tak jak przewidywałem. Wendy, Ala, prawdziwego Dona Denny'ego i wszystkich pozostałych. Pożarł nawet zwłoki Runcitera leżące w trumnie w domu przedpogrzebowym. Musiała tlić się w nich, albo wokół nich, jakaś resztką aktywnych protofazonów, w każdym razie coś, co zainteresowało go.

— Panie Chip — powiedział lekarz — w tych warunkach nie mogę zmierzyć panu ciśnienia. Proszę się z powrotem położyć.

Joe przyjrzał mu się uważnie, po czym zwrócił się do Jory'ego:

— Czy on nie zauważył twojego przeobrażenia, Jory? Nie słyszał tego, co mówiłeś?

— Doktor Taylor jest wytworem mojego umysłu — powiedział Jory. — Jak zresztą wszystkie inne stałe elementy tego pseudoświata.

— Nie wierzę ci — odrzekł Joe. Zwrócił się do lekarza. — Pan słyszał wszystko, co on mówi, prawda?

Z trzaskiem, jaki wydaje pękający balon, lekarz znikł mu sprzed oczu.

— A widzisz — stwierdził z satysfakcją Jory.

— Co zamierzasz zrobić po mojej śmierci? — spytał chłopca Joe. — Czy zachowasz ten świat z roku 1939, ten... jak go nazywasz... pseudoświat?

— Ależ skąd. Nie będzie już mi potrzebny.

— A więc istnieje on dla mnie, tylko dla mnie? Cały ten świat?

— Nie jest zbyt wielki — stwierdził Jory. — Jeden hotel w Des Moines. Ulica za oknem, na niej trochę ludzi i kilka samochodów. Może jeszcze parę budynków i sklepów, które możesz oglądać, kiedy wyjrzysz przez okno.

— A więc nie zachowałeś żadnego Nowego Jorku, Zurychu czy...

— Ależ po co miałbym to robić? Nikogo tam nie ma. Wszędzie tam, gdzie udawałeś się ty czy ktoś z waszej grupy, stwarzałem namacalną rzeczywistość, odpowiadającą mniej więcej waszym oczekiwaniom. Kiedy leciałeś tu z Nowego Jorku, musiałem stworzyć setki mil krajobrazu, jedno miasto po drugim — było to dla mnie ogromnie męczące. Musiałem wiele jeść, by odzyskać siły. Szczerze mówiąc, dlatego właśnie byłem zmuszony wykończyć pozostałych tak szybko po twoim przyjeździe. Koniecznym potrzebowałem regeneracji sił.

— Dlaczego akurat rok 1939? — spytał Joe. — Czy nie mógł to być współczesny świat z roku 1992?

— Chodzi o wysiłek. Nie mogę powstrzymać regresywnego procesu zmian. Dla mnie samego było to zbyt trudne. Początkowo stworzyłem rok 1992, a potem coś zaczęło się psuć. Monety, śmietanka, papierosy: wszystkie te zjawiska, które dostrzegaliście. A w dodatku Runciter stale wnikał w ten świat z zewnątrz, co jeszcze bardziej utrudniało moje zadanie. W gruncie rzeczy lepiej byłoby, gdyby on się nie wtrącał — Jory uśmiechnął się przebiegle. — Ale nie przejmowałem się tym cofaniem w czasie. Wiedziałem, że będziecie podejrzewać o to Pat Conley. Zmiany te wydawały się spowodowane przez jej zdolności, bo przypominały nieco to, co ona robi za pomocą swego talentu. Sądziłem, że może wy ją zabijecie wspólnie. To by mnie ubawiło. — Jego uśmiech stał się jeszcze wyraźniejszy.

— W jakim celu zachowujesz dla mnie nadal ten hotel i ulicę za oknem? — spytał Joe. — Skoro i tak już wszystko wiem.

— Ależ ja zawsze postępuję w taki sposób — oczy Jory'ego rozszerzyły się.

— Zabiję cię — powiedział Joe. Zrobił w kierunku Jory'ego niepewny, nie skoordynowany krok. Uniósł otwarte dłonie i rzucił się na chłopca, usiłując chwycić go za gardło, próbując namacać palcami tchawicę.

Jory warknął i ugryzł go. Duże płaskie zęby utkwiły głęboko w prawym ręku Joego. Nie zwalniając ich uścisku Jory dźwignął głowę do góry, podnosząc przez to rękę Joego. Przez cały czas, patrząc prosto w oczy Chipa, siorbał chrapliwie, starając się zewrzeć szczękę. Jego zęby zagłębiały się coraz bardziej; Joe czuł ból przenikający całe jego ciało. Pożera mnie, uświadomił sobie.

— Nie dasz rady — powiedział głośno. Uderzył Jory'ego pięścią w twarz, potem powtórzył swój cios jeszcze kilka razy. — Ubik chroni mnie przed tobą — mówił, bijąc go prosto w szyderczo spoglądające oczy. — Nie jesteś w stanie nic mi zrobić.

— Grr... grr... — bełkotał Jory, ruszając szczękami na boki jak owca i miażdżąc rękę Joego. Ból stał się nie do zniesienia; Joe kopnął chłopca z całej siły —

i zęby puściły jego rękę. Cofnął się niepewnie, patrząc na krew tryskającą z wygryzionych otworów. Boże! — pomyślał wstrząśnięty.

— Nie możesz zrobić mi tego, co zrobiłeś tamtym — powiedział Joe. Znalazł puszkę Ubika i zwrócił wylot dyszy w kierunku krwawiącej rany, w którą zmieniła się jego ręka. Nacisnął czerwony plastikowy guzik i z puszkę wytrysnęła stróżka cząsteczek, które cienką warstwą pokryły pogryzione, poszarpane ciało. Ból natychmiast minął. Rana zagoiła się na jego oczach.

— A ty nie jesteś w stanie mnie zabić — odparł Jory, nadal wykrzywiony w uśmiechu.

— Idę na dół — oświadczył Joe. Chwiejnym krokiem doszedł do drzwi i otworzył je. Ostrożnie stawiając stopy, krok za krokiem ruszył naprzód. Podłoga wydawała się jednak solidna i nie była chyba produktem nierealnego pseudoświata.

— Nie odchodź za daleko — odezwał się za jego plecami Jory. — Nie mogę utrzymać zbyt wielkiego obszaru. Gdybyś na przykład wszedł do któregoś z tych aut i jechał nim przez wiele mil. . . w końcu dojechałbyś do miejsca, w którym by się rozleciało. A to byłoby dla ciebie równie przykre jak dla mnie.

— Wydaje mi się, że nie mam nic do stracenia — Joe doszedł już do windy i nacisnął guzik.

— Mam kłopoty z windami! — zawołał za nim Jory. — Są skomplikowane. Może zejdziesz lepiej po schodach!

Joe poczekał jeszcze chwilę, po czym zrezygnował. Idąc za radą Jory'ego zaczął schodzić po schodach; był to ten sam ich odcinek, który tak niedawno przeszedł, pokonując z rozpaczliwym wysiłkiem stopień po stopniu.

No cóż, pomyślał, oto jedna z dwu działających sił. Jory niszczy nas: zabił wszystkich oprócz mnie. Za Jorym nie stoi już nikt, za nim wszystko się kończy. Czy spotkam tę drugą istotę? Zapewne nie dość szybko, by miało to jeszcze jakieś znaczenie, doszedł do wniosku. Raz jeszcze spojrzął na swą rękę. Była zupełnie zdrowa.

Znalazł się w hallu. Rozglądał się wokół patrząc na ludzi i na wielki wiszący nad głową żyrandol. Musiał przyznać, że wyniki pracy Jory'ego były pod wieloma względami imponujące, mimo tego procesu powrotu do form poprzednich. — Jest prawdziwa — mruknął, badając stopą podłogę. — To niepojęte.

Jory niewątpliwie ma już doświadczenie, pomyślał. Musiał robić to już wiele razy przedtem.

— Czy może mi pan polecić jakąś restaurację w tym mieście? — zapytał pracownika hotelu, zbliżywszy się do recepcji.

— Musi pan pójść wzdłuż ulicy — odparł recepcjonista, przerywając segregowanie poczty. — Po prawej stronie, „Matador”. Przekona się pan, że to świetna restauracja, sir.

— Czuję się samotny — powiedział Joe pod wpływem nagłego impulsu. — Czy hotel mógłby zapewnić mi towarzystwo jakiejś dziewczyny?

— Ten hotel nie, sir — odpowiedział ostro recepcjonista tonem pełnym dezaprobaty. — My nie zajmujemy się stręczycielstwem.

— Prowadzicie porządny, przyzwoity zakład — stwierdził Joe.

— Tak przynajmniej chcielibyśmy o nim myśleć, sir.

— Sprawdzalem pana tylko — powiedział Joe. — Chciałem się przekonać, w jakim hotelu mieszkam. — Odszedł od recepcyjnego kontuaru, przemaszerował przez hall i przebywszy szerokie, marmurowe, wiodące w dół schody oraz obrotowe drzwi, znalazł się na chodniku przed hotelem.

Rozdział 16

Powitaj poranek pyszną porcją pożywnych, orzeźwiających płatków Ubik — płatków dla dorosłych, które są bardziej chrupiące i smaczniejsze, dlatego stanowią ulubioną potrawę. Płatki śniadaniowe Ubik, których cała porcja jest przysmakiem! Nie przekraczaj jednorazowo zalecanej ilości.

Zaimponowała mu różnorodność samochodów. Reprezentowały one różne roczniki, marki i modele. Przeważały wśród nich wozy czarne, ale nie można było dopatrywać się w tym wpływu Jory'ego: ten szczegół był autentyczny.

Ale skąd Jory o tym wiedział?

To dziwne — pomyślał — ta jego znajomość realiów z roku 1939, z czasów kiedy prócz Runcitera nikogo z nas jeszcze nie było na świecie.

I nagle zrozumiał przyczynę. Jory nie kłamał, mówiąc, że jest twórcą tej rzeczywistości: on zbudował świat z okresu ich życia, a raczej jego fantasmagoryczny odpowiednik. Rozkład tego świata, powrót do dawniejszych form nie był jego dziełem; on nawet bezskutecznie starał się temu zapobiec. Ten atawistyczny proces następuje samoczynnie, w miarę jak Jory'ego opuszczają siły. Jak sam mówił, jest to ogromny wysiłek. Chyba po raz pierwszy stworzył tak rozbudowany świat, dla tylu osób naraz. Rzadko się zdarza, żeby tak duża liczba półżywych była ze sobą sprzężona.

Zmusiliśmy Jory'ego do niezwykłego wysiłku, pomyślał. I zapłaciliśmy za to.

Mijała go właśnie stara, kanciasta, rozklekotana taksówka marki Dodge. Joe machnął ręką, wóz z hałasem zatrzymał się przy krawężniku. Zobaczymy, pomyślał, ile jest prawdy w stwierdzeniu Jory'ego, że granice tego pseudoświata bardzo się już teraz skurczyły.

— Proszę mnie obwieźć po mieście: może pan jeździć wszędzie, gdzie pan ma ochotę — powiedział do kierowcy. — Chciałbym obejrzeć jak najwięcej ulic, budynków i ludzi. Potem, kiedy objedziemy już całe Des Moines, poproszę, żeby mnie pan zawiózł do najbliższego miasta, żebyśmy również mogli je zwiedzić.

— Nie jeżdżę między miastami, proszę pana — oświadczył szofer, otwierając Joemu drzwi. — Ale chętnie obwiozę pana po Des Moines. To miła miejscowość, sir. Pan nie jest z naszego stanu, prawda?

— Z Nowego Jorku — powiedział Joe, wsiadając do taksówki.

Samochód ponownie wmieszał się w ruch uliczny.

— Co sądzą ludzie w Nowym Jorku na temat tej wojny? — spytał po chwili kierowca. — Czy myśli pan, że weźmiemy w niej udział? Roosevelt chciałby nas wciągnąć...

— Nie mam ochoty rozmawiać o polityce ani o wojnie — uciął szorstko Joe.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Obserwując budynki, ludzi i przejeżdżające samochody, Joe ponownie zastanowił się, jak Jory jest w stanie zapanować nad tym wszystkim. Tyle szczegółów, myślał z podziwem. Wkrótce chyba dotrę do kresu tego świata; musi to nastąpić w najbliższej przyszłości.

— Czy są tu w Des Moines jakieś domy publiczne? — spytał kierowcę.

— Nie ma — odparł taksówkarz.

Być może Jory nie potrafi ich stworzyć, pomyślał Joe, bo jest na to za młody. A może jest przeciwny ich istnieniu? Nagle poczuł się zmęczony. Dokąd ja jadę? — spytał sam siebie. I po co? Aby przekonać samego siebie, że Jory mówił prawdę? Ale ja już wiem, że to prawda. Byłem świadkiem zniknięcia lekarza. Widziałem, jak Jory wynurzył się z postaci Dona Denny — to powinno mi wystarczyć. To, co robię, utrudnia tylko Jory'emu pracę, przez co zwiększy się jego apetyt. Lepiej będzie, jeśli zrezygnuję, pomyślał. To, co robię, jest bez sensu. Zresztą, jak powiedział Jory, działanie Ubika i tak się skończy. Nie chcę spędzić ostatnich minut czy godzin mego życia, jeżdżąc w kółko po Des Moines. Muszę wymyślić coś innego.

Po chodniku powolnym, lekkim krokiem szła ładna dziewczyna ze śmiesznymi, jasnymi warkoczami; wydawała się zajęta oglądaniem wystaw. Miała na sobie rozpięty sweter, bluzkę, jaskrawoczerwoną spódnicę i pantofle na wysokich obcasach.

— Proszę zwolnić — polecił taksówkarzowi. — Niech pan się zatrzyma obok dziewczyny z warkoczami.

— Ona nie zechce z panem rozmawiać — powiedział kierowca. — Zawoła policjanta.

— Nie szkodzi — stwierdził Joe. W tej sytuacji nie miało to większego znaczenia.

Stary dodge zwolnił i brzęcząc, dojechał do skraju jezdni; opony z głośnym piskiem otarły się o krawężnik. Dziewczyna zerknęła w ich stronę.

— Dzień dobry pani — powiedział Joe.

Przyjrzała mu się z ciekawością. Jej bystre, ciepłe, niebieskie oczy rozszerzyły się trochę, ale nie widać w nich było niechęci czy lęku.

— Słucham? — odezwała się.

— Jestem umierający — oznajmił Joe.
— O, Boże — powiedziała z przejęciem. — Czy pan. . .
— Nic mu nie jest — wtrącił się kierowca. — Pytał o dziewczyny: chce panią po prostu poderwać.

Dziewczyna roześmiała się. Ale bez wrogości. I nie odeszła.

— Zbliży się pora obiadu — powiedział do niej Joe. — Niech pani pozwoli zaprosić się do „Matadora”; słyszałem, że to niezła restauracja.

Znużenie wzrosło: czuł na sobie jego ciężar. I nagle z niemym, tępym przerażeniem zdał sobie sprawę, że jest to ten sam rodzaj wyczerpania, jakie ogarnęło go w hallu hotelowym, gdy pokazywał Pat wezwanie od policjanta. I chłód. Znów ukradkiem przeniknęło do jego ciała zimno z otaczającej go chłodni. Mija działanie Ubika, pomyślał. Zostało mi już niewiele czasu.

Coś musiało odbić się na jego twarzy, bo dziewczyna podeszła bliżej i zajrzała przez okno samochodu.

— Co panu jest? — spytała.

— Umieram — z wysiłkiem powiedział Joe. Znów odczuwał pulsujący ból w ranie na ręce; ślady zębów na nowo stały się widoczne. Już to samo wystarczyłoby, żeby napełnić go przerażeniem.

— Niech kierowca zawiezie pana do szpitala — poradziła dziewczyna.

— Czy pani może zjeść ze mną obiad? — spytał Joe.

— Na to ma pan ochotę? Teraz, kiedy pan jest w. . . takim stanie? Chory? Czy pan jest chory? — Otworzyła drzwi taksówki. — Czy chce pan, żebym pojechała z panem do szpitala? Czy o to panu chodzi?

— Do „Matadora” — mówił Joe. — Zjemy duszone zrazy z marsjańskich turkuciów podjadków. — Przypomniał sobie, że w tych czasach nie istniał jeszcze ów importowany przysmak. — Stek wołowy — powiedział. — Czy lubi pani wołowinę?

— On chce jechać do „Matadora” — oznajmiła kierowcy dziewczyna, wsiadając do taksówki.

— Okay, panienko — powiedział taksówkarz. Samochód ponownie włączył się w ruch uliczny. Dojechawszy do najbliższego skrzyżowania, kierowca zawrócił. — Teraz jedziemy w kierunku restauracji, pomyślał Joe. Ciekawe, czy do niej dojadę. Znużenie i chłód owładnęły nim całkowicie: czuł, jak stopniowo zamierają w nim funkcje organizmu. Jego organy nie miały przed sobą przyszłości: wątroba nie potrzebowała już wytwarzać czerwonych ciałek krwi, nerki nie musiały wydaląć, jelita stały się zbędne. Tylko serce biło z wysiłkiem — i coraz trudniej było mu oddychać. Wciągając powietrze w płuca, za każdym razem czuł, że na piersiach spoczywa mu blok betonu. Mój kamień nagrobny, pomyślał. Zauważył, że znowu krwawi mu ręka: gęsty płyn sączył się z niej wolno, kropla po kropli.

— Może lucky strike’a? — spytała dziewczyna, wyciągając ku niemu paczkę. — Są dobrze wysuszone, jak głosi slogan reklamowy. Hasło „L.S.M.F.T.” wejdzie

w użycie dopiero. . .

— Nazywam się Joe Chip — rzekł Joe.

— Chce pan, żebym się przedstawiła?

— Tak — powiedział przez zaciśnięte zęby i zamknął oczy. Nie był w stanie mówić dalej, przynajmniej przez jakiś czas. — Lubi pani Des Moines? — zapytał po chwili, ukrywając rękę przed jej wzrokiem. — Od dawna pani tu mieszka?

— Wydaje się pan bardzo zmęczony, panie Chip — powiedziała dziewczyna.

— Och, do diabła. — Machnął ręką. — To nie ma znaczenia.

— Owszem, ma. — Dziewczyna otworzyła torebkę i pospiesznie zaczęła w niej czegoś szukać. — Nie jestem zniekształconym wytworem Jory’ego, tak jak on. — Wskazała taksówkarza. — Albo jak te małe sklepiki i domy, ta brudna ulica czy wszyscy ci ludzie i ich auta z epoki neolitu. Proszę, panie Chip. — Podała mu wyjętą z torebki kopertę. — To dla pana. Niech pan to zaraz otworzy. Wydaje mi się, że żadne z nas nie powinno było tak długo zwlekać.

Ciężkimi jak ołów palcami rozdarł kopertę.

Zawierała ona jakiś uroczysty, ozdobny dokument. Litery falowały przed oczyma Joego; był już zbyt wyczerpany, by je odczytać.

— Co tu jest napisane? — spytał, kładąc papier na jej kolanach.

— To list od firmy produkującej Ubik — powiedziała dziewczyna. — Gwarantuje on panu dożywotnio bezpłatne zaopatrzenie w ten specyfik. Bezpłatne, ponieważ znam pańskie kłopoty z pieniędzmi, pańską. . . nazwijmy to. . . abberację. Na odwrocie znajduje się lista wszystkich aptek, które prowadzą jego sprzedaż. Znajdują się na niej dwie firmy mieszczące się w Des Moines, bynajmniej nie zlikwidowane. Proponuję, żebyśmy wstąpili do jednej z nich, zanim pojedziemy na obiad. Proszę, panie kierowco — wychyliła się naprzód i podała taksówkarzowi zapisaną już kartkę — niech pan nas zawiezie pod ten adres. I niech pan się pospieszy, wkrótce zamykają.

Joe oparł się o tylne poduszki siedzenia, z trudem usiłując złapać oddech.

— Zdążymy dojechać do apteki — powiedziała dziewczyna, klepiąc go po ramieniu, by dodać mu otuchy.

— Kim pani jest? — spytał.

— Nazywam się Ella. Ella Hyde Runciter. Jestem żoną pańskiego szefa.

— Jest pani tutaj, razem z nami — powiedział Joe. — Po tej stronie: w chłodni.

— Jak pan dobrze wie, jestem tu już od dłuższego czasu. Wkrótce, jak sędzę, urodzę się po raz drugi, z innego łona. Tak przynajmniej twierdzi Glen. Ciągłe śni mi się zamglone, czerwone światło, a to niedobrze. Symbolizuje to niekorzystny z punktu widzenia moralności typ łona. — Zaśmiała się swobodnie i życzliwie.

— *Pani jest tym drugim elementem* — stwierdził Joe. — Jory nas niszczy, a pani próbuje nam pomóc. Za panią, tak jak za Jorym, nie stoi już nikt. Dotarłem do istot znajdujących się na obu końcach.

— Nie uważam się za „istotę” — powiedziała złośliwie Ella. — Zazwyczaj uważam się za Ellę Runciter.

— Ale to prawda — oświadczył Joe.

— Tak. — Z powagą kiwnęła głową.

— Dlaczego działa pani przeciwko Jory’emu?

— Bo on wdarł się do mnie — odparła Ella. — Zagrażał mi w taki sam sposób, w jaki zagrażał wam. Oboje wiemy, na czym polega jego działanie: on sam panu o tym powiedział w pańskim pokoju hotelowym. Od czasu do czasu nabiera wielkiej siły: niekiedy udaje mu się wyrugować mnie, gdy w stanie aktywności usiłuję rozmawiać z Glenem. Ale wygląda na to, że ja daję sobie z nim radę lepiej niż większość osób półżywych, czy to z pomocą Ubika, czy też bez niej. Lepiej na przykład niż wy wszyscy, nawet kiedy działaliście jako grupa.

— Tak — powiedział Joe. Z pewnością tak było. Istniały na to przekonujące dowody.

— Kiedy urodzę się na nowo — mówiła Ella — Glen nie będzie mógł już się ze mną konsultować. Mam bardzo praktyczne, egoistyczne motywy, dla których panu pomagam, panie Chip. Chcę, by pan mnie zastąpił. Pragnę, aby istniał ktoś, kogo Glen będzie mógł prosić o radę i pomoc, na kim będzie mógł polegać. Pan jest idealnym kandydatem: będzie pan robił w stanie półżycia to samo, czym zajmował się pan w życiu realnym. A więc w pewnym sensie nie powodują mną szlachetne uczucia: ocaliłam pana przed Jorym z pobudek praktycznych. A poza tym tylko Bóg wie, jak bardzo nienawidzę Jory’ego.

— Czy nie umrę po pani ponownych urodzinach? — spytał Joe.

— Będzie pan dożyłotnio zaopatrzonej w Ubik. Zgodnie z treścią tego dokumentu, który panu wręczyłam.

— Może uda mi się zwyciężyć Jory’ego — powiedział Joe.

— To znaczy zniszczyć go? — Ella zamyśliła się. — Nie jest nie do pokonania. Może z czasem nauczy się pan neutralizować jego wpływ. To chyba wszystko, na co może pan liczyć. Wątpię, czy będzie pan w stanie naprawdę go zniszczyć, to znaczy, innymi słowy, skonsumować go, tak jak robi to on z osobami półżywymi, umieszczonymi blisko niego w moratorium.

— Do diabła! — zawołał Joe. — Poinformuję Glena Runcitera o sytuacji; poproszę, aby usunął Jory’ego z moratorium.

— Glen tam nie ma władzy.

— Ale przecież Schoenheit von Vogelsang...

— Rodzina Jory’ego płaci Herbertowi rocznie wielką sumę za to, żeby trzymał go w moratorium wraz z innymi i żeby wymyślał przekonujące powody, dla których musi tak robić. A poza tym w każdym moratorium jest jakiś Jory. Walka taka toczy się wszędzie, gdzie znajdują się półżywi: to prawidłowość, obowiązująca zasada naszej egzystencji. — Zapadła w milczenie, po raz pierwszy zobaczyła na jej twarzy gniew. Wyraz przykrego napięcia, które zakłócało promie-

niuający z niej spokój. — Trzeba z tym walczyć po naszej stronie szyby — podjęła. — Muszą to zrobić ci, którzy znajdują się w stanie półżycia, ci, na których Jory żeruje. Po moich ponownych urodzinach musi pan nimi pokierować. Czy pan potrafi? Nie będzie to łatwe. Jory będzie nieustannie podkopywał pańskie siły, będzie zwał na pana brzemię, którego ciężar odczuwać pan będzie jako... — zawahała się — jako zbliżanie się śmierci. I w istocie tak będzie. Bo w stanie półżycia i tak nieustannie zanikamy. Jory tylko przyspiesza ten proces. Znużenie i chłód tak czy owak nadchodzą. Tylko nie tak prędko.

Będę pamiętał o tym, co on zrobił Wendy, pomyślał Joe. To skłoni mnie do działania. To będzie wystarczający bodziec.

— Oto ta apteka, proszę pani — odezwał się taksówkarz. Stary, wysoki, kanciasty dodge z piskiem podjechał do krawężnika i zatrzymał się.

— Nie wejść z panem — powiedziała Ella, gdy Joe otworzył drzwi samochodu i niezdarnie wysiadł. — Do widzenia. Dziękuję panu za pańską lojalność wobec Glena. Za to, co będzie pan robił dla niego w przyszłości. — Wychyliwszy się w jego kierunku pocałowała go w policzek. Miał wrażenie, że jej wargi są pełne życia. I że część tego życia została mu przekazana; poczuł się nieco silniejszy. — Powodzenia w walce z Jorym. — Opadła na oparcie i usiadła w pozie pełnej spokoju, trzymając na kolanach torebkę.

Joe zatrzasnął drzwi taksówki, stał przez chwilę w miejscu, a potem chwiejnie przekroczył trotuar i wszedł do apteki. Za jego plecami dodge ruszył z warkotem. Słyszał jego odjazd, ale nie spojrzał w tę stronę.

W ozdobnym, oświetlonym lampą wnętrzu apteki dojrzał nadchodzącego łyszego sprzedawcę w służbowym stroju złożonym z ciemnej kamizelki, muszki i zaprasowanych w ostry kant spodni ze sztucznego jedwabiu.

— Niestety, już zamykamy, sir. Właśnie szedłem zamknąć drzwi.

— Ale ja jestem w środku — powiedział Joe. — I chcę zostać obsłużony. — Pokazał aptekarzowi otrzymany od Elli dokument. Zezując przez okrągłe okulary bez oprawek farmaceuta z trudem odczytywał gotyckie litery. — Czy zamierza mnie pan obsłużyć? — spytał Joe.

— Ubik — powiedział sprzedawca. — Zdaje mi się, że wyprzedalem cały zapas. Zaraz sprawdzę. — Zaczął się oddalać.

— Jory — powiedział Joe.

— Co pan mówił, sir? — spytał aptekarz, odwracając głowę.

— Ty jesteś Jory — oświadczył Joe. Teraz umiem już to stwierdzić, pomyślał. Uczę się rozpoznawać go przy każdym spotkaniu. — Stworzyłeś tę aptekę — mówił dalej — i wszystko, co się w niej znajduje, z wyjątkiem puszek z Ubikiem. Ubik nie jest objęty twoją władzą, on pochodzi od Elli.

Zmusiwszy się do ruchu, krok za krokiem obszedł ladę i zbliżył się do szafy z zapasami leków. Pośpiesznie wpatrując się kolejno we wszystkie półki, usiłował znaleźć Ubik. Światło w aptecce przygasło; antyczne elementy wnętrza stawały się

coraz mniej widoczne.

— Wywołałem regresję całego znajdującego się w aptece zapasu Ubika — powiedział sprzedawca młodzieńczym, wysokim głosem Jory'ego. — Znów jest balsamem na nerki i wątrobę. Nie nadaje się już.

— Pójdę do drugiej apteki, która ma go na składzie. — Joe oparł się o ladę i powoli, nieregularnie wdychał hausty powietrza, czując silny ból.

— Będzie zamknięta — odezwał się Jory z wnętrza łysiejącego aptekarza.

— Więc jutro — powiedział Joe. — Wytrzymam do jutra rana.

— Nie wytrzymasz. A zresztą Ubik w tamtej aptece też będzie cofnięty do poprzedniej formy.

— W innym mieście... — rzekł Joe.

— Gdziekolwiek się udasz, Ubik będzie poddany działaniu regresji. Zmieni się na nowo w maść, proszek, eliksir lub balsam. Nigdy nie zobaczysz puszkę z aerozolem, Joe Chip. — Jory, ukryty pod postacią łysiejącego aptekarza, uśmiechnął się, pokazując sztuczną szczękę, która wyglądała jak z celuloidu.

— Mogę... — przerwał, by zebrać siły, by ogrzać własną energią sztywniejącą z zimna ciało — przenieść go w czasy współczesne. Do roku 1992.

— Doprawdy, panie Chip? — Sprzedawca wręczył mu kartonowe, prostokątne pudełko. — Proszę bardzo. Niech pan to otworzy, a zobaczy pan...

— Wiem, co zobaczę — powiedział Joe. Skoncentrował swą uwagę na błękitnym słoiku balsamu na nerki i wątrobę. — Przdź w bardziej zaawansowany etap rozwoju, mówił do niego w myślach, starając się przelać na słoik swą zrodzoną z potrzeby determinację, całą swą pozostałą energię. Nie uległ on jednak żadnej zmianie. Znajdujemy się w realnym świecie, mówił do słoika Joe. — Puszka z rozpylaczem... — powiedział na głos. Zamknął oczy, chcąc przez chwilę odpocząć.

— To nie jest puszkę z rozpylaczem, panie Chip — stwierdził sprzedawca. Chodząc po aptece pogasił światła, następnie przycisnął klawisz mechanicznej kasy i szuflada otworzyła się z trzaskiem. Sprzedawca sprawnie przełożył z niej banknoty i monety do metalowej, zamykanej na klucz skrzynki.

— Jesteś puszką z rozpylaczem — powiedział Joe do trzymanego w ręku kartonowego pudełka. — Jest rok 1992 — dodał, zmuszając się do największego wysiłku; dając z siebie wszystko.

Ostatnia lampa zgasła, wyłączona przez rzekomego aptekarza. W przyćmionym świetle wpadającym do apteki, pochodzącym od stojącej przed nią lampy ulicznej, Joe widział kontury trzymanego w ręku przedmiotu i dostrzegł jego prostokątne kształty.

— No dalej, panie Chip — ponaglił go aptekarz, otwierając drzwi. — Czas iść do domu. A jednak ona pomyliła się, prawda? I nie zobaczy pan jej już nigdy, bo odeszła zbyt daleko w kierunku następnych narodzin. Nie myśli już wcale o panu,

o mnie czy o Runciterze. Ella widzi teraz różne światła, mgliście czerwone, być może również jaskrawopomarańczowe...

— To co trzymam w ręku — przerwał Joe — jest puszką z rozpylaczem.

— Nie — powiedział aptekarz. — Naprawdę bardzo mi przykro, panie Chip, ale myli się pan.

Joe odłożył kartonowe pudełko na ladę, tuż obok siebie. Odwrócił się z godnością i rozpoczął długi, powolny marsz przez aptekę, kierując się w stronę drzwi, które aptekarz przytrzymał otwarte. Żaden z nich się nie odzywał. Joe przeszedł w końcu przez drzwi i znalazł się na ciemnym chodniku.

Sprzedawca wyszedł tuż za nim; pochylony zamykał na klucz drzwi.

— Chyba złożę producentowi skargę. Na pańską... — przerwał. Coś dławilo go w gardle, nie był w stanie oddychać ani mówić. Potem ucisk osłabł na chwilę — poddał działaniu regresji aptekę — dokończył.

— Dobranoc — powiedział sprzedawca. Przez chwilę stał w miejscu przyglądając się Joemu w wieczornym mroku. Potem wzruszył ramionami i ruszył naprzód.

Na lewo od siebie Joe rozróżnił w ciemności kształty ławki, na której siedzieli jacyś ludzie, czekając na tramwaj. Udało mu się do niej dojść i usiąść obok — nie widział dokładnie — dwóch czy trzech osób, które odsunęły się od niego, czy to ze wstrętem, czy też po to, by zrobić mu miejsce; nie wiedział dlaczego i nic go to nie obchodziło. Czuł tylko pod sobą ławkę, która podtrzymywała go, zmniejszała spoczywający na nim bezwładny ciężar.

Jeszcze kilka minut, pomyślał. O ile dobrze pamiętam. Boże! Przez jakie okropności muszę przejść. I to po raz drugi.

W każdym razie próbowaliśmy, myślał, dalej przyglądając się żółtym, migającym światłom, neonowym napisom i strumieniowi samochodów jadących w obu kierunkach tuż przed jego oczyma. Runciter kopał i szarpał się, Ella przez długi czas drapała, gryzła i stosowała różne podstępny. A ja, myślał, o mały włos nie zmusiłem słoika balsamu na nerki i wątrobę firmy Ubik do odbycia podróży w czasy współczesne. Niemal mi się to udało. Był o tym w jakiś sposób przekonany: zdawał sobie sprawę ze swej siły, która objawiła się podczas tej ostatniej transcendentalnej próby.

Tramwaj, brzęczące, metalowe monstrum, ze zgrzytem zatrzymał się przed ławką. Otaczające Joego osoby wstały z miejsc i spieszenie zaczęły wsiadać przez tylny pomost.

— Hej, proszę pana! — krzyknął do Joego konduktor. — Wsiada pan czy nie?!

Joe nic nie odpowiedział. Konduktor czekał jeszcze chwilę, potem szarpał za linkę sygnału. Tramwaj hałaśliwie ruszył, jechał przez chwilę prosto, a potem znikł z pola widzenia Joego,

— Wszystkiego najlepszego — mruknął pod nosem Joe, słysząc oddalający się klekot kół pojazdu. — I do zobaczenia.

Zamknął oczy i opadł na oparcie ławki.

— Przepraszam pana — powiedziała, pochylając się nad nim jakaś dziewczyna w płaszczu ze sztucznej skóry strusia. Spojrzał na nią, błyskawicznie odzyskując świadomość. — Czy to pan Chip? — Była szczupła i przystojna. Miała na sobie kapelusz, rękawiczki, kostium i buty na wysokich obcasach. Trzymała w ręku jakiś przedmiot; dostrzegał jego kontury. — Z Nowego Jorku? Z Korporacji Runcitera? Nie chciałabym wręczyć tego przez pomyłkę niewłaściwej osobie.

— Jestem Joe Chip — powiedział. Przez chwilę myślał, że ta dziewczyna to Ella Runciter. Ale nie: nie widział jej nigdy dotąd.

— Kto panią przysłał?

— Dr Sonderbar — odparła dziewczyna. — Młodszy doktor Sonderbar, syn założyciela firmy.

— Kto to jest? — Nazwisko to nic mu nie mówiło, po chwili jednak przypomniał sobie, gdzie je widział. — Człowiek od balsamu na nerki i wątrobę — powiedział. — Wyciąg z liści oleandra, olej miętowy, węgiel drzewny, chlorek kobaltu, tlenek cynku... — Opanowało go znużenie; urwał.

— Dzięki wykorzystaniu najbardziej zaawansowanych metod współczesnej nauki proces przechodzenia materii do wcześniejszych form może zostać odwrócony, i to za sumę, na jaką stać każdego właściciela apartamentu. Ubik sprzedawany jest w najlepszych sklepach z artykułami gospodarstwa domowego na całej kuli ziemskiej. Niech pan rozejrzy się więc za nim w miejscu, w którym zwykle robi pan zakupy, panie Chip.

— Gdzie się mam za nim rozglądać? — spytał Joe, zupełnie już przytomny. Z wysiłkiem podniósł się i stał, utrzymując niepewną równowagę. — Pani jest z roku 1992; to, co pani powiedziała, pochodzi z reklamówki telewizyjnej Runcitera. — Owiał go wieczorny wiatr; Joe czuł, że ciągnie go on, jakby chcąc unieść ze sobą. Miał wrażenie, że jest poszarpanym kłębkim szmat i strzępków, z trudem trzymającym się kupy.

— Owszem, panie Chip. — Dziewczyna wręczyła mu pakunek. — Sprowadził mnie pan z przyszłości w wyniku tego, co zrobił pan przed chwilą w aptece. Przybywam prosto z fabryki. Panie Chip, mogę go rozpylić wokół pana, jeśli jest pan zbyt słaby. Czy chce pan? Jestem oficjalnym przedstawicielem, a także technicznym doradcą firmy: wiem, jak się go stosuje. — Szybkim ruchem wyjęła paczkę z jego drżących rąk, rozdarła opakowanie i natychmiast skierowała na niego strumień cząsteczek Ubika. Ujrzał w mroku błysk puszkii, dostrzegł kolorowe wesołe litery.

— Dziękuję — powiedział po chwili, kiedy już poczuł się lepiej i mniej odczuwał chłód.

— Tym razem nie potrzebuje go pan aż tak dużo jak wtedy, w tym pokoju

hotelowym — stwierdziła dziewczyna. — Jest pan silniejszy niż przedtem. Proszę, niech pan weźmie puszkę z Ubikiem; może panu być potrzebna jeszcze przed upływem nocy.

— Czy będę mógł zdobyć go więcej? Kiedy ten się wyczerpie?

— Na pewno będzie to możliwe. Skoro raz mnie pan tu wezwał, sędzę, że będzie pan w stanie zrobić to znowu. W taki sam sposób. — Oddalała się od niego, wtapiając się w cień rzucany przez ściany znajdujących się w pobliżu pozamykanych sklepów.

— Co to jest Ubik? — spytał, chcąc, by została z nim dłużej.

— Puszka Ubika — odparła — to przenośny ujemny jonizator wyposażony w autonomiczny klimatyzator pracujący przy wysokim napięciu i małym natężeniu, zasilany baterią helową o napięciu szczytowym 25 kV. Komora akceleracyjna o specjalnej krzywiznie nadaje ujemnym jonom spin przeciwny do ruchu wskazówek zegara, w wyniku czego mają one tendencję dośrodkową i przystają do siebie, a nie rozpraszają się. Ujemne pole jonów zmniejsza szybkość znajdujących się zazwyczaj w powietrzu antyprotofazonów; gdy tylko ich prędkość spada, przestają one być antyprotofazonami i stosownie do zasady równoważności nie mogą się już łączyć z protofazonami emitowanymi przez osoby zamrożone w chłodni, to znaczy znajdujące się w stanie półżycia. Rezultat końcowy polega na tym, że zwiększa się ilość protofazonów nie zneutralizowanych przez antyprotofazony, co powoduje, w każdym razie na pewien czas, przyrost energii pola aktywności protofazonicznej. . . a w rezultacie u człowieka znajdującego się w stanie półżycia następuje wzrost energii i przestaje on w pewnym stopniu odczuwać niską temperaturę chłodni. Widzi więc pan, dlaczego te formy Ubika, które przeszły proces regresywny, nie mogły. . .

— Nie musi pani mówić „ujemne jony” — rzekł Joe z namysłem. — Wszystkie jony są ujemne.

— Może spotkamy się jeszcze — powiedziała dziewczyna, znów się od niego oddalając. — Miło mi było dostarczyć panu tę puszkę: może kiedyś. . .

— . . . moglibyśmy pójść razem na obiad — dokończył Joe.

— Z góry się na to cieszę. — Oddalała się coraz bardziej.

— Kto wynalazł Ubik? — spytał.

— Grupa poważnych osób, przebywających w stanie półżycia zagrożonych działalnością Jory'ego. Ale przede wszystkim Ella Runciter. Wspólnie z nimi pracowała nad tym przez bardzo długi czas. Mimo to, jak dotąd, dostępny jest nadal tylko w niewielkich ilościach. — Wycofując się w swój zręczny, zamaskowany sposób, oddalała się coraz bardziej, aż wreszcie znikła mu całkowicie z oczu.

— W „Matadorze”! — zawołał za nią Joe. — Podobno Jory'emu udało się stworzyć tam świetną restaurację! Czy może raczej, cofnąć ją do właściwego momentu. Sam nie wiem, na czym to polega! — Nadśluchiwał chwilę, ale dziewczyna na nic mu nie odpowiedziała.

Niosąc ostrożnie puszkę Ubika, Joe Chip ruszył w stronę ruchliwej ulicy, by znaleźć taksówkę. Gdy podszedł do światła, podniósł puszkę i odczytał słowa wydrukowane na etykiecie:

**ZDAJE MI SIĘ, ŻE ONA NAZYWA SIĘ
MYRA LANEY. NA ODWROCIE POJEMNIKA
ZNAJDZIESZ JEJ ADRES I NUMER TELEFONU.**

— Dziękuję — powiedział Joe. Usługują nam organiczne duchy, pomyślał, umiające mówić i pisać. Przenikają to nasze środowisko czujne, bystre, namacalne duchy, pochodzące z realnego świata żyjących, którego elementy są dla nas narzuconymi, lecz przyjemnymi odpryskami substancji pulsującej jak poprzednio serce. Z nich wszystkich, myślał, największe podziękowania należą się Glenowi Runciterowi. Szczególnie jemu. On jest autorem instrukcji, etykiet i listów. Cennych listów.

Podniósł rękę, by machnąć na przejeżdżającą taksówkę. Graham z roku 1936 zatrzymał się obok niego z gniewnym klekotem.

Rozdział 17

Ja jestem Ubik. Zanim świat był, jam jest. Stworzyłem słońca. Stworzyłem światy. Stworzyłem istoty żywe i miejsca przez nie zamieszkiwane; umieszczam je to tu, to tam. Idą, gdzie im każe, robią, co im polecę. Jestem słowem i nigdy nie bywa wypowiedziane moje imię — imię, którego nikt nie zna. Nazywają mnie Ubik, ale nie to jest moje imię. Ja jestem. Ja będę zawsze.

Glen Runciter bezskutecznie poszukiwał właściciela moratorium.

— Naprawdę nie wie pani, gdzie on jest? — spytał pannę Beason, sekretarkę von Vogelsanga. — Muszę jeszcze raz porozmawiać z Ellą; to sprawa wielkiej wagi.

— Każe ją sprowadzić — powiedziała panna Beason. — Może pan skorzystać z pokoju 4-B. Niech pan będzie uprzejmy poczekać tam, panie Runciter, a ja niezwłocznie dostarczę panu pańską żonę. Tymczasem proszę się tam rozgościć.

Runciter odnalazł pokój 4-B i zaczął przechadzać się po nim niespokojnie. W końcu zjawił się funkcjonariusz moratorium; na ręcznym wózku pchał przed sobą trumnę Elli.

— Przepraszam, że musiał pan czekać — powiedział do Runcitera i natychmiast przystąpił do montażu elektronicznych urządzeń umożliwiających nawiązanie łączności, nucąc pod nosem jakąś pogodną melodię.

Po chwili zadanie było skończone. Funkcjonariusz po raz ostatni sprawdził obwód, z zadowoleniem kiwnął głową i ruszył ku drzwiom.

— To dla pana — odezwał się Runciter, wręczając mu kilka pięćdziesięciocentówek, które pozbierał w swych licznych kieszeniach.

— Dziękuję, panie Runciter — powiedział pracownik moratorium. Zerknął na monety i nagle zmarszczył brwi. — Co to za pieniądze? — spytał.

— Runciter przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pięćdziesięciocentówki. Od razu zorientował się, o co chodzi technikowi: wyraźnie różniły się od monet obiegowych. Czyj to profil? — zadał sobie pytanie. Kto widnieje na wszystkich

tych monetach? Na pewno to nie ta osoba, która powinna się na nich znajdować. A jednak to nie jest ktoś obcy. Znam go.

I nagle rozpoznał ten profil. Ciekaw jestem, co to znaczy, zapytał sam siebie. To najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Większość spraw można prędzej czy później jakoś wytłumaczyć. Ale portret Joego Chipa na pięćdziesięciocentówce?

Były to pierwsze pieniądze Joego Chipa, jakie zobaczył w życiu. Napawające zimnym dreszczem przeczucie mówiło mu jednak, że jeśli przeszuka swe kieszenie oraz portfel — znajdzie ich jeszcze więcej.

Ale to był dopiero początek.